

W obronie **POKOJU**

Nr 11 (29)

LISTOPAD 1953 r.

Cena zł 2.05

PRAWDZIWY SENS ROKOWAŃ

JOLIOT-CURIE - GEORG BRANTING

JOSE MARTI - RYCERZ Z HAWANY

PIEŚNI LUDU ANGIELSKIEGO

CO WIESZ O MAROKU?

ADOLF RUDNICKI: MANFRED

O BUDOWIE WSZECHSWIATA

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 65 181

Sekretarz Redakcji 65 184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wilejska 12, tel. 853-30

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7.50 zł

półrocznie — 15.00 zł

rocznie — 30.00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa“, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W obronie pokoju“.

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCZKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

PRAWDZIWE SENS ROKOWAŃ

FRYDERYK JOLIOT-CURIE

przewodniczący Światowej Rady Pokoju

ZAINICJOWANA przez Światową Radę Pokoju na sesji czerwcowej w Budapeszcie kampania na rzecz rokowań znajduje potężne echo w najróżniejszych kołach. Odpowiada ona bowiem głębokiemu pragnieniu — odrzucenia siły przy rozwiązywaniu rozbieżności między państwami.

Na całym świecie opinia publiczna głośno i powszechnie domaga się rokowań. To dążenie do rozwiązywania najpoważniejszych rozbieżności drogą rokowań jest tak powszechne, że nawet ci, którzy zdecydowani są użyć siły, zmuszeni zostali, chcąc zamaskować swe złe zamiary, do mówienia o rokowaniach. Ale głosząc wolę odrzucenia polityki siły, jednocześnie przygotowują morderczą broń, zbroją się i dążą rozmaitymi sposobami do stworzenia sytuacji, która bądź uniemożliwia rokowania, bądź też nie dopuszcza, by odniosły pomyślny rezultat.

Ich celem jest zrzuć odpowiedzialność za niepowodzenie rokowań na drugą stronę i — urabiając przeciw niej opinię publiczną — przygotowanie klimatu sprzyjającego agresji. Obserwujemy to, co można by nazwać zniekształceniem prawdziwego znaczenia słowa „rokowania”. A przecież nie oznacza ono nic innego, jak akcję, zmierzającą do osiągnięcia w dobrej wierze porozumienia między układającymi się stronami, a nie akcję, polegającą na stawianiu warunków wstępnych, utrudniających, jeżeli nie uniemożliwiających to porozumienie.

W rokowaniach międzynarodowych ważne jest przede wszystkim, aby wszystkie strony od początku powzięły szczerę postawę szukania rozwiązań, które byłyby do przyjęcia przez partnerów. Poszukiwania te bywają często trudne, wymagają nieraz wiele czasu i cierpliwości, ale warto im się poświęcić, mają one bowiem na celu nie dopuścić do nowej wojny i stworzyć warunki dla sprawiedliwego i trwałego pokoju.

W ciągu trwania kampanii na rzecz rokowań trzeba zatem wyjaśnić opinii publicznej prawdziwe znaczenie słowa „rokowania” i demaskować przy każdej sposobności rokowania nieuczciwe.

Weźmy konkretny przykład — zapowiedziane rokowania między czterema wielkimi mocarstwami — Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią, Związkiem Radzieckim i Francją w sprawie niemieckiej. Wydaje nam się rzeczą nie do przyjęcia, by trzy z tych mocarstw zbierały się oddzielnie, jak się to stało w Waszyngtonie, by przed rozpoczęciem wspólnych rokowań wysuwać własne warunki, stawiające pod znakiem zapytania samo podjęcie rokowań.

Oczywiście, każda z układających się stron winna powziąć z góry własną koncepcję celu rokowań i to jest rzeczą normalną. Ale czyż można mówić o rokowaniach, skoro a priori wysuwa się jako warunek przystąpienia do rokowań przyjęcie przez drugą stronę własnych celów strony, to znaczy — przyjęcie z góry tego, co miałoby właśnie stać się przedmiotem rokowań?

Taka taktyka utrudnia wzajemne ustępstwa i poszukiwania rozwiązań, nadających się do przyjęcia przez obie strony. Taktyka taka oznacza w gruncie rzeczy postawienie drugiej strony wobec dyktatu pod płaszczykiem — dla zmylenia opinii publicznej — słowa „rokowania”.

Istnieją inne środki oszukiwania opinii publicznej pod płaszczykiem rokowań. Kiedy np. sprzymierzona grupa państw stawia jako warunek wstępny wyrażenie zgody na taki skład organu, odpowiedzialnego za przeprowadzenie rokowań i na taki system głosowania, który a priori zapewnia tej grupie przewagę.

Takie właśnie cechy posiada przyszła konferencja polityczna dla Korei, co niezmiernie ogranicza możliwość skutecznych rokowań w tej sprawie.

Można natomiast przewidzieć takie warunki rokowań, które nie stwarzałyby możliwości dla dyktatu i spowodowałyby osiągnięcie — drogą wzajemnych ustępstw — porozumienia, możliwego do przyjęcia przez obie strony. Niejednokrotnie wysuwano już takie warunki, odmienne od owych warunków wstępnych, o których wyżej mówiliśmy. Jako przykład służyć może zasada jednomyślności w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Dlatego Światowa Rada Pokoju domaga się całkowitego powrotu do tej zasady, zachwianej z chwilą utworzenia tzw. „małego zgromadzenia”.

Dlatego Światowa Rada Pokoju stanowczo sprzeciwia się propozycjom, zmierzającym do rewizji Karty NZ.

W organach, odpowiedzialnych za przebieg międzynarodowych rokowań można proponować w specjalnych wypadkach, jak to już uczynił Związek Radziecki, skład, w którym jest oczywiście i większość i mniejszość, ale z takim systemem głosowania, aby mniejszość mogła przeciwstawić się większości.

Na przykład komisja lub konferencja może się składać z 11 członków, w tym z sześciu przedstawicieli jednego kierunku, a pięciu — innego, przy czym decyzje zapadałyby większością $\frac{2}{3}$ głosów. Jest rzeczą oczywistą, że system taki umożliwia szerokie dyskusje i zmusza do szukania rozwiązań, które byłyby do przyjęcia przez wszystkich, co stanowi warunek trwałego pokoju.

Ale — powie ktoś — przy takim systemie mniejszość mogłaby w nieskończoność przeciwstawiać się sprawiedliwym rozwiązaniom, wysuwanym w najlepszej wierze przez większość. Gdyby tak się miało zdarzyć, biorąc pod uwagę, że wszyscy przyznają opinii publicznej zasadniczą rolę decydowania w sprawach międzynarodowych — ta właśnie opinia publiczna, zorientowana w dążeniach mniejszości, nie omieszkaby skłonić jej do zmiany stanowiska.

Czyż bowiem uczciwie poinformowane narody nie powinny stanowić najwyższej instancji w sprawach międzynarodowych, kiedy chodzi o sprawę pokoju?

Jednym z obowiązków Światowej Rady Pokoju jest uświadomienie opinii publicznej i spowodowanie, by instancja, jaką są narody, stała

się siłą, zdolną narzucić wolę pokoju, ilekroć organy, których obowiązkiem jest utrwalenie pokoju, nie potrafią spełnić swojego zadania.

Wszyscy musimy to zrozumieć. Nie zawsze jest to łatwe, gdyż istnieją zresztą sposoby oszukiwania opinii publicznej i spychania jej na najbardziej niebezpieczne drogi. W szczególności trzeba wytłumaczyć, że uregulowanie międzynarodowych rozbieżności może wymagać wielu cierpliwych dyskusji, że znalezienie rozwiązania, możliwego do przyjęcia przez wszystkich, że osiągnięcie wspólnego porozumienia przez narody, nieraz bardzo się od siebie różniące, może wymagać dużo czasu, nie wpływając jednak hamująco na tok codziennego życia każdego z tych narodów.

Wynika stąd oczywiście, że tam, gdzie toczy się wojna, jak na przykład w Indochinach, gdzie każdy dzień przynosi nowe zniszczenia i nowe ofiary w ludziach, trzeba domagać się przerwania działań wojennych i zawarcia rozejmu. Oto dlaczego musimy oceniać rozejm w Korei jako zwycięstwo sił pokoju. Aby utrwalić pokój należy nawiązywać rokowania, ożywione tym duchem, jaki winien promieniować z naszej kampanii.

Nie można przenosić automatycznie metod regulowania spraw wewnętrznych na sprawy międzynarodowe. Rozwiązywanie spraw międzynarodowych w obecnym świecie wymaga odmiennego podejścia i odmiennych metod, nacechowanych wolą porozumienia.

Uznawanie pokojowego współistnienia między różnymi ustrojami i nie mieszanie się w wewnętrzne sprawy innych państw już świadczy o istnieniu woli wzajemnego zrozumienia, niezbędnej dla utrzymania pokoju, największego dobra ludzkości. Takie przepisy nie dadzą się zastosować do obywateli jednego kraju w dziedzinie regulowania spraw wewnętrznych. Wymagają one bowiem przeciwstawienia sobie — wraz z nieuchronnymi przy tym sporami — rozbieżnych opinii, rozbieżnych interesów i w tym zawiera się warunek postępu. Ale konflikty wewnętrzne nie powinny dawać powodu do wojny między państwami.

Chodzi o nową postawę, w której taką samą rolę ma do odegrania i serce, i rozum. Trzeba doprowadzić do tego, by rokowania miały taki właśnie charakter. Trzeba tak nastawić umysły, by nie można było wyobrazić sobie regulowania różnic między krajami przy użyciu siły, działającej bądź to przy pomocy głodu, bądź też przy użyciu broni.

Biuro Światowej Rady Pokoju zebrało się w dniu 9 września w Wiedniu z jasną świadomością, jakie warunki spełniać mają uczciwe rokowania.

Po rozpatrzeniu problemów, od których zależy pokój między narodami, Biuro Światowej Rady Pokoju zakończyło swe prace uchwaleniem rezolucji, której tekst zamieściliśmy w poprzednim numerze.

Ta doniosła rezolucja kontynuuje i rozwija myśli Apelu Światowej Rady Pokoju z Budapesztu. Jej celem jest orientowanie — w obliczu konkretnych wydarzeń najwyższej wagi — działalności tych, którzy pragną, by rządy rozwiązywały konflikty środkami pokojowymi, by prowadziły rokowania i osiągały porozumienie.

DROGI KTÓRE SIĘ ROZCHODZĄ

GEORG BRANTING

senator szwedzki z ramienia partii socjaldemokratycznej

OSTATNIE lata przyniosły ze sobą pewne oddalenie między Stanami Zjednoczonymi a Europą zachodnią. Jest to zasadnicza okoliczność przy rozpatrywaniu perspektywy pokoju światowego.

Dla nas, którzy uważamy, że największą szansę utrzymania pokoju daje zrównoważona współpraca między grupami państw, taki rozwój sytuacji jest wielce obiecujący. Stopniowy powrót Europy zachodniej do jej roli niezależnego czynnika w polityce światowej wydaje nam się ważnym etapem na drodze do celu.

Mówiąc o rozchodzeniu się dróg Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych, nie mamy na myśli przygodnych zmian, zachodzących w życiu politycznym. Rozbieżności wyrażają się w tyłu zasadniczych dziedzinach, że już w tej chwili przewidywać można ukształtowanie się nowego układu sytuacji międzynarodo-

wej. Niewątpliwie u jej podstaw leżeć będą różne warunki gospodarcze dwóch grup państw.

Wojna w Korei dosadnie ukazała prawdziwą sytuację polityczną, wykazując jednocześnie wadliwe funkcjonowanie ONZ w dotychczasowych warunkach.

Jakież są konsekwencje tej wojny w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a Europą zachodnią? Otóż była ona nie tylko bardzo kosztowna, ale z punktu widzenia polityki europejskiej okazała się bardzo głupia. Nawet zwycięstwo nie byłoby jej usprawiedliwiło. Atmosfera, panująca między wciągniętymi do wojny koreańskiej państwami zachodnimi, stawiała się więc coraz cięższa. Na europejskim brzegu Atlantyku nikt w gruncie rzeczy nie zgadzał się z polityczną zasadą tego przedsięwzięcia.

Celem tej wojny było oczywiście^{*} usadowienie się Stanów Zjednoczo-

nych na wybrzeżach Azji, co pociągało za sobą liczne konsekwencje dla całego świata. Prawdę mówiąc bowiem stało wówczas pytanie — współpraca międzynarodowa poprzez ONZ czy też nie?

GDYBY nie istniały Chiny Ludowe, wszystko byłoby o wiele prostsze dla niektórych państw. Gdyby kapitał amerykański mógł przenikać do Chin, będących nadal krajem bezsilnym i nieuporządkowanym, wszystko byłoby się potoczyło starą, wytyczoną drogą. Ale ukazanie się na Dalekim Wschodzie wielkiego, prawdziwie suwerennego mocarstwa, potężnego i trwale zjednoczonego, zmieniło sytuację na świecie.

Anglia musiała czuwać w nowych warunkach nad swoimi interesami zarówno tymi, które wiązały się z najbliższą przyszłością, jak i obliczonymi na dalszą metę. Definitywna blokada jej stosunków handlowych z nowymi Chinami nie mogła być dla niej korzystna.

Natomiast Stany Zjednoczone już na długo przed konfliktem koreańskim wybrały linię polityczną, która nieuchronnie musiałaby w przyszłości skomplikować do najwyższego stopnia zagadnienie współpracy z Chinami. Waszyngton, gdzie po śmierci Roosevelta zapanaowali generałowie, admirałowie i magnaci przemysłowi, rozumował już wyłącznie pojęciami „strategii“ i „businessu“.

Dla umocnienia amerykańskiego panowania uznali oni za potrzebne z

całej siły podtrzymywać amerykańskie wpływy we wschodnich państwach Azji. Przekształcili Japonię w państwo satelickie, w pierwszorzędną bazę dla floty morskiej i powietrznej, a w razie potrzeby również dla armii lądowej. Przy pomocy Czang Kai-szeka wyspa Taiwan została po prostu skradziona rządowi chińskiemu.

Wreszcie za pośrednictwem Li Synmana przesadzono w podobny sposób o losach Korei południowej, tworząc bazę w pobliżu granic Chin i Związku Radzieckiego. Realizacja tego programu wojskowego stworzyła nowy układ polityczny na Dalekim Wschodzie, powodując powstanie trwałej sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi a Chinami.

JEDNOCZEŚNIE narastały rozbieżności pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a krajami Europy zachodniej.

Trudno było Stanom Zjednoczonym znaleźć sobie miejsce w powojennym świecie. Niezależnie geograficznie i gospodarczo, silne dzięki swojej przewadze ekonomicznej i swojemu postępowi w dziedzinie broni atomowej, nie były dostatecznie dojrzałe do lojalnej współpracy na zasadach „fair-play“ (uczciwej gry) z powojennym światem. Przeciwnie, zabłąkały się w marzenia o panowaniu nad światem. Mówiąc o Stanach Zjednoczonych, mamy na myśli ich oficjalnych przedstawicieli. Tymczasem ani Europa zachodnia, ani reszta krajów świata nie jest skłonna podporządkować się ich panowaniu.

Tak więc Europa zachodnia i Stany Zjednoczone orientują się w różnych kierunkach. Recepta amerykańska — 50 proc. dawki antyrakietowej, 50 proc. dawki antychińskiej okazała się zbyt silna dla Europy, której potrzebny jest pokój, odprężenie i odbudowa.

Poza tym wspólna nienawiść do komunizmu i wzajemne uznawanie zasad kapitalistycznych nie stanowią wystarczającej więzi. Dwie grupy państw rozdzieliły się w dziedzinie gospodarczej przede wszystkim z powodu żarłoczości, z jaką kapitalizm amerykański chciał korzystać ze słabości i nędzy krajów europejskich. Historię tę pisał „plan Marshalla“ i pakt atlantycki.

Poprzez pakt atlantycki Stany Zjednoczone chciały stać się wojskowymi protektorami Europy zachodniej i zdobyć odpowiednie wpływy polityczne, tłumacząc to tezą o bezpośrednim zagrożeniu rzekomą agresją radziecką. Amerykański przemysł wojenny uzyskał w ten sposób olbrzymie zamówienia, zapewniając sobie jednocześnie pokrycie należności przez państwo, co doprowadziło do obniżenia się stopy życiowej.

Otóż zauważmy, że pakt atlantycki opiera się na błędnym poglądzie, że Stany Zjednoczone dobrowolnie i bez ważnych względów natury politycznej, jedynie z idealistycznych pobudek wystąpiłyby tutaj jako protektorzy Europy zachodniej przeciw ZSRR.

W ten sposób nadano paktowi atlantyckiemu pozór politycznego miłosierdzia, co miało pociągnąć za sobą odpowiednią wdzięczność i... zależność.

Jednak nigdy nie zdarzyło się wielkim mocarstwom, aby rzucały się w olbrzymie przedsięwzięcia wojenne jedynie z pobudek idealistycznych. Utrzymywano wprawdzie, że Anglia przystąpiła do pierwszej wojny światowej, ponieważ Niemcy pogwałcili neutralność Belgii, ale naprawdę stało się tak dlatego, że Anglia uważała za swój żywotny interes nie dopuścić, by cały kontynent europejski znalazł się pod dominacją Niemiec.

Anglia wykorzystwała swoją interwencję nie po to, by pomóc Belgii i Francji czy to gospodarczo, czy też politycznie, lecz aby na tej podstawie zapewnić sobie po pierwszej wojnie światowej pozycję „opiekuną“. Otóż poprzez pakt atlantycki Stany Zjednoczone chciały stworzyć sobie taką pozycję wobec krajów Europy zachodniej w ten sam sposób, w jaki narzuciły swe wpływy najpierw drogą kredytów cywilnych i układów w ramach „planu Marshalla“.

Kiedy „plan Marshalla“ poniósł fiasko, kapitalizm amerykański nie miał innych perspektyw jak przedłużać zimną wojnę, prowadzić nieprzerwaną budowę baz lotniczych i morskich (Hiszpania, Skandynawia), przeciągać możliwie najdłużej wojnę w Korei.

Tymczasem — szukając korzyści w powszechnych zbrojeniach — kapitalizm amerykański napotykał na swej drodze przeszkody. Naród amerykański zaczął się przekonywać, że wojna w Korei kosztuje o wiele za dużo amerykańskiej krwi. Można było stawiać pod znakiem zapytania radzieckie propozycje pokojowe, ale

na dłuższą metę nie można było ani ich ukrywać, ani lekceważyć. Opinia mas ludowych w Stanach Zjednoczonych zaważyła na wyborach prezydenckich. Trzeba było obiecać pokój przynajmniej w Korei.

Ale jednocześnie chodziło o to, by nie poddać się „panice pokoju”. Rozwiązanie dylematu znaleziono w takim oto programie: wojna trwać będzie „między samymi Azjatami”, to znaczy z pomocą Czang Kai-szeka, gdy tymczasem amerykańscy dostawcy broni będą mogli w bezpiecznej odległości zgarniać swe zyski.

Wreszcie doszliśmy do rozejmu w Korei. Rząd radziecki otworzył drogę do dyskusji na „najwyższym szczeblu” w celu kontynuowania polityki odprężenia. Nawiązano również nową dyskusję w sprawie niemieckiej tak istotnej dla pokoju światowego. Dzisiaj francuscy i angielscy politycy przetrawiają inne, pilniejsze problemy, niż rozbieżności między Wschodem a Zachodem. Niemcy odgrywają w Europie rolę zarazem cementu i ładunku wybuchowego, a polityka paktu atlantyckiego najwidoczniej nie daje rozwiązania wszystkich problemów bieżących.

Jednym słowem, obecne wydarzenia uczą dzieci narody Europy: „Zajmujcie się teraz swymi własnymi sprawami!” Narody Europy zachodniej nie mają ani czasu, ani ochoty, ani środków, by być satelitami amerykańskimi. Zresztą inne narody też nie tęsknią do roli satelitów.

W 1945 r. Stany Zjednoczone cieszyły się wielkim kredytem. Jakaż reklamę rozwinęły one na temat

swej potęgi, swego bogactwa, umiłowania swobód demokratycznych, ich międzynarodowego idealizmu i ich woli umocnienia pokoju.

A TERAZ! Polityka ekspansji światowej, paktu atlantyckiego, rujnująca narody wojna w Korei, hegemonia dolara, rujnujące nakazy blokady gospodarczej, imperialistyczne zakusy na Dalekim Wschodzie, nadużywanie bez skrupułów autorytetu ONZ, faszyzm Mac Carthy'ego, zdecydowane popieranie reżimu Franco. Gdzież się teraz podział ten kredyt?

Wielki kapitalizm amerykański uczynił olbrzymi krok naprzód w czasie drugiej wojny światowej. Bezceremonialnie stanął na czele interesów państwa, zagarniając w swe bezpośrednie władanie również ministerstwo spraw zagranicznych i wojny. Wszystko stanęło pod znakiem businessu i robienia pieniędzy!

Można oczywiście rządzić państwem w ten sposób — zdarzało się to niekiedy, osiągnano nawet pewne powodzenie! Ale panowanie kapitalizmu jest historycznym upiorem, którego nie da się ożywić! Niezliczone doświadczenia i błędy nauczyły narody europejskie, że istnieje między ziemią a niebem dużo innych rzeczy poza pieniędzmi, na przykład stara świadomość narodowa, konsolidująca państwo i rozwijająca wartości kulturalne. Rozważni mężowie stanu winni posiadać świadomość tych spraw.

Zdaje się, że zaciemnił ją amerykański kocioł czarownic, co jedynie tłumaczyć może ekstrawagancje polityki amerykańskiej. Wierzono, że

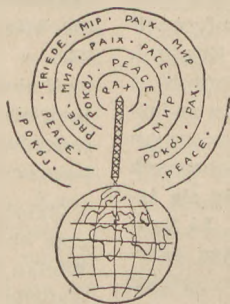
wyłącznie przy pomocy potęgi pieniądza będzie można kierować wielkimi narodami o starej kulturze — zarówno w Europie, jak i w Azji — jak zbłądzonymi trzodami ludzkimi, bez poczucia godności i świadomości narodowej.

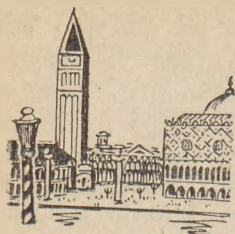
Jak powiedzieliśmy na początku tego artykułu, drogi Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych zaczynają się rozchodzić. Naszym zdaniem dzieje się to z korzyścią dla sprawy pokoju.

Pokoju nie zdobędziemy oczywiście kampanią judzenia przeciw narodom, przeciw narodowi amerykańskiemu w szczególności, gdyż nikt nie może być aż tak zaślepiony, by nie zdawać sobie sprawy z jego wartości. Ale zdaniem naszym

naród ten popadł we władzę takiego reżimu, o którym tyle tylko powiemy, że jego hegemonia nad połową świata byłaby nieszczęściem i zgubnym krokiem wstecz.

Pokój światowy musi być dziełem samych narodów. Narody Europy zachodniej, nad którymi polityka amerykańska chciałaby rozciągnąć powiernictwo, zmuszając je do sojuszu w ewentualnym konflikcie światowym między ustrojem kapitalistycznym a komunistycznym — pragną dzisiaj wyrwać się ze swego zależnego położenia, odzyskać swobodę działania, prowadzić politykę, opartą na ich własnym sądzie; w ten właśnie sposób będą one mogły wnieść wielki wkład do sprawy pokoju światowego.





Zgrzyty między Londynem a Waszyngtonem

GORDON SCHAFFER

NA ostatnim posiedzeniu Kongresu brytyjskich związków zawodowych w Douglas na wyspie Man zdarzył się znamieny wypadek. Kiedy delegaci jednogłośnie przegłosowali rezolucję, domagającą się zwołania konferencji szefów rządów Wielkiej Brytanii, Francji, Stanów Zjednoczonych i ZSRR, John Horner, sekretarz związku kolejarzy, zadał zgromadzonym takie pytanie: „Czy ktoś z obecnych na tej sali delegatów odważy się teraz powiedzieć, że w 1950 r. Li Synman stał się niewinną ofiarą agresji?” W sali zapanowało śmiertelne milczenie.

Gdyby to samo pytanie zadano parę tygodni przedtem, kiedy Li Synman nie usiłował jeszcze brutalnymi manewrami ponownie sprowokować wojny, pytanie Johna Hornera przyjętoby okrzykami protestu.

Dzisiaj ci wszyscy, którzy zgadzają się iść w ślad za Amerykanami za każdą cenę — a nie brak takich zarówno w łonie rządu, jak Partii Pracy i brytyjskich związków zawodowych — widzą, że znaleźli się w sieci swojej własnej propagandy. Nie mogą po raz drugi nadużywać zaufania. Wiedzą oni dzisiaj, że naród brytyjski nigdy nie pójdzie za nimi w agresywnej wojnie Li Synmana.

W chwili obecnej cały świat wydaje westchnienie ulgi. Ustały walki, jeńcy wojenni — radośnie witani — powrócili do swoich domów.

Należy zauważyć, że kiedy podczas obrad Komisji Politycznej ONZ Wielka Brytania, Nowa Zelandia i Kanada wysunęły projekt rezolucji, zapraszając Indie do wzięcia udziału w konferencji politycznej w sprawie Korei, prasa brytyjska niemal jednogłośnie poparła ten wniosek.

Dzienniki brytyjskie podkreśliły również fakt, że właściwie po raz

pierwszy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone głosowały na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych w przeciwnych obozach. Raz przynajmniej brytyjska opinia publiczna została całkowicie poinformowana o manewrach amerykańskich, zmierzających do przegłosowania rezolucji Commonwealthu.

Głosowanie, które przyniosło 27 głosów na rzecz udziału Indii, 21 — przeciw i 11 wstrzymujących się, jawnie uznano za moralną porażkę Stanów Zjednoczonych. Prasa poświęciła wiele stron na wykazanie, że jedynie zasada większości 2/3 głosów uniemożliwiła dopuszczenie Indii do udziału w konferencji politycznej w sprawie Korei.

Warto zacytować oświadczenie delegata Indii, Kriszny Menona, gdyż nabrało ono jeszcze większego znaczenia w czasie debaty nad kontrpropozycją Chin Ludowych i Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Oto jego słowa:

„Nasza własna znajomość rządów Chin i Korei Północnej pozwala nam wierzyć, że ich wystąpienia w ONZ będą nacechowane rozsądkiem i pojednawczością. Konferencja polityczna w sprawie Korei nie powinna ograniczać swego składu do krajów, których wojska walczyły w Korei. Moim obowiązkiem jest wyrazić i podkreślić zaniepokojenie mojego rządu z powodu oświadczeń na temat zjednoczenia czy też podboju Korei przy użyciu siły, jak również jego zaniepokojenie z powodu metod, polegających na opuszczaniu sali obrad, zakładaniu weta lub innych manewrach tego rodzaju. Złe rezultaty zapowiada konferencja, kiedy za-

czyna się od pogroźek i przejawów nieufności“.

Brytyjska opinia publiczna jednoznacznie opowiada się za tym oświadczeniem. W szczególności przywódcy labourzystowscy nie powinni umniejszać jej znaczenia, gdyż Indie cieszą się olbrzymim autorytetem wśród członków Partii Pracy.

Delegat Wielkiej Brytanii Gladwyn Jebb złożył Indiom swe uznanie z powodu tak ważnej roli, jaką odegrały w zawarciu układu w sprawie jeńców. Prawda, że w kilka dni później Gladwyn Jebb „przyjął postanowienie Zgromadzenia“ i okazał się o wiele posłuszniejszy wobec żądań amerykańskich, ale kiedy dojdzie do dyskusji nad kontrpropozycjami Korei Północnej i Chin, będzie mu o wiele trudniej odmówić Indiom swego poparcia.

Ponieważ piszę te słowa w przededniu dyskusji, które toczyć się będą w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, jest rzeczą niezmiennie niebezpieczną ryzykować prorocтва.

Foreign Office (brytyjskie MSZ) opublikowało jedynie deklarację, w której niezręcznie oświadcza, iż w dyskusji na temat propozycji chińskich i północno - koreańskich powinny przede wszystkim brać udział kraje, które brały udział w wojnie w Korei. Nic w tym zaskakującego, ponieważ Foreign Office z zasady wypowiada oświadczenia, podporządkowujące politykę Wielkiej Brytanii linii politycznej Stanów Zjednoczonych. Ale w ciągu ostatnich miesięcy zaszła ta wielka zmiana, że w wielu kluczowych punktach rząd brytyjski nie zgodził się prowadzić Wielkiej Brytanii bez zastrzeżeń na pasku amerykańskim.

Gdyby Wielka Brytania podjęła inicjatywę przekształcenia w sposób konstruktywny propozycji, wysuniętych w ONZ na temat konferencji politycznej w sprawie Korei, inicjatywa taka nabrałaby szerokiego rozgłosu. Z drugiej strony Amerykanie bardzo wyraźnie spodziewają się wykorzystać swoich satelitów na Ogólnym Zgromadzeniu ONZ dla storpedowania wszelkiej próby, zmierzającej do zmiany ich propozycji.

Wtedy Li Syn-man liczyć zacznie dzień po dniu owych ustalonych dziewięćdziesiąt dni, po czym wezwie do wojny totalnej, powołując się na układ, podpisany przez szesnaście krajów.

Ten dylemat wydaje się nie do rozwiązania, gdyż amerykańscy dyplomaci bardzo jasno ustalili przed zawarciem rozejmu, w czasie swych rozmów z Li Syn-manem, że bynajmniej nie zamierzają dążyć do prawdziwego porozumienia na konferencji politycznej w sprawie Korei.

Amerykanie mogą przeszkodzić zawarciu porozumienia, ale nie mogą nic uczynić, by narzucić rozwiązanie w postaci utworzenia „zjednoczonej” Korei pod egidą Li Syn-mana. Nie mogą wygrać przy stole obrad tego, czego nie zdołali uzyskać na polu walki. Wie o tym Wielka Brytania.

Tak więc Wielka Brytania, której rząd i naród pragną pokoju w Korei, zmuszona jest zająć stanowisko. Polityka amerykańska nie daje sojusznikom USA żadnej innej alternatywy, jak tylko oddzielić się od polityki, prowadzonej przez Waszyngton.

Toteż jest rzeczą nieuniknioną — w miarę, jak ujawnia się bankructwo polityki USA — że w Wielkiej Bry-

tanii z coraz większym naciskiem dają się słyszeć głosy na rzecz handlu i przyjaźni z Chinami. Nie z miłości dla nowego ustroju Wielka Brytania uznała Chiny w 1950 r. Nie, postanowienie uznania rządu w Pekinie powziął rząd Attlee w interesie Wielkiej Brytanii i z oficjalnym poparciem Winstona Churchilla.

Nie wszyscy także wiedzą, że Wielka Brytania powzięła tę decyzję za wyraźną zgodą ówczesnego sekretarza stanu USA, Achesona. I dopiero kiedy **China lobby** przy pomocy „półowania na czarownice” w wykonaniu McCarthy’ego połknęła swoje pierwsze ofiary — Owena Lattimore i Algera Hissa — Acheson poparł politykę, która pozwoliła Foster Dullesowi, generałowi Mac Arthurowi i Li Syn-manowi sprowokować wojnę w Korei.

Powody, które pchnęły Wielką Brytanię do uznania w 1950 r. Chin Ludowych, są aktualne także i dzisiaj. W czasie wojny w Korei nacisk, wywierany przez najróżniejsze koła na rzecz zdrowszej i bardziej zrównoważonej polityki wobec Chin, został zduszony, ponieważ rząd mógł powoływać się na argument, iż wojska angielskie i chińskie walczą przeciw sobie.

Ale teraz sytuacja znów się zmieniła. Niektóre gałęzie przemysłu otrzymały już poważne zamówienia od Chin, inne starają się wejść na rynek. „**Economist**”, który jest prawdopodobnie najbardziej proamerykańskim organem w całej prasie angielskiej, oświadczył 12 września br.:

„Poważni mężowie stanu powinni przynajmniej przestać uważać, że każda sprzedaż samochodu ciężaro-

wego komunistycznemu klientowi stanowi zdradę wolnego świata“.

Angielscy przywódcy, czy to z kół gospodarczych, czy politycznych, nie nawiadzą komunizmu, ale pragną pokój w Korei i handlowych stosunków z Chinami. Amerykańscy przywódcy otwarcie wezwali do nowej wyprawy wojskowej w Korei i do rozszerzenia wojny na Chiny.

Rów jest zbyt głęboki, by mogły go wypełnić manewry w Lake Success, lub manipulacje maszynki do głosowania w Zgromadzeniu Ogólnym NZ.

Ale niebezpieczeństwo pozostaje. Jak długo wojska brytyjskie przebywają w Korei, istnieje groźba prowokacji. Taka prowokacja jest bardzo możliwa. Stanowi ona dla wrogów pokoju środek wyjścia z dylematu, w jaki wprowadziły ich obietnice dane Li Syn-manowi.

Poza tym konfliktu koreańskiego nie można oddzielać od wojen na Malajach i w Indochinach. Jak długo toczą się te wojny, a Francja i Wielka Brytania widzą, jak płynie ich krew i ich złoto, amerykańscy mężowie stanu mogą dowolnie używać szantażu dolarowego. Prezydent Eisenhower powiedział 4 sierpnia br. w Seattle:

„Kiedy Stany Zjednoczone uchwalają 400 milionów dolarów na pomoc w wojnie w Indochinach nie dają pieniędzy za darmo. Przeciwnie, wybieramy sposób najmniej uciążliwy, by uniknąć takiego stanu rzeczy, który byłby najbardziej katastrofalny dla Stanów Zjednoczonych. Chodzi o nasze bezpieczeństwo i o pewność uzyskania niektórych

produktów, które są dla nas najpotrzebniejsze wśród bogactw naturalnych terytorium Indonezji i Azji południowo - wschodniej“.

Oświadczenie to oznacza, że Wielka Brytania i Francja nie mogą zawrzeć w Indochinach i na Malajach porozumienia w myśl swoich własnych interesów bez narażenia się Stanom Zjednoczonym. Taki układ, jaki ratyfikowano z Indiami, Pakistanem, Burmą i Indonezją, kiedy kraje te otrzymały niepodległość, ocenionoby dzisiaj w Waszyngtonie jako uznanie „komunizmu“. A jednak również i tutaj dylemat pozostaje nie do rozwiązania, gdyż leży także w interesie Waszyngtonu, aby Wielka Brytania i Francja znalazły sposób opatrzenia otwartej rany, jaką im zadają te wojny.

Wreszcie pogrożki dr Adenauera pod adresem Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Polski zaraz nazajutrz po jego zwycięstwie wyborczym wzbudziły w Wielkiej Brytanii wielkie zaniepokojenie.

Sam Shinwell, który jako minister obrony narodowej popierał remilitaryzację Niemiec zachodnich, wydał oświadczenie, w którym ostrzega przed wszelkim ewentualnym poparciem dla polityki Adenauera.

Tak więc w Azji, Europie i na frontach wojen kolonialnych sytuacja się wyjaśnia. Naród angielski nie rozeznał jeszcze dokładnie ani poważnych niebezpieczeństw, które zagrażają w najbliższych miesiącach, ani doskonałej sposobności działania, jaka mu się nasuwa. Ale naród angielski szybko się uczy.

Naród amerykański

Pierwszy całkowity dokument przedstawiający opór narodu amerykańskiego przeciwko polityce wojny.

SIŁY POKOJU

MNIEJ WIĘCEJ raz w miesiącu zbierają się niezliczone grupki obywateli amerykańskich, liczące dwadzieścia lub więcej osób. Są to spotkania mieszkańców domów, dzielnic, spotkania sąsiedzkie, doraźne dyskusje w miejscach pracy we wszystkich wielkich miastach Stanów Zjednoczonych, w większości małych miast i w znacznej liczbie miasteczek i skupisk wiejskich. Mężczyźni i kobiety zbierają się, aby przedyskutować sytuację światową, a często przy takiej okazji spędzają popołudnie lub wieczór na redagowaniu listu do posła lub senatora swego stanu, czy też do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Rozmawiają o bliskim zgromadzeniu publicznym, które mogliby zorganizować, o stu lub dwustu swoich przyjaciółach, których mogliby zebrać. Debatają na temat możliwości umieszczania w lokalnym dzienniku ich miasta wiadomości o działalności na rzecz pokoju.

Poszukują środka, przy pomocy którego można by dać poznać całe-

mu narodowi amerykańskiemu argumenty na rzecz pokoju, lecz często w tym momencie dyskusja schodzi na inne zagadnienia i kończy się bez konkluzji, gdyż zadanie to jest szczególnie trudne i nikt jeszcze nie wykrył innego sposobu dobrego wypełnienia go, jak przy pomocy nakładu nadzwyczajnej cierpliwości i żmudnej pracy. Te komórki stanowią serce Amerykańskiego Ruchu Obróńców Pokoju.

Nikt nie zna dokładnej liczby tych małych komitetów pokoju. Nie są one dość ściśle z sobą powiązane, aby można było wyrobić sobie zdanie o ich globalnej sile. Zresztą, gdyby nawet było można uzyskać tego rodzaju ocenę, publikowanie jej nie byłoby rzeczą politycznie mądrą. Większość tych komitetów, jeśli tak można nazwać owe małe grupy, które tworzyły się spontanicznie, powstała bardzo niedawno. Stanowią one odpowiedź narodu amerykańskiego na zimną wojnę. Przedstawiają najbardziej rozwiniętą formę świadomości politycznej w Stanach Zjednoczonych. Celem ich jest kierowanie wyraźnych postulatów pod adresem rządu oraz wypracowanie jasnych i wyraźnych poglądów na sprawę środków utrzymania pokoju. Ich najbardziej żywym pragnieniem jest zjednoczenie ruchu w obronie pokoju w Stanach Zjednoczonych i związane go ze Światowym Ruchem w Obronie Pokoju. Właśnie te komite-

między pokojem i wojną

ty będą w przyszłości najprawdopodobniej mnożyć się i rosnać i one zrazem będą najbardziej narażone na represje rządu amerykańskiego.

Obok tych komitetów istnieją grupy pacyfistyczne starego typu. W gruncie rzeczy Stany Zjednoczone posiadają starą i potężną tradycję działalności antywojennej. Na rachunek tej tradycji zaliczyć należy przede wszystkim w przeszłości walkę przeciwko zaborczej wojnie, jaką rząd amerykański rozpętał w Meksyku, wypierając Hiszpanię z największej części jej imperium kolonialnego i jednocząc ponownie blok mocarstw kierowanych przez Wielką Brytanię przeciwko blokowi kierowanemu przez Niemcy. Tradycja ta, owa przeszłość działalności pokojowej, pozostawiła po sobie resztki grup pacyfistycznych, które działają jeszcze, lecz które wahają się z zaangażowaniem się w walce na nowo. Przed dwoma laty uczestniczyłem w delegacji, która udała się do pewnego bardzo znanego duchownego kwakra z prośbą, aby zabrał głos na wiecu w obronie pokoju. „Daremnie — odpowiedział nam smutno — dwukrotnie walczyłem o pokój, i dwukrotnie zostałem zwyciężony“.

Istnieją również grupy pacyfistów chrześcijan w łonie Kościoła Protestantckiego. Najsilniejsze z nich znaleźć można u metodystów, kwakrów i u prezbiterianów. Występują również bardzo licznie wśród innych

wyznań. Ich stan liczebny jest bardzo duży. Nie wahają się przed wyśuwaniem swych postulatów bezpośrednio w Waszyngtonie, a w ciągu ostatnich dwu lat bardzo wzrosli liczebnie. Nie należy lekceważyć roli, jaką odgrywają w ruchu pokoju, lecz podkreślić trzeba, że wykazują oni skłonność do poświęcania się bez reszty dobroczynności. W ten sposób zużywają całe miesiące na opracowywanie planów, na kwestę, aby potem wysłać jedną krowę do Pakistanu, zamiast zebrać podpisy pod petycją, domagającą się od Kongresu uchwalenia kredytów na pomoc dla walki z głodem w Pakistanie, na co zużyliby trzykrotnie mniej czasu i osiągnęliby o wiele skuteczniejsze rezultaty.

Wreszcie, komitety pokoju powstały w fabrykach i zakładach przemysłowych. W wielkich miastach wykazują one tendencje do konsolidacji. Jednak wobec braku wśród robotników amerykańskich tradycyjnych pozycji walki na rzecz pokoju, organizowanie milionów robotników amerykańskich w związkach zawodowych na rzecz pokoju nie dało jeszcze dotychczas pozytywnych rezultatów.

Cała działalność, jaką te różne ugrupowania mogą wykonać na rzecz pokoju, jest bardzo zmienna. Są one wszystkie zdolne do tego, aby troszczyć się o swoje własne potrzeby i dążyć bardzo wyraźnie do zwiększe-

na swej liczebności. Odbywają regularnie zebrania i wzrastają, jakkolwiek na obecnym etapie ten wzrost jest powolny. Są one na drodze do tego, aby zapoznać ze swoją działalnością mieszkańców swoich miast i stanów. Potrafiły rozkolportować znaczną ilość powielanych ulotek czy drukowanych biuletynów informacyjnych i powiedzieć można, iż w pewnych określonych sprawach, przy okazji pewnych wydarzeń, ruch w obronie pokoju potrafił rozwinąć dużą aktywność.

Tak na przykład w listopadzie 1950 r., gdy rząd Stanów Zjednoczonych groził zrzucając bombę atomową na Chiny, ruch w obronie pokoju był w stanie przynajmniej częściowo publicznie dać wyraz uczuciu oburzenia, jakiego doznawał naród amerykański. Również przy innych sposobnościach, kiedy rząd amerykański podejmował jakąś szczególnie skandaliczną akcję, ruch w obronie pokoju umożliwiał narodowi wyrażenie swojej opinii. Odnosi się to przede wszystkim do problemów z dziedziny polityki wewnętrznej, jak na przykład do zagadnienia obowiązkowej służby wojskowej. W 1952 r. kościoły protestanckie szczyliły się tym, że stały na czele walki przeciwko ustawie o obowiązkowej służbie wojskowej, która miała być przedstawiona Kongresowi i na zaszczyt ten w pełni zasłużyły. Inny przykład, tym razem hipotetyczny. Gdyby rząd Stanów Zjednoczonych postanowił opuścić Organizację Narodów Zjednoczonych dlatego, że rząd Chin Ludowych miałby być do niej dopuszczony, wówczas ruch w

obronie pokoju mógłby zebrać protesty znacznej części ludności.

Z drugiej strony ruch w obronie pokoju źle przeprowadził wiele innych akcji. Jeśli w 1949 r. zebrano około trzech milionów podpisów pod Apelem Sztokholmskim, a w 1952 r. około miliona — pod Apelem o Pakt Pokoju pomiędzy pięciu wielkimi mocarstwami, to dzisiaj liczba podpisów jaką można byłoby zebrać pod tego rodzaju apelem zbliżałaby się raczej do około jednego miliona, aniżeli trzech milionów. Jedną z głównych przyczyn tego jest fakt, że większość grup pokojowych w łonie kościołów odmówiłaby obecnie swego poparcia dla kampanii prowadzonej w skali międzynarodowej.

Istnieje również inny trudny do rozwiązywania problem. Kiedy ruch w obronie pokoju wysyłał swoich delegatów za granicę na różne kongresy światowe, wówczas po ich powrocie organizowano dziesiątki wieców w różnych częściach Stanów Zjednoczonych, lecz ilość słuchaczy na tych wiecach nigdy nie przekraczała stu do dwustu osób. Czasem udaje się zgromadzić tysiąc lub dwa tysiące osób dla wysłuchania któregoś z rzadkich mówców, których nazwiska są nieco znane publiczności amerykańskiej. Na ogół jednak biorąc, ruch obrońców pokoju w Stanach Zjednoczonych nie umie organizować masowych wieców.

Nie doszedł on dotychczas nawet do tego, aby wydawać periodyczne czasopismo w skali krajowej lub publikować serię wydawnictw, chociaż w tej dziedzinie kwakrzy wydali na swój rachunek liczne broszury, osiągające znaczne nakłady.

Ruch obrońców pokoju nie zdobył również dostatecznej siły, aby stać się narzędziem nacisku na Kongres w Waszyngtonie i stworzyć grupę w kuluarach Kongresu. W ciągu ostatnich lat podejmowano liczne próby zorganizowania takiej siły kuluarowej, lecz z wyjątkiem walki przeciwko ustawie o obowiązkowej służbie wojskowej, osiągnięto tylko znikome rezultaty.

Zanotujmy na koniec, iż amerykański ruch obrońców pokoju nie znalazł się po dziś dzień pod bezpośrednim ostrzałem urzędowego badania, prowadzonego przez kogoś w rodzaju McCarthy'ego lub przez jakąkolwiek inną komisję śledczą. Z wyjątkiem małej grupy, która patrolowała rozpowszechnianie Apelu Sztokholmskiego w Stanach Zjednoczonych oraz ugrupowań, których poglądy odnośnie sposobu osiągnięcia pokoju przyniosły im zaszczyt figurowania na spisie organizacji wyrotowych sporządzonym przez generalnego prokuratora Stanów Zjednoczonych, McCarthy i towarzysze nie wpadli na myśl, że „posiadają” ruch w obronie pokoju, jakkolwiek z drugiej strony postanowili zorganizować polowanie na wszystkich ludzi o poglądach pacyfistycznych w Hollywood, na uniwersytetach i w kolegiach, w związkach zawodowych itd. Ludzi pojmujących na tak zwanych „czerwonych” powstrzymuje może nie tylko fakt, że ruch w obronie pokoju nie doszedł jeszcze do dostatecznej potęgi, lecz również fakt, iż nie byłoby bardzo wskazane, ze względu na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, prześlado-

wać zbyt publicznie ruch w obronie pokoju.

Słowem powiedzieć można, że większość amerykańskich komitetów ruchu w obronie pokoju prowadzi swoją działalność ze zdecydowaniem, szczerością i uporem. Niektórzy ludzie działają, mówiąc sobie; „dobrze że przynajmniej ktoś bierze w swe ręce słuszną sprawę pokoju”, jednak mają oni jedynie słabą nadzieję na ostateczne zwycięstwo swej sprawy i często widzą się zepchnięci do stanu beznadziejności, gdy stwierdzają swą bezsilność wobec ogromnej presji, wywieranej w ich ojczyźnie na rzecz wojny. Inni, zwłaszcza zaś ci, którzy należą do grup bardziej uświadomionych politycznie, również prowadzą swoją działalność raczej z uporem, aniżeli z entuzjazmem, jednakowoż wielu spośród nich jest dziś nastrojonych bardziej optymistycznie. Optymizm ich opiera się na niewielkich sukcesach, jakie można było osiągnąć w ich kraju, lecz przede wszystkim rodzi się stąd, że widzą oni, jak wydarzenia międzynarodowe działają na ich korzyść, jak oddala się niebezpieczeństwo wojny i jak towarzysze walki z drugiej strony oceanu dojrzewają coraz bardziej do kierowania przyszłością świata.

ATMOSFERA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Ruch pokoju w Stanach Zjednoczonych rozwija się w atmosferze sympatii, jaką otacza się tam samą ideę pokoju. Pod tym względem wszyscy ci, którzy w nim uczestniczą, spotykają się z aprobatą. Lud-

ność Stanów Zjednoczonych ustosunkowuje się do pokoju z głęboką życzliwością, nie ufa jednak organizacjom pracującym na rzecz pokoju. Pragnie ona pokoju w ogóle, lecz z trudem zdobywa się na to, aby zaaprobować ściśle programy walki o pokój. Pomiedzy tym, czego naród pragnie, a tym, do zaaprobowania czego pchany był w ciągu ostatnich ośmiu lat, istnieje konflikt objawiający się w różnych postaciach.

Można z całą słuszością twierdzić, że naród amerykański życzliwie odnosi się do idei pokoju, jakkolwiek rikt nie potrafiłby podać liczby obywateli związanych z ruchem obrońców pokoju. Mniej więcej przed pięciu laty, z badań opinii publicznej, z rozmów z przyjaciółmi lub z ludźmi na ulicy wynikało, iż wszędzie panowało przekonanie, że nowa wojna jest nieunikniona, a nawet, że wybuchnie w bardzo niedługim czasie.

Dziś owa opinia o nieuchronności wojny słabnie. Nie została ona zastąpiona wiarą w to, że istnieje więcej szans na zapewnienie pokoju, niemniej jednak atmosfera poprawiła się nieco. Przykład: ludzie nie żartują już na temat różnych schronów, do których uciekaliby na wypadek ataku atomowego. Badania opinii publicznej dają wyniki inne aniżeli przedtem, poza tym zaś coraz trudniej znaleźć w prasie wyniki badań opinii publicznej na tematy międzynarodowe. Gdy w którejś z takich ankiet biorący w niej udział wypowiedzieli się za wielkimi wydatkami na zbrojenia, prasa podaje wyniki do wiadomości, kiedy jednak badania te wykazywały większość wypowiedzi za zakończeniem wojny w Korei lub

też za spotkaniem Eisenhower — Ma lenkow, niemożliwością niemal jest znaleźć ślad tego w dziennikach.

A oto inna oznaka wzrostu nastrojów pokojowych. Prawie wszyscy obserwatorzy w Stanach Zjednoczonych analizowali ostatnią prezydencką kampanię wyborczą twierdząc, iż toczyła się ona raczej wokół sprawy pokoju, aniżeli około jakiegokolwiek innego zagadnienia.

Demokraci, którzy wmieszali Amerykanów w niepopularną wojnę koreańską, nie wiedzieli jak z niej wyjść. Eisenhower przyrzekł w sposób teatralny, że osobiście odbędzie podróż do Korei i zakończy wojnę — obietnica, której wypadało mu dotrzymać wbrew woli przywódców swojej partii.

Dulles obwieścił w czasie kampanii wyborczej Eisenhowera główne linie polityki, zwanej polityką „wyzwolenia“ Europy i Wschodu. Jednakowoż ta propozycja została natychmiast wycofana wobec sprzeciwów reszty partii republikańskiej. Partia chciała zwyciężyć, a byłoby to niemożliwe, gdyby jej kampanii towarzyszyły fanfary wojenne.

Tkwące w narodzie amerykańskim pragnienie pokoju oraz brak entuzjazmu dla przygotowań wojennych znajduje również wyraz w jego postawie wobec obrony cywilnej. Obrona cywilna, na szczęście nie praktykowana w czasie pokoju w reszcie świata, stanowi sposób, mający zapewnić ochronę przeciwko nalotom bombowców przez wystawianie posterunków obserwatorów powietrznych, przez ćwiczenie ludzi w metodach zwalczania pożarów, przez wyznaczanie komendantów bloków

mieszkalnych, przez organizowanie punktów opatrunkowych itd...

W rzeczywistości obrona cywilna ma przede wszystkim cel propagandowy. Zmierza do tego by oswoić publiczność z okropnościami wojny, przyzwyczaić ją do uważania ich za rzecz nieuniknioną, do myśli o tym, że wojna się zbliża, że do ustalenia pozostaje jedynie data i że jedyną rzeczą, która pozostaje do zrobienia, to zabezpieczyć się przeciw jej skutkom. W każdym stanie wyznaczony jest generał, którego nazwiska nikt dotąd jeszcze nie słyszał, a który staje na czele obrony cywilnej. Składa on z reguły deklaracje na temat ogromu zniszczeń wojennych i daje wyraz swemu przerażeniu wobec stanu naszego braku przygotowania. Główną racją istnienia generała jest składanie tego rodzaju oświadczeń, które później z reguły powtarza gubernator, burmistrz poszczególnych miast itd... Obojętność z jaką przyjmuje się całą tę propagandę dowodzi zdrowego rozsądku ludności.

Mniej więcej rok lub dwa lata temu, wywieszki w oknach obwieszczały przechodniowi, że mieszkaniec tego domu jest komendantem bloku. Dziś większość ich już znikła. Trzeba nieustannie redukować plany zaciągu do obrony cywilnej, których nigdy jeszcze w pełni nie zrealizowano. Mało jest obserwatorów, którzy by czuwali na wzgórzach, oczekując na rzekomy nalot samolotów nieprzyjacielskich. Nie słyszy się dużo krytyk pod adresem programu obrony cywilnej — to mogłoby być niebezpieczne — ale nikt nie zwraca też na ten program uwagi. Gdyby ktokolwiek okazał się entuzjastą, nie

znalazłby zupełnie zrozumienia u swoich sąsiadów.

Należy również zauważyć, że w czasie trwania wojny koreańskiej nigdy nie osiągnęto planowanej ilości zebranej krwi dla rannych w Korei. W niektórych miejscowościach organizowano kampanie i „zagrzewano“ ludność, aby oddawała swą krew, lecz byli to organizatorzy opłacani.

W jeszcze większym stopniu tak się ma rzecz z pożyczkami wojennymi. Podczas drugiej wojny światowej kampanie na rzecz pożyczek rozpętywały ogromne akcje reklamowe; udawało się ściągać od ludzi pracy wiele miliardów pożyczek w postaci obligacji skarbowych. Wojna w Korei nie rozbudziła podobnych nastrojów i to ze słusznych powodów. Przede wszystkim dlatego, że publiczność stała się odtąd nieufna w stosunku do obligacji skarbowych, które straciły wiele ze swej wartości na skutek inflacji, a poza tym nikt nie śpieszy się do dawania swoich pieniędzy na przedłużenie wojny.

Nastroje ludowe w Stanach Zjednoczonych charakteryzuje ponadto również i to, że nigdy nie dochodziło do długotrwałych przejawów gwałtów faszystowskich w stosunku do ruchu obrońców pokoju. W 1949 r. miała miejsce słynna afera w Peekskill, kiedy podjudzeni przez wrogów pokoju ludzie rzucali kamienie w czasie koncertu Paul Robesona. Tego rodzaju incydenty nie powtórzyły się więcej. „Legion Amerykański“ nie przewiduje w swoim programie prześladowania ruchu w obronie pokoju. Zdarza się, że wiece w obronie pokoju bywają rozpędzane w sposób gwałtowny. Jest to

z reguły dziełem emigrantów z Europy, przeważnie Litwinów lub Ukraińców.

Wreszcie, ruch pokoju zapisać może na swoje dobro wielkie zwycięstwo polityczne, mianowicie cios zadany projektowi ustawy o wprowadzeniu powszechnej służby wojskowej w r. 1952.

Wróćmy jednak do panującej w Stanach Zjednoczonych sprzeczności w stosunku do idei pokoju. Przygniatającej większości społeczeństwa amerykańskiego wpojona została, zwłaszcza w pierwszych latach powojennych, postawa antyradziecka i antykomunistyczna. Można dyskutować nad tym, czy propaganda ta przeniknęła, czy nie przeniknęła głęboko do świadomości narodu, faktem jednak jest, że istnieje ona na powierzchni.

Nie jest to ten rodzaj namiętnego i zacieklego antykomunistycznego nastawienia, z jakim spotkać się można ze strony Niemców, lub emigrantów z krajów komunistycznych. Pożywką dla niego są przede wszystkim niezliczone komunały na temat komunizmu, które często nie stanowią zarzutów przeciwko zasadom gospodarczym komunizmu. (Czasopismo „Progressive” zadało ostatnio około stu przeciętnym obywatelom pytanie: co to jest komunizm? I w odpowiedzi otrzymało stos odpowiedzi tak niewiarogodnych, że trzeba je przeczytać, aby uwierzyć).

Sądzę, że gdyby narodowi amerykańskiemu zadano następujące pytanie: „czy komunizm stanowi zagrożenie dla świata?“, duża większość odpowiedzi brzmiałaby twierdząco i jedynie mniejszość tych odpowiedzi

twierdzących byłaby podyktowana strachem przed otwartym wypowiedaniem się wobec osób nieznanymi.

Gdyby jednak zadano pytanie: jakie problemy absorbują was najbardziej? — większość odpowiedziałaby, że są to problemy gospodarcze lub problem pokoju. Takich, którzy powiedzieliby, że niebezpieczeństwo komunizmu stanowi problem sprawiający im najwięcej troski, jest niezmiernie mało.

W gruncie rzeczy, nikomu nie śniłoby się o komunizmie jako o niebezpieczeństwie, gdyby tego nie wpajano przy pomocy nieustannej propagandy. I tym sposobem społeczeństwo gotowe jest zaakceptować wielki program zbrojeniowy, pragnąc zresztą równocześnie spotkania pomiędzy Eisenhowerem i Malenkovem.

Partia demokratyczna, nie sprawując rządów, atakuje republikańców i zarzuca im, że narażają naród na niebezpieczeństwo, kiedy postanawiają zredukować budżet na zbrojenia. Demokraci nie odważają się posuwać tego argumentu do ostateczności, lecz sam fakt wysuwania go w ten sposób dowodzi, że sprawa budżetu zbrojeniowego nie jest jeszcze zbyt niepopularna.

Dodajmy, że jeszcze zupełnie niedawno amerykańscy działacze polityczni narażali się na utratę stanowiska i zniszczenie swej kariery, gdyby wystąpili z sugestią, iż Związek Radziecki może szczerze pragnąć pokoju. Dzisiaj jeszcze agresywna polityka w stosunku do Związku Radzieckiego cieszy się popularnością. Corocznie, kiedy następuje moment rozdziału rozmaitych

kredytów wojskowych, generałowie defilują jak dobrzy aktorzy przed komisjami Kongresu i przepowiadają członkom Izby Reprezentantów, którzy również znając swą rolę przybierają tragiczny wyraz twarzy, że tajne wiadomości pozwalają im zapewnić, iż Rosja zaatakuje w najbliższym roku. Wielu Amerykanów ustosunkowuje się jeszcze poważnie do tej corocznej farsy.

Tak oto opinia amerykańska ujawnia sprzeczny stan uczuć. Z jednej strony, ruch w obronie pokoju posiada wielkie możliwości, z drugiej zaś, przezwyciężyć musi wielkie przeszkody.

Problem leży w tym, aby sentyment do sprawy pokoju, który na razie nie jest niczym więcej jak tylko sentymentem, przeszedł w stadium działania. Siły pchające do wojny są w Stanach Zjednoczonych niezwykle potężne i postawiły ogromne przeszkody na drodze, jaką przejść musi naród amerykański w poszukiwaniu pokoju.

PRZESZKODY NA DRODZE DO POKOJU

Jedną z najgroźniejszych przeszkód, na jakie napotyka ruch w obronie pokoju, jest zakaz tworzenia organizacji, mających na celu obronę interesów publicznych. W zestawieniu z całą gadaniną na temat demokracji, trudno obywatelowi urodzonemu w Stanach Zjednoczonych jak również ludziom innych narodowości zdać sobie sprawę z tego, że **Amerykanie nie rozporządzają dzisiaj żadnym normalnym środkiem wyrażenia swej woli politycznej czy**

to między sobą, czy też wobec swoich przywódców.

Nie ma w Stanach Zjednoczonych, tak jak np. w Maroku, ustawy zakazującej zgromadzeń z udziałem ponad trzech osób, jak również nie ma systemu szpiegowania domowego, na wzór systemu u Li Symmana. W rzeczywistości jednak uzyskuje się lepsze rezultaty przy pomocy środków bardziej subtelnych. W jednej z ostatnich audycji telewizyjnych, transmitowanej na cały kraj dziekan katedry św. Jana Ewan gelisty w Nowym Jorku (kościół biskupi) Pike oświadczył: „Zadenuncjowanie w Kongresie „frontów komunistycznych“ spowodowało w rezultacie, że ludzie wykazują bojaźliwość rozsądek wtedy, gdy chodzi o podanie ich nazwisk jakiegokolwiek organizacji, nawet bardzo pożytecznej. Odtąd — dodał — bardzo trudno dojść do zorganizowania więcej aniżeli czterech ludzi obojętnie w jakim celu, nawet gdyby chodziło o żywienie sierot“. (United Press z 17 sierpnia 1953 r.).

Oto doskonałe streszczony obraz sytuacji. Senator McCarthy i jego klika nauczili Amerykanów między innymi jednej rzeczy, mianowicie, że nie wolno im należeć do organizacji walczących o cokolwiek bądź, co posiada jakikolwiek chociażby najdalszy związek z polityką. Wolno jeszcze podpisywać deklaracje lub petycje i powoływać się następnie na swą naiwność. Niemożliwe jest jednak wybrnąć w ten sposób z kłopotu, jeśli było się członkiem podejrzanego organizacji. Praktyka kwestionariuszy ma przede wszystkim na celu zastraszenie tych,

k którzy są członkami organizacji, a przysięgi lojalności starają się powstrzymać ludzi od łączenia się z innymi w jakimś stowarzyszeniu. Rezultat jest taki, że ten kto pracuje dla pokoju i kto przed kilku laty byłby zebrał kilku przyjaciół w mieszkaniu, obecnie musi często z trudem chodzić od drzwi do drzwi, rozmawiać z jednym, z drugim, i przekonywać ich jednego po drugim, za nam ich pozyska. Rezultaty osiągane przy zastosowaniu tej metody są z konieczności mniejsze i czcigodny senator McCarthy wie o tym dobrze.

Można co prawda utrzymywać, że w Stanach Zjednoczonych jako kraju demokratycznym, ludzie mają prawo decydować o swoim własnym przeznaczeniu. Lecz amerykańska demokracja działa w przedziwny sposób. W przyszłym roku Amerykanie będą wybierali 435 członków Izby Reprezentantów. I oto James E. Warner, autor artykułów wstępnych, wyjaśnił w „New York Herald Tribune“ z 17 sierpnia 1953 r., że jedynie 45 spośród tych miejsc będzie podlegało dyskusji. Reszta jest obsadzona, głosy są tradycyjnie przesądzone i nie oczekuje się żadnych zmian.

Więcej nawet. Nic nie zdumiałoby bardziej wyborcy amerykańskiego, aniżeli kampania pomiędzy kandydatami popierającymi przeciwstawne programy. Nic nie byłoby czymś bardziej nieoczekiwanym aniżeli wybory do Kongresu, w których jeden kandydat utrzymywałby, że Ameryka powinna wycofać się z Korei, a drugi przeciwstawiałby się temu. A mimo to Korea zajmowała umysły

wyborców bardziej, niż jakikolwiek inny punkt programu. Lecz prawie nigdy w czasie wyborów nie można było wytyczyć naprawdę ścisłej linii opozycji pomiędzy kandydatami.

Wyborcy, którzy chcieliby głosować stanowczo i niezawodnie przeciwko wojnie w Korei, prawie ani razu nie mieli ku temu okazji. Prawda, że zachęca się wyborców aby pisali do swoich przedstawicieli. Lecz nawet wtedy, gdy chodzi o problemy interesujące cały naród, liczba listów do Kongresu nie przekracza kilkuset tysięcy. Interesujące jest to, że nawet w kołach wrogo nastawionych do swobodnego wyrażania opinii publicznej zachęca się do wysyłania listów do Kongresu jako środka pozwalającego ludziom na dawanie swobodnego upustu uczuciom, jako wentyla bezpieczeństwa, który nie pozwala na osiągnięcie żadnego pozytywnego rezultatu. Trzej mieszkańcy jednego domu, którzy, każdy z osobna, piszą listy do swych posłów, zaspokajają po prostu uczucia, które żywią. Lecz ci sami trzej obywatele, zorganizowani w małym Komitecie, mogliby wkrótce stać się siłą polityczną dla całego sąsiedztwa.

Innym sposobem tłumaczenia trudności organizacyjnych jest twierdzenie, że naród amerykański uległ na pewien czas strachowi przed prześladowaniem. Mówiąc to, doznaje się jakiegoś wstydu. W Stanach Zjednoczonych obowiązuje jeszcze zasada „habeas corpus“ w stosunku do obywateli USA. Nikogo nie skazuje się jak w Turcji na dożywotnie więzienie. Nie morduje się systematycznie ludzi, aczkolwiek uczyniono

to w stosunku do Rosenbergów na mocy decyzji Trybunału Sprawiedliwości, policja nie stosuje reguły bicia więźniów politycznych i nie ma miejsc tortur, mimo iż przygotowuje się obozy koncentracyjne.

W Ameryce nie prześladowuje się przy pomocy środków fizycznych. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat prześladowania stosowano przy użyciu środków ekonomicznych. Pozbawiano mężczyzn i kobiety środków zarobkowania za to, że popierali opinie polityczne, które nie posiadały aprobaty rządu. W większości przypadków można było znaleźć inną pracę, ale z reguły gorzej płatną.

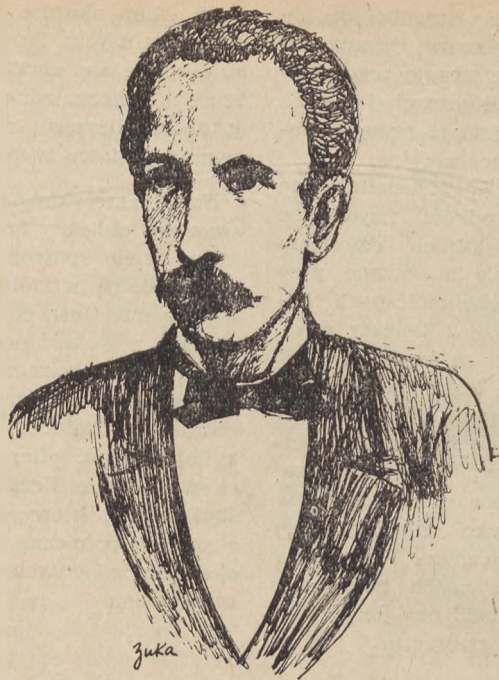
To jest ta wielka broń używana w Ameryce przeciwko niepożądanym kierunkom politycznym. Przewyższa ona wielokrotnie sposób polegający na skazywaniu ludzi na kary więzienia za herezje polityczne i jest to

broń, która okazuje się bardzo skuteczną w użyciu. Sprawia ona, że ludzie cofają się choćby o krok, porzucają jeszcze jedną zasadę, czekają do najbliższego roku, aby zająć czynną postawę w polityce itd...

Naród amerykański nie stanął jeszcze w obliczu takiej sytuacji, w której wielu spośród jego członków odczuwałoby potrzebę bohaterskiego wystąpienia. Jeśli ci, którzy pragną wytepić z życia amerykańskiego ludzi zwanych komunistami, wzięliby do ręki ogień i żelazo, wówczas nie zabrakłoby takich, którzy gotowi byłiby ponieść ofiarę dla przyszłości swego kraju. Lecz podstępne prześladowanie, które godzi raczej w stronę ekonomiczną aniżeli fizyczną, okazało się dotychczas trudne do zwalczania.

c. d. n.





Jose Martí—rycerz z Hawany (W setną rocznicę urodzin)

W 1853 r. na 180 000 mieszkańców Hawany przypadało około 150 szkół i 5 000 uczniów obojga płci. Samo miasto — stolica Kuby — przedzielone było murem na dwie części. Mur ten, będący czymś więcej niż symbolem, oddzielał od siebie dwa rodzaje życia, dwa różne

gatunki ludności. W starym mieście — biedacy; w nowym — bogacze. Nie było wody — jedyny wodociąg zbudowany został za czasów Ferdynanda VII — i ludność zmuszona była w tropikalnym klimacie do spożywania niezdrowej wody z Zanja Real lub z płytkich studni. Nie było

też żadnych publicznych urządzeń higienicznych — ani jednego szpitala godnego tej nazwy, ani jednego z urzędów wielkomiejskich. Za to władze królewskie budowały wzorowe więzienia. Takie oto dobrodziejstwa przyniosły trzy wieki kolonizacji różnokolorowej ludności wielkiej wyspy, ludności złożonej w przeważającej części z Murzynów i mularów. Od kilku lat zakładano jednak wielkie fabryki cygar: jedna z nich zatrudniała aż 15 000 robotników.

José Julien Marti urodził się 26 stycznia 1853 r. Rodzice jego byli biednymi Hiszpanami, którzy przenieśli się do kolonii w nadziei, że łatwiej im tam będzie zdobyć utrzymanie. Ojciec, Mariano Marti, były sierżant pułku Artylerii Królewskiej był nieszczęsnym skrobipiórkiem bez większych aspiracji; matka była poczciwą kobietą, „pobożną i niezbyt inteligentną“ — jak podaje jeden z biografów poety.

Mariano Marti nie pragnął dla syna niczego ponad los podobny do własnego — przeciwny był kształceniu małego José. Ale nauczyciele chłopca cenili go bardzo i zaofiarowali mu pomoc w dalszej nauce. Pełnym wyrzutu wzrokiem śledziła matka, jak młody chłopiec zbierał nagrodę za nagrodą. Nie miał jeszcze szesnastu lat, gdy wraz ze swym rówieśnikiem Ferminem Valdez Dominguez założył gazetkę **„Kulawy Diabeł“**, w której opowiadał się za niepodległością Kuby. Tytuł drugiego dziennika, który redagował mniej więcej w tym samym czasie, świadczy o nad wiek dojrzałym wyrobieciu politycznym młodego Martiego:

dziennik nazywał się **„Wolna Ojczyzna“**.

Było to w r. 1869. Artykuły Martiego wywołały wiele polemik, zaniepokojone władze kolonialne próbowały uciec się do prowokacji. Martiego i jego młodych towarzyszy aresztowano pod zarzutem obrazy „Pierwszego Batalionu Ochotników i zamachu na bezpieczeństwo państwa“. Jako główny „winowajca“, José Marti został skazany na 6 lat więzienia. Przerzucany z więzienia do więzienia po całej Hawanie, w styczniu 1871 r. został zesłany do Hiszpanii. Tam wydał swą pierwszą książkę **„Uwięzienie polityczne na Kubie“**, która miała ukazać ludowi hiszpańskiemu okropności popełniane w jego imieniu przez władze kolonialne.

W Hiszpanii mógł młody Marti uczęszczać na uniwersytety w Madrycie i Saragossie, gdzie uzyskał doktoraty z zakresu prawa, filozofii i nauk humanistycznych. Lecz ziemia ojczysta wzywała go; ciążyło mu zesłanie. Pozostaje w łączności z innymi patriotami, zesłanymi podobnie jak on oraz z ugrupowaniami, które domagały się oderwania od metropolii. Studiując, równocześnie pisuje.

Popiera na łamach dzienników walki, które nie przestają toczyć się na wielkiej wyspie. Powstaje przeciwko tym, którzy chcą zachować „całość narodowego dziedzictwa“: ta piękna formułka ledwo przysłania zwykłe apetyty kolonialne. Marti układa wiersze, które odczytuje na wiecach, potępiających zamordowanie hawańskich studentów medycyny. W 1873 r. wydaje drugą książkę pt. **„Republika hiszpańska wobec rewolucji na Kubie“**, w której w druz-

gotący sposób rozprawia się z nikczemnością liberalnych przywódców, którzy (już wtedy!) kapitulowali przed interesami kolonizatorów. W ten sposób gotowały obalenie Republiki.

W 1875 r. Martí udaje się w podróż do Meksyku, gdzie wystawia sztukę, która cieszy się wielkim powodzeniem. Autor wytrwale współpracuje z pewnym meksykańskim czasopismem literackim i politycznym. W początkach 1877 r. otrzymuje zezwolenie na wjazd do Hawany, aby zobaczyć się ze starymi rodzicami, ale musi wkrótce opuścić ziemię ojczyzny. Osiedla się w Guatemali, której rząd ofiarowuje mu katedrę literatury francuskiej i historii filozofii. Wydając prorocze w swej jasności sądu studia nad przyszłością literatury południowo-amerykańskiej, ukazujące konieczność powiązania problemów literackich z bezpośrednią rzeczywistością krajów, w których żyją pisarze, Martí wywiera znaczny wpływ na całą młodą szkołę literacką Ameryki Łacińskiej.

Kiedy w 1878 r. rząd Guatemali zwolnił niesłusznie ze stanowiska dyrektora Szkoły Centralnej jednego z jego przyjaciół i rodaków, Martí solidarnie również opuścił zajmowane stanowisko, przekładając niepewność życia na wygnaniu nad spokojny dostatek, z którego korzystając czułby się współwinny popełnionej niesprawiedliwości. Bezpośrednio przed tym Martí się ożenił.

W 1878 r. ogłoszono amnestię dla rewolucjonistów kubańskich. Martí wraca do Hawany, odnajduje jej drobniopiaszczyste plaże i jej głęboką nędzę. Natychmiast rzuca się w wir

rewolucyjnej walki. Pisuje, uczestniczy w manifestacjach, wraz z innymi patriotami kubańskimi szykuje się do oderwania Hawany od metropolii. Jego niestrudzona działalność skończyła się w rok potem ponownym zesłaniem do Hiszpanii. Ale tym razem rząd hiszpański nie ma już do czynienia z młodym, niedoświadczonym rewolucjonistą. Przybywszy do metropolii w listopadzie 1879 r. Martí ucieka zaraz w następnym miesiącu. Zatrzymuje się przejazdem w Paryżu, a 24 stycznia 1880 r. wygłasza w Nowym Jorku pierwsze przemówienie do emigrantów kubańskich w tym mieście.

Odtąd wielki rewolucjonista będzie żył i pracował w Stanach Zjednoczonych. Będzie to życie intensywne, poświęcone zarówno sprawie wyzwolenia ojczyzny, jak i sprawom sztuki. Jako krytyk literacki Martí odkrywa przed Amerykanami z Północy wstrząsającą poezję Walta Whitmana; jako krytyk artystyczny — wita narodziny impresjonizmu, zakreślając jednak granice tego kierunku; jako dramaturg — obdarza scenę sztukami o nieskazitelnej formie, które dziś jeszcze są wzorem; jako poeta — ogłasza wiersze, które głęboko odbijają się na całym dalszym rozwoju poezji Ameryki Łacińskiej; jako powieściopisarz celuje w odmalowywaniu najsłabszych odcieni psychologicznych swych postaci.

„Pióro — pisze Juan Marinello — było mu środkiem zarabiania na życie, lecz nigdy nie poniżył się do napisania choćby jednego wiersza, który nie byłby godny wysokiego pojęcia, jakie miał o swoim zawodzie.

Czystość i przejrzystość jego stylu czynią go jednym z **najklasyczniejszych**, może nawet najbardziej klasycznym z pisarzy Ameryki Łacińskiej XIX wieku“.

Lecz Martí był przede wszystkim politykiem, przewidującym i jasno zapatrującym się na rzeczy patriotą, nieustraszoną bojownikiem o ludzkie szczęście. Ten świetny pisarz, błyskotliwy gawędziarz (założył czasopismo dla dzieci „**Złoty Wiek**“, w którym zamieścił wiele swych opowieści), ten literat, ceniony we wszystkich amerykańskich kołach literackich, był przede wszystkim apostołem wielkiej sprawy: wyzwolenia ojczyzny.

Jego współpraca z różnymi dziennikami, wydawanymi przez wychodźstwo kubańskie, jego korespondencja z pozostałymi przywódcami emigracji i nielegalnej walki na terytorium Kuby, ukazują go nam jako trzeźwego polityka, a równocześnie utalentowanego intelektualistę. Martí świetnie umiał w ciągu czterech lat wygnania oceniać sytuację polityczną. Walcząc o niepodległość Kuby, widział jasno zagrażające jej niebezpieczeństwa. W rzeczy samej w Stanach Zjednoczonych toczyła się w pełni kampania na rzecz polityki ekspansji. Zdaniem prasowego kolumnisty Hearsta, który na losie patriotów kubańskich wprawiał się niezdarne w swe rzemiosło, chodziło o wyzwolenie wielkiej wyspy spod jarzma imperializmu hiszpańskiego i wciągnięcie jej wraz z Porto Rico do „wielkiej demokracji amerykańskiej“. W artykułach, które odbiły się szerokim echem, Martí przestrze-

gał opinię kubańską przed zbyt interesowną (już wtedy) „pomocą“ Stanów Zjednoczonych. W ostrej polemice z chicagowskim „**Manufacturer**“ odsłonił zaborcze zakusy pewnych kół rządzących USA i odparł ataki tych, którzy zarzucali Kubańczykom brak odwagi w czasie pierwszej rewolucji. Ci, którzy stawiali te zarzuty, szykowali się do wyciągnięcia z „wyzwolenia“ Kuby jak największych korzyści.

Toteż Martí rozwinął jak największą energię w kierunku dalszego pobudzenia narodowej walki Kubańczyków o prawdziwą niepodległość. Praworządne koła miejscowej burżuazji, związane licznymi węzłami z metropolią, wypowiadały się przeciwko oderwaniu się Kuby. Nawet wśród samych patriotów istniały rozbieżności; niektórzy skłaniali się ku znalezieniu modus vivendi z — jak ją jeszcze zwali — „Macierzą“. Martí znajdował poparcie jedynie wśród tych, których nie skalał żaden z nieuniknionych kompromisów kolonialnych; byli to biedni robotnicy kubańscy, zmuszeni do wyemigrowania na plantacje tytoniowe na południu USA. Intelektualista Martí zbliżył się do nich z całkowitą ufnością. Sam nosił niezatarte piętno spędzonego w biedzie dzieciństwa i wiedział, że ci przynajmniej nie mieli nic do stracenia na rewolucji. To właśnie dzięki nim dzienniki, na których łamach jego celne pióro rzucało hasła i określało cele, mogły utrzymać się przy życiu. To właśnie robotnicy szczyli hasła Kubańskiej Partii Rewolucyjnej, którą Martí założył w 1890 r. Za ich pośrednictwem wydawane przez bawiących na zesłaniu patrio-

tów dzienniki przedostawały się na wyspę, elektryzując masy.

Na Kubie panowały się zawsze (i teraz także) przesady kastowe i rasowe. Martiemu obca była zawsze nierzeczność wywyższania się rasowego. Wraz z mulatami Maximo Gomez i Antoniem Maceo przygotował ostateczne powstanie. Jedenaście lat nieustrudzonej działalności miało narzeczcie przynieść owoce. Gomez, który był wojskowym, przygotował powstanie w 1895 r. Marti, przeciwny w zasadzie wszelkiemu rozlewowi krwi, drżał z niecierpliwości. W latach 1892—1895 Marti zdwoił jeszcze swą rewolucyjną działalność. Wyjeżdża na San-Domingo, na Haiti, na Jamajkę, do Costa Riki, Panamy,

Meksyku, walcząc nieustannie o zjednoczenie sił liberalnych.

W dniu 19 marca 1895 r., w czasie bitwy pod Dos Rios, Marti padł przeszyty kulami. Lecz niepodległość Kuby była zapewniona. Zjednoczone siły rewolucyjne z punktu zadały porażkę Hiszpanom, a interwencja Słarów Zjednoczonych miała na celu nic innego jak wydarcie Kubańczykom niepodległości, zdobytej za cenę tyłu łez i krwi.

W pewnej mierze udało się interwentom osiągnąć swój cel. Lecz duch José Marti, przykład jego czystego i prawego życia, bez kompromisów, bez skazy i trwogi, jest nadal przewodnikiem ludu kubańskiego w jego walce o całkowitą niepodległość.





Czarna lalka

JOSE MARTI

NA palcach, na koniuszkach palców, żeby nie obudzić Pie-
dad ojciec i matka weszli do pokoju. Śmieją się jak para
dzieciaków, trzymają się za ręce jak para smarkaczy. Ojciec
idzie nieco w tyle, jak gdyby obawiał się potknąć; matka nie potk-
nie się, zbyt dobrze zna drogę. Ojciec dużo pracuje, by móc kupić
wszystko co jest niezbędne do prowadzenia domu i nie ma czasu
widzieć swej córki wtedy, kiedy ma na to ochotę. Często, tam przy
pracy, wybucha nagle śmiechem, albo twarz jego zasępia się nagle,
albo też rozjaśnia bez powodu; to wtedy, gdy myśli o córce. Pióro
wypada mu z ręki, kiedy tak pograży się w myślach, ale zaraz bie-
rze się znów do pisania, a pisze tak szybko, że pióro jego, zdawa-
łoby się, lata. Pisze wielkimi pośpieszonymi pociągnięciami: wielkie

jak słońce O wychodzi spod jego pióra, G stają się wygięte jak szable, L wychodzą pod linię, jak gdyby chciały przylgnąć do papieru, a S opadają z końca słów jak długie liście palmowe; trzeba zobaczyć jak wygląda pismo ojca, który długo rozmyślał o swojej małej córeczce. Za każdym razem, gdy przez okno wpada zapach rozkwitłych w ogrodzie kwiatów, myśli jego są przy niej. Albo kiedy indziej, kiedy siedzi nad rachunkami, lub gdy tłumaczy szwedzką książkę na hiszpański, wydaje mu się, że zbliża się jego córeczka, podchodzi bliżej, powolutku, jak w jakimś... Siada blisko przy nim, wyjmując mu pióro z ręki, żeby troszkę odpoczął, całuje go w czoło, ciągnie go za jasną brodę, chowa mu kałamarnicę.

Oczywiście jest to sen, nic innego tylko sen, podobny do tych, które miewa się w pełni świadomości, kiedy się widzi sukienki tak piękne, tak bardzo piękne, albo ognistego konia o długim, długim ogonie, albo znowu mały wózek zaprzężony w cztery białe kozy, albo wreszcie pierścionek z niebieskim kamykiem. Jest to sen, nic innego tylko sen, ale ojciec powiada, że jest to zupełnie tak, jak gdyby naprawdę widział swą małą córeczkę i że później czuje się znacznie lepiej przy pracy i że pisze znacznie lepiej. A dziecko odchodzi, oddała się powoli w przestrzeń, jak gdyby było tylko promieniem światła — i znika jak obłok.

Dzisiaj ojciec nie pracował długo, bo musiał pójść do sklepu. A dlaczegoż to ojciec poszedł do sklepu?... Podobno przez tylne drzwi wniesiono wielkie pudło. Co tam było w tym pudle? Jakby tu się dowiedzieć, co tam było?

Tego ranka niania poszła do ogrodu i ukuła się w palec, zrywając piękny kwiat do bukietu, który układała. Dzisiaj mamusia mówi: „tak“ na wszystko o co się ją prosi. Włożyła córeczce nową sukienkę, wypuściła kanarka z klatki, kucharz upiekł tort i pokrajał go na kształt kwiatków oraz jarzyn. Oddał swój czepek pracze, ponieważ był z lekka przybrudzony: bo dzisiaj, proszę pani, dzisiaj pani praczeko, czepek nie śmie mieć najmniejszej plamki.

Piedad nie wie nic, nic nie wie zupełnie. Zauważyła tylko, że dom wygląda jak w pierwszy słoneczny dzień, kiedy śnieg stopniał i małe listki wychodzą z pączków. Tego wieczoru dano jej wszystkie zabawki, doprawdy wszystkie. I tatuś bardzo wcześniej wrócił z pracy, aby zdążyć zobaczyć córeczkę przed zaśnięciem. Mamusia objęła ojca na przywitanie, mocno go ucałowała. Jutro Piedad skończy osiem lat.

Pokój jest słabo oświetlony; światło tak słabe, jak blask gwiazd, wydobywa się z nocejnej lampki — kuli koloru opalu i oświetla wgłębianą w poduszkę małą, jasną główkę. Przez okno wpada powiew i zda się, że niewidzialne motyle igrają w złotych loczkach. Światło

pada na włosy, ojciec i matka zbliżają się na końcach palców. Ale podłoga zasypiana jest zabawkami. Ach! Ten niezdara ojciec potrąca każdą z nich. Ale dziecko nie budzi się. Teraz światło pada na małą rączkę i mała rączka wygląda jak róża. Nie można podejść do samego łóżka, przystępu bronią rozrzucone zabawki, pełno ich na stole, na krzesłach.

Na jednym krześle stoi wielkie pudło, które babcia przysłała na gwiazdkę, pełne migdałów i marcepanów. Pudło jest wywrócone, jak gdyby wytrząsano go, by zobaczyć czy jeszcze jakiś migdałek nie wypadnie z kącika, albo czy kilka okruchów marcepanu nie schowało się pod pokrywkę. Oczywiście lalki były głodne. Na innym krześle leży nakrycie stołowe: naczyń jest dużo, są bardzo delikatne. Na każdym półmisku i talerzyku są malowane owoce; na jednym talerzu wisienka, na drugim owoc figowy, na trzecim — winogrono. Światło pada teraz na talerzyk, ten talerzyk, na którym wymalowana jest figa i widać na nim jakieś błyski, jakby odbicie promieni gwiazd. „Skąd bierze się ten blask gwiazdy na talerzyku? To na pewno cukier“ — powiada ojciec z miną łobuza. A matka mówi: „Przecież łakome lalki musiały dostać trochę cukru“.



Na krześle obok leżą przybory do szycia — otwarty neseser w nieładzie — jak przystało na neseser, którym rzeczywiście się posługiwano. Naparstek powyginany jest wskutek używania. Krawcowa widocznie dużo krajała, gdyż z kawałka perkalu, który dała mama, zostało tylko niewielkie, postrzępione koło, a na podłodze leży mnóstwo obrzynków, którymi pogardziła szwaczka. A oto kafitanik, który zaczęto szyć — tkwi w nim dobrze wpięta igła, tuż obok maleńkiej kropelki krwi.

A salon i największa zabawka stoją na małym stoliczku przy łóżeczku. W tym kącie, tam, bliżej ściany — to sypialnia maleńkich laleczek porcelanowych, z łóżkiem matki przykrytym kołdrą w kwiatki, gdzie tuż obok na czerwonym krzeselku siedzi laleczka w różowej sukience. Między łóżkiem a kołyską, w której śpi malutka laleczka z gałganka, przykryta starannie aż po czubek noska, stoi umywalka. Nad kołyską wisi bardzo gęsta siatka chroniąca przed komarami. Umywalka zrobiona jest z pudełka tekturowego

o kolorze brunatnym, a lustro jej jest z najlepszego gatunku. Jest to bardzo piękny okaz lusterka, z tych które jakiś nędzarsz sprzedaje przed wejściem do kawiarni po dwie sztuki za grosz. Salon ustawiony jest naprzeciwko stolika: składa się on ze stojącego po środku stołu, którego noga zrobiona jest ze szpulki do nici, którego blat jest z masy perłowej. Na stole stoi meksykański dzban gliniany, podobny do tych, które noszą w Meksyku roznosiciele wody. Na stole salonu kilka małych kawałków papieru posklejanych razem — to książki. Pianino jest drewniane, malowane klawisze, ale brak mu kręcącego się taboreciku, salon nie jest luksusowy. Jest tam jeszcze fotel z wysokim oparciem: to futerał na pierścione, którego dół wyłożony jest błękitnym, a oparcie różowym aksamitem, obrzeżonym koronkami. Właśnie są goście, jak się zdaje, i to goście dystyngowani, w płaszczach z różowego jedwabiu i białych sukniach. Siedzą sztywno, jakby kij połknęli, z nogami mocno opartymi o ziemię, obutymi w złocone trzewiki. Największa dama, ta, która siedzi na kanapie, ozdobiona wspaniałym złotym czepek, usiłuje przytrzymać mały taborecik, który wymyka się jej z rąk. Taboret jest to pudełeczko z japońskiej słomki, odwrócone dnem do góry. Na białym fotelu siedzą dwie fajansowe siostry, trzymając się za sztywne ręce. W salonie jest jeszcze obraz, który stoi oparty o flakonik perfum; przedstawia on małą dziewczynkę w czerwonym kapeluszu, trzymającą w objęciu jagniątko. U stóp łóżka znajduje się medalion z brązu, otoczony szarfą o narodowych barwach francuskich. Trójkolorowa szarfa medalionu ożywia salon. Na metalu wyryta jest piękna twarz Francuza, który przybył z Francji, by walczyć za wolność ludzi. Jest tam także drugi portret, portret człowieka, który wynalazł piorunochron, portret przedstawiający twarz starca jaką miał wówczas gdy przebywał ocean. by błagać królów Europy o pomoc w oswobodzeniu jego kraju. Taki jest salon Piedad. Na poduszce, w ramionach dziewczynki, śpi czarna lalka, której twarz straciła kolor pod gorącymi pocałunkami małej.

Ptaki z ogrodu obudziły Piedad o brzasku. Zdawało się, że ptaki witają ją i zapraszają, by z nimi poleciała. Jeden ptak woła, drugi odpowiada. Musi się coś dziać w domu, bo ptaki zachowują się tak tylko wówczas, gdy kucharz krząta się po kuchni, gdy wychodzi i wraca co chwila, opasany fartuchem plątającym mu się pomiędzy nogami, dźwigając kociołek, z którego wydobywa się woń dobrego, ciepłego mleka, albo słodkiego wina. Na pewno coś się w domu dzieje... Dlaczego bowiem leżałaby tam, u stóp łóżka, nowa sukienka perłowego koloru i liliowa wstążka, które wczoraj dopiero kupiono? I ażurowe pończoszki?...





„Mówię ci, Leonoro, że coś się dzieje w domu. Powiedz mi, co, ty Leonoro, ty, która byłaś wczoraj w pokoju mamusi, podczas gdy ja poszłam na spacer. Niedobra mama nie pozwoliła ci pójść ze mną, bo mówi, że oszpeciałam cię zupełnie przez tyle całusów i że ty już nie masz włosów, bo cię za często czesałam. To prawda, Leonoro, że nie masz za dużo włosów, ale kocham cię, jaką jesteś, Leonoro. nawet bez włosów. Kocham twoje oczy, bo mówią mi one, że ty mnie kochasz. Kocham cię bardzo, bo oni ciebie nie kochają“.

„Chodź, usiądź tutaj, na moich kolanach, abym cię mogła ładnie uczesać. Małe dziewczynki, dobrze wychowane, czeszą się zaraz po wstaniu z łóżka. Teraz buczeczki. O, jak brzydko zawiązany ten wę-

zeł! A zęby? Pokaż zęby! Paznokcie? Leonoro, te paznokcie nie są zupełnie czyste“.

„Leonoro, powiedz mi prawdę, posłuchaj, posłuchaj ptaszków; można by sądzić, że urządzają zabawę. Powiedz mi, Leonoro, co się dzieje w tym domu?“

I grzebień wypada z rączek Piedad, która zdążyła ułożyć tylko jeden lok na główce Leonory... I oto osłupiała z wrażenia. Widzi co się dzieje w ogrodzie! Zbliża się pochód. Na przedzie idzie niania w plisowanym świątecznym fartuchu i w czepku, który wkłada tylko na wielkie uroczystości. Niesie czekoladę z kremem, jak gdyby to był Nowy Rok, i słodkie bułeczki w koszyku. Za nią kroczy mamusia z bukietem białych i błękitnych kwiatków; ani jednego kwiatka czerwonego, ani jednego żółtego nie ma w bukiecie Mamusi. Za nią postępuje praczka z białym czepkiem, którego nie chciał włożyć kucharz. W ręku trzyma sztandar, który zmajstrował kucharz z gazety i patyka. Na głowie ma wieniec uwity z bratków i powiada: „Dzisiaj Piedad kończy osiem lat!“

I wszyscy ściskają Piedad i ubierają ją w sukienkę perłowego koloru i prowadzą ją, poprzedzaną przez poczet sztandarowy, do biblioteki ojca. Jasna broda ojca jest starannie uczesana, jak gdyby ją dokładnie i powoli czesano, każdy włoszek jest na swoim miejscu.

Ojciec bez przerwy biegł do drzwi, by zobaczyć, czy Piedad nie nadchodzi. Potem siadał znów do pisania, potem wzdychał, potem otwierał jakąś książkę, albo wpatrywał się w portret, który zawsze stoi na jego biurku. A portret ten podobny jest do Piedad, takiej Piedad, która jest ubrana jak dorosła osoba. A gdy usłyszał zbliżające się kroki i gruby głos wydobywający się z papierowej trąbki, kto zgadnie co wydobył z wielkiego pudełka?

Zbliża się do drzwi, jedną rękę schował za plecy, drugą podnosi do góry swoją córeczkę. Mówił potem, że w tej chwili zdawało mu się, jakby wielki kwiat otwierał się w jego piersi, a w jego głowie rozjarzał się wspaniały pałac z błękitnymi, kapiącymi złotem salami, przepelnionymi skrzydlatymi postaciami. Tak opowiadał później. Ale w tej chwili nikt nie słyszał, aby mówił o tym.

Ale oto Piedad podskoczyła i wdrapuje mu się na ramiona, bo w lustrze dostrzegła, co ojciec trzyma w drugiej ręce.

„Włosy ma jak słońce, Mamusiu, zupełnie jak słońce! Widziałam ją, widziałam. Ma różową sukienkę. Powiedz mu, żeby mi ją dał! Mamusiu! Chcę zobaczyć czy ma zielony gorsecik z aksamitu. Pończoszki ma takie jak ja, Mamusiu, takie same ażurowe“.

Ojciec siada z nią w fotelu i wsuwa jej w ramiona lalkę z jedwabiu i porcelany. Ale oto Piedad zaczyna biegać, jakby kogoś szukała. „To po to zostałem dziś w domu, by być z moją małą córeczką, mówi ojciec, a moja mała córeczka zostawia mnie samego?“ Ona chowa główkę w kamizelkę ojca i długo, długo trzyma ją tam... aż zaczęła ją laskotać jego broda.

Potem był spacer po ogrodzie i posiłek z musującym winem w altanie. Ojciec dużo mówił, co chwila brał mamusię za rękę. A matka wydawała się jeszcze większa, niż zwykle; mówiła mało, lecz każde jej słowo brzmiało jak muzyka.

Piedad zaniósła kucharzowi czerwoną dalię, którą zatknęła mu u góry fartucha. Uwiła praczce wianek z goździków i napełniła kieszenie niańki kwiatami pomarańczy, a we włosy włożyła jej kwiat z dwoma zielonymi liśćmi. Potem bardzo starannie zrobiła bukiecik z niezapominajek. „Dla kogo ten bukiecik, Piedad?“ — Nie wiem, nie wiem dla kogo go zrobiłam. Czy on musi być dla kogoś? I położyła go na brzegu rowku, w którym płynie kryształowa woda. Powiedziała mamusi jakiś sekret do ucha, a potem wreszcie rzekła: „Pozwól mi pójść, Mamusiu!“ Ale matka odparła:

„Nie nudź... a twoja piękna lalka z jedwabiu? Czy ci się nie podoba? Popatrz, jaka jest śliczna! Nie widziałaś jakie ma błękitne oczy?”

Ale Piedad widziała je. Posadziła lalkę na stole, zaraz po śniadaniu i przyglądała jej się bez uśmiechu, po czym poszła z nią do ogrodu uczyć ją chodzić. Oczywiście, w nie właściwie wpatrywała się Piedad. A małe serduszek Piedad biło bardzo mocno. „Odezwij się, Lalko, mów do mnie, powiedz coś“. Ale jedwabna lalka nie odpowiadała. „A więc nie podoba ci się lalka, którą ci kupiłem, w ażurowych pończoszках, z porcelanową twarzą i tak pięknymi włosami?“ — „Ach, tak, Tatusiu! Tak, bardzo mi się podoba! Chodźmy Pani Lalko, chodźmy na spacer. Będą się Pani podobały piękne powozy z lokajami na koźle i z pewnością będzie Pani smakował krem kasztanowy. Chodźmy, chodźmy na spacer!“

Lecz gdy Piedad doszła do miejsca, skąd jej nie było widać, zostawiła lalkę u stóp drzewa z twarzą opartą o pień.

I oto Piedad czuje się osamotniona i nie podnosząc głowy pogrąża się w rozmyślaniach, ukrywając twarz w swych małych dłoniach. Potem nagle zrywa się i biegnie. Przeraziła ją myśl, że woda mogła unieść bukietek niezapominajek.

— Chodź, połóż mnie zaraz spać — woła Piedad do niańki.

— Co to za sposób zwracać się tak do niańki? Nigdy nie odzywałeś się tak do niej. Robisz jej przykrość.

— Nie, Mamusiu, nie. Jestem tylko bardzo senna, umieram ze zmęczenia. Wiesz, Mamusiu, zdaje mi się, że broda Tatusia to góra, a ciastka na stole przyprowadzają mnie o zawrót głowy, że małe choraćki śmieją się ze mnie, a kwiaty marchewki tańczą w powietrzu. Umieram z senności. Dobranoc, Mamusiu! Jutro wstanę bardzo wcześnie. Ty, Tatusiu, obudź mnie przed odejściem. Tak lubię cię zobaczyć zanim pójdziesz do pracy! O, marchewka! Umieram ze zmęczenia! Mamusiu, nie psuj mego bukietu. Patrz, rozdartaś mi jeden kwiatek!

— O, o, moja córeczka gniewa się za to, że ją pocałowałam!

— Popchnij mnie, Mamusiu! Tatusiu, ty także popchnij mnie! Tak strasznie chce mi się spać!

I Piedad wychodzi z biblioteki z niańką, która niesie jedwabną lalkę. „Jak ta mała szybko biegnie! Do czego się tak śpieszy? Kto czeka na małą Piedad?“ „Kto wie, kto ją czeka?“

Nie powiedziała niańce ani słowa. Nie poprosiła jej, by opowiedziała bajkę o małej, garbatej dziewczynce, która została zamieniona w kwiat. Nie poprosiła jej o żadną zabawkę. Siedząc na łóżku,

pogłaskała rękę niańki i natychmiast zasnęła. Niańka zapaliła nocną lampkę z opalowym abażurem, wyszła na końcach palców i ostrożnie zamknęła drzwi.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, dwa małe oczka zabłyśły spod kołdry. Koldra podniosła się i Piedad klęcząc na łóżku, podkręciła lampkę.

Rzuciła się na zabawkę, którą ukryła na ziemi pod łóżkiem: czarną lalkę. Chwyta ją, ściska, całuje, przyciska do serca. „Widzisz, jak ci źli ludzie zostawili cię tutaj samą! Nie, ty nie jesteś brzydka, chociaż masz tylko jeden lok. Brzydka jest ta, którą przynieśli dzisiaj, ta, której oczy nie nie mówią. Powiedz, Lecnoro, czy myślałaś o mnie? Popatrz na bukiet, który ci przyniosłam, bukiet niezapominajek. Wybrałam najładniejsze z całego ogrodu. Przytul się do mego serca, moja piękna laleczko. Czy nie płakałaś? Byłaś tutaj taka sama! Nie patrz na mnie tak, bo ja zaraz się rozplaczę. Nie, nie! Zimno ci? Chodź do mnie na poduszkę, zobaczysz jak cię ogrzeję; zabrali mi słodycze, które przyniosłam dla ciebie. Tak. tutaj... Przykryję cię dobrze. Chodź, pocałuję cię zanim zaśniesz... Teraz przygaśmy lampkę... Będziemy spały... Blisko, bliźutko, jedna przy drugiej... Kocham cię, Leonoro, dlatego, że oni cię nie kochają!”



ilustr. Moreu



Pamięci Jacques Thibaud

DAWID OJSTRACH

TRUDNO sobie wyobrazić, że nie ma już wśród nas tego, który był naszym przyjacielem i naszym starszym bratem. Wspaniały i subtelny artysta, człowiek pełen prostoty i wielkiego serca, niezwykle ujmujący w rozmowie — Jacques Thibaud odszedł od nas na zawsze.

Należał on do najwybitniejszych przedstawicieli francuskiej szkoły skrzypiec. Był prawdziwym entuzjastą sztuki. Gra jego odznaczała się niezrównanym wdziękiem, subtelnością i lekkością. Ów wielki wirtuoz starał się zawsze jak najgłębiej wnikać w treść i jak najwierniej odtworzyć charakter interpretowanego przez siebie utworu. Należał do rzędu tych artystów, których sztuka przemawia do wszystkich słuchaczy.

W grę swoją wkładał całą duszę i całe uczucie. Grał z wielką lekkością i posiadał zdumiewające poczucie stylu.

Sztuka jego była optymistyczna w najlepszym tego słowa znaczeniu, ponieważ wychodziła spod palców muzyka wyczuwającego radość twórczą i potrzebę kontaktu duchowego z audytorium. Dzięki temu — pomimo przeszło 50-ciu lat życia artystycznego — Jacques Thibaud zachował do ostatnich swych dni niezłomną energię, która przejawiała się w różnorodnych formach jego bujnej działalności.

Pamiętam dobrze pytanie, które mu postawiłem na wieść o jego zamiarze wyjazdu do Japonii z serią koncertów. Było to podczas konkursu, który wsławił imię Thibaud w Paryżu. — Czyż tak długa podróż nie będzie dla pana zbyt męcząca?

— O nie — odpowiedział Thibaud — podróż do Tokio trwa tylko 26 godzin samolotem!

Niestety, ta tragiczna podróż miała być jego podróżą ostatnią.

Jacques Thibaud odnosił się z wielką serdecznością do nowych talentów. Podczas ostatnich lat widywałem go często podczas różnych konkursów muzycznych, które miały na celu odkrycie i wydobyć na jaw młodych talentów. Mogłem wtedy na własne oczy przekonać się o życzliwej trosce i ojcowskiej opiece, jaką Thibaud otaczał początkujących muzyków.

Był on nie tylko wybitnym muzykiem, lecz także jednym z najuczciwszych i najszlachetniejszych ludzi, który wierzył głęboko, iż sztuka może i powinna służyć zjednoczeniu ludzkości. Te słowa, które kilkakrotnie słyszałem z ust wielkiego wirtuoza, świadczą najlepiej o wielkim wkładzie, jaki słynny francuski artysta włożył w dzieło wzajemnego porozumienia, zaufania i przyjaźni między narodami.

Pamięć naszego przyjaciela Thibaud pozostanie na zawsze w sercach muzyków radzieckich.

Pieśni ludu angielskiego



EWAN McCOLL

McColl jest autorem sztuk: „URAN 235“, „PODRÓŻNICY“ i „PARADISE STREET“ („Ulica Rajska“). Wraz z Johnem Littlewood był pionierem „PRACOWNI TEATRALNEJ“, służącej podwójnemu celowi: zachowaniu wierności dla najlepszej brytyjskiej tradycji teatralnej i udostępnieniu teatru najszerszym masom. W dzielnicy Londynu East End „PRACOWNIA TEATRALNA“ wystawiła ostatnio sztuki: „BRON I CZŁOWIEK“, „DWUNASTA NOC“, „JUNO I PAW“, „CHORY Z UROJENIA“ w angielskim przekładzie, „CHORAŻY“ — sztukę antywojenną amerykańskiego pisarza George Stilesa i „LYZISTRATE“ Arystofanesa.

W poszukiwaniu nowej techniki teatralnej McColl przedsięwziął w ostatnich latach prawdziwie pasjonujące podróże, w czasie których starał się wykryć skarb sztuki ludowej swojego kraju, a w szczególności pieśni ludowe.

LUDOWE pieśni i ballady stanowią skarb każdego kraju. Zdarza się nawet, że ta forma sztuki jest ludowi najbardziej bliska. Przechodzą z pokolenia na pokolenie. Ci, którzy wyjeżdżają do obcych krajów, zabierają ze sobą swe piosenki, dzięki czemu często przyswajają je sobie inne narody, nieraz bardzo odległe od krajów, w których się te piosenki zrodziły. Odzwierciedlają one doświadczenia i życie prostych ludzi w każdym zakątku ziemi. Stanowią żywą historię.

Kiedy Thomas Grey w swej „Elegii“ wspominał o niemyim **Miltonie bez chwały**, trudno byłoby mu wyobrazić sobie, jak dalece słowa te odnoszą się do kompozytorów piosenek ludowych na całym świecie, zawierających w sobie samą istotę wielkiej muzyki i najwznioślejszej poezji.

W ciągu ostatnich lat odbywałem podróże odkrywcze przez angielskie miasta i wioski, zbierając tu i ówdzie piosenki ludowe. Chodziłem nawet do wiejskich domostw, do zajazdów, po ulicach. I jakież skarby tam znalazłem!

Co za objawienie twórczego geniuszu, którego nasz wielki naród potrafił zachować!

Od dawna zbierano i przechowywano ludowe pieśni brytyjskie jak prawdziwe skarby. Ale zrodził się i umocnił tradycyjny pogląd, że nasze pieśni ludowe przestały już być żywym źródłem kultury. Biskup Percy, który około 1760 r. zebrał liczne ballady, oświadczył już wówczas, że należą one do przeszłości i że nie są „na czasie“.

Prof. Childe z Uniwersytetu w Harvard w Stanach Zjednoczonych, poświęcawszy czterdzieści lat życia na badanie brytyjskich pieśni ludowych — a w szczególności szkockich ludowych pieśni i ballad — ogłosił w 1850 r. rezultaty swojej pracy. Dzieło zawierało osiem tomów, ale również zdaniem tego profesora źródła brytyjskiej ballady wyschły raz na zawsze.

Z początkiem XX wieku szkocki łucznik Gavin Greig poświęcił się takim samym badaniom. W 1914 r. wydał pierwszy zbiór pieśni. Umierając, pozostawił ponad 3 000 rękopisów pieśni ludowych Uniwersytetowi w Aberdeen.

Inny jeszcze badacz sztuki ludowej Cecil Sharp pisał w 1920 r.: „Długa linia genealogiczna ballady angielskiej obecnie wygasła“.

POCHODZĘ z rodziny szkockiej. Moja matka wywodzi się z jednego z odłamów ludności, mówiącej językiem gaelickim, którego muzyczność zbudowana jest na skali pentatonicznej, będącej jeszcze w użyciu w krajach Wschodu i we wszystkich krajach muzułmańskich. Mój ojciec, który zmarł w 1947 r., był Szkotem z Lowlands (południowa nizinna część Szkocji) i znał wszystkie ballady z okręgów przygranicznych. W wielu z nich dźwięczało echo walk z okresu rewolucji przemysłowej.

Tą drogą zrodziło się we mnie poczucie pieśni ludowej. Dla mnie stanowiła ona część żywej kultury, a kiedy zacząłem szukać nowej techniki teatralnej (jestem dramaturgiem i artystą) postanowiłem zacząć od badań nad sztuką ludową. W związku z tym należy przypomnieć, że między angielskim teatrem, pieśnią ludową a tańcem istnieją bardzo głębokie związki. Pisarze epoki elżbietańskiej, a w szczególności Szekspir i Ben Johnson obficie czerpali ze sztuki ludowej.

Zebrałem zatem wiele pieśni ludowych mojego ojczystego kraju. Wiele z nich pochodzi z czasów, kiedy to grupy rolników wynajmowały się do sezonowych robót polnych. Ludzie żyli we wspólnocie, a stukot ich kroków po skrzyniach, gdzie przechowywano owies, wybijał takt ich pieśniom.

Pieśni te mówią o najdrobniejszych wydarzeniach codziennego życia, o gderliwej żonie gospodarza, o jej skąpstwie, pod wpływem którego daje

robotnikom jedynie małe ogryzki świeczek, aby za późno nie wstawali. Istnieje około 12 000 pieśni tego rodzaju, w których widać wpływ irlandzkich imigrantów w Szkocji.

PEWNEGO wieczora, kiedy w rozgłośni manchesterskiej odtworzyłem kilka odkrytych przeze mnie pieśni, spotkałem wychodząc ze studio czekającego na mnie starego człowieka. Chciał ze mną porozmawiać. Przybył z Delph w pobliżu Oldham. Mieszkał na folwarku, gdzie w odległych czasach rewolucji przemysłowej pewien fabrykant zaangażował do pracy w swej fabryce grupę miejscowych tkaczy, a ich krosna umieścił w obszernych



halach. Były to czasy, kiedy pracodawcy nie mogli jeszcze budować dostatecznie dużych fabryk, a robotnicy musieli każdej soboty zdążać przez pola aż do Oldham, by kupić sobie czego im było potrzeba.

Ojca mojego starego rozmówcy aresztowano w czasie wielkich manifestacji czartystów w Manchesterze. W więzieniu zebrał wśród swoich towarzyszy niedoli słowa i muzykę pieśni czartystów, towarzyszących tej wielkiej walce brytyjskich robotników.

Spędziłem całą noc w chatce tkacza, wertując skarby starego człowieka. Najbardziej zainteresowała mnie pieśń o „Czterech krosnach tkacza“. Starzec pamiętał jeszcze melodię. Pieśń tę ocenia się obecnie jako jeden z najpiękniejszych okazów brytyjskiej sztuki ludowej. Jak wiele pieśni tego rodzaju, melodia przypomina stylem tradycyjne pieśni hinduskie i wschodnioeuropejskie. Tekst opisuje walki owych czasów.

Jestem tkaczem na czterech krosnach, jak wiadomo każdemu,

Nie mam nic do jedzenia, zniszczyłem mą odzież;

Mam podarte skarpety, a onuc nie mam wcale,

Za wszystko co mam, dalibyście mi zaledwie dwa pensy.

Stary Bill z Brent długo mi opowiadał,

Że doczekamy się lepszych dni, jeżeli potrafię trzymać język za

zębami.

Mocno trzymałem go za zębami aż prawie straciłem oddech,
Ale czuję w głębi serca, że niedługo umrę.
Trzymaliśmy się przez sześć tygodni i każdy dzień mógł być ostatni,
Czekaliśmy, żyliśmy z byle czego do tego stopnia, że jesteśmy
prawie wykończeni.

Jedliśmy pokrzywy i pokrzywy wydawały nam się smaczne,
A porridge Waterloo był najlepszym z naszych posiłków.*)
Margaret powiedziała, że gdyby miała co na siebie włożyć,
Poszłaby do Londynu, by widzieć się z królem,
A gdyby nic się nie zmieniło po tym, jak tam była,
Przysięga, że biłaby się aż by jej oczy zalala krew.
Nie mamy już skarpet, ani krosien do tkania,
A ja sam natkałem się już aż na śmierć.

Uczuciowość, bohaterstwo i wielkość tych tkaczy, którzy walczyli z uciskiem w okresie rewolucji przemysłowej w całości zawarły się w tej pieśni.

WYKRYŁEM niebawem, prowadząc dalej moje poszukiwania, że każdy cech, każde rzemiosło wniosło do historii swe własne pieśni ludowe. Wiedzieliśmy, że w okręgu Teesdale w hrabstwie Yorkshire, gdzie niegdyś wydobywano ołów, bardzo popularną była pieśń: „**Cztery pensy dziennie**“. John Littlewood i ja wzięliśmy się do szukania tej pieśni. Po licznych poszukiwaniach znaleźliśmy osiemdziesięcioletniego starca, który na starym akordeonie zagrał nam blisko 100 pieśni górników z kopalń ołowiu. Starzec miał zwyczaj śpiewać te pieśni w wiejskich zajazdach okręgu. Żadna z nich nigdy nie była zapisana. Nie znano ich również w tych wioskach, przez które nie przechodził.

Pieśń „**Cztery pensy dziennie**“ nie wchodziła do jego repertuaru. Po trzech dniach zdołał sobie przypomnieć jedynie dwa wiersze.

Kiedy w drodze powrotnej mijaliśmy Middleton w Teesdale, natknęliśmy się na przytułek dla starców. Postanowiliśmy spróbować szczęścia i weszliśmy, by zapytać, czy kto nie mógłby nam zaśpiewać tej pieśni.



*) Cienka polewka, którą żywił się biedacy w okresie bitwy pod Waterloo.

Starzec nazwiskiem Gowland, który jakby żywcem wychylił się z kart Dickensa, zaśpiewał nam „Cztery pensy dziennie“ od początku do końca. Piosenka ta opowiada historię sprzed stu lat o chłopcach, którzy płukali ołów. Oto ona:

Cztery pensy dziennie moi przyjaciele, a praca jest ciężka
I nigdy przyjaznego spojrzenia ze strony ordynarnego Turka.
Ale może któregoś dnia jego serce zmięknie, obudzi się w nim
sumienie.

Mój ojciec był górnikiem i mieszkał w dole miasta,
Była to twarda praca i bieda zawsze trzymała go na dole.
Marzył o tym, by mnie posłać do szkoły, ale brak mu było groszy,
nie mógł płacić,

I w ten sposób poszedłem płukać ołów za cztery pensy dziennie.
Trzeba wstawać wcześniej — o czwartej rano,
Mali niewolnicy przechodzą do drzwi i stukają, stukają.
Chodź więc mój mały płuczkarczy, już czas wyruszyć,
Zostaliśmy wzięci na niewolę za cztery pensy dziennie.

Niektórzy z tych górników z kopalń ołowiu pojechali do Ameryki w okresie gorączki złota. W amerykańskich pieśniach ludowych z tych czasów odnajdujemy ich teksty, przystosowane do nowych warunków życia.

Inne znowu piosenki komponowali więźniowie, deportowani na ziemię Van Dieman (dzisiejsza Tasmania). Przypomnijmy, że taki los spotkał w szczególności męczenników z Tolpuddle, pionierów brytyjskiego ruchu za-wodowego, jak również wielu innych bojowników bohaterskich walk tego okresu.

Staraliśmy się zebrać pieśni deportowanych. W kabarecie w Salford sły-szeliśmy jedną z najpiękniejszych pieśni tego cyklu w wykonaniu ulicznej pieśniarki, która znana była wszystkim pod imieniem Jenny-spiewaczki.

Co się wałęsacie, chłopcy z Liverpool, ależ powiadam Wam,
byście byli ostrożni,
Kiedy idziecie na polowanie z waszymi psami, strzelbami,
pułapkami.

Uważajcie na łowczego, wytresujcie dobrze psa
I myślcie o statkach, które płyną do ziemi Van Dieman.
Mieliliśmy na pokładzie dwóch chłopców ze Szkocji, Jimmy Murphy
i Paddy Malone.

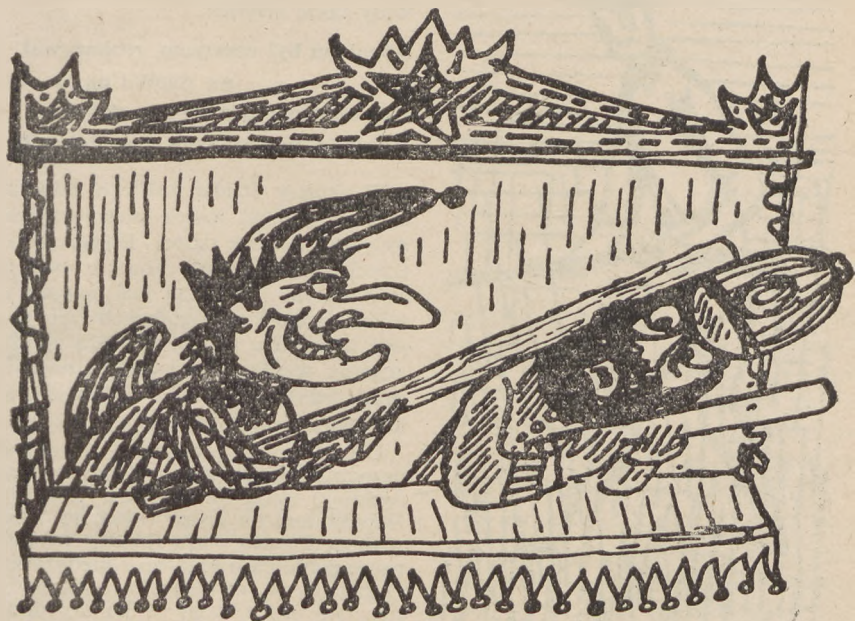
Byli najlepszymi kompanami, jakich można było kiedykolwiek
spotkać;

Schwytali ich łowczy i z wybrzeży starej Anglii
Zostali wygnani, na siedem lat wysłano ich, by orali ziemię
Van Dieman.

Plantatorzy lustrowali nas ze czterdzieści razy i więcej,
Kiedy przybyliśmy na tę niewdzięczną ziemię,
Wyprowadzili nas na dwór jak konie, kupili nas i sprzedali

**I wzięli nas w jarzmo, przyjaciele,
Byśmy orali ziemię Van Dieman.**

Ileż faktów historycznych mieści się w tej pieśni! Oto dzieje emigrantów irlandzkich, którzy gnani głodem opuszczali swe domostwa, by szukać pracy w angielskich fabrykach. Dzieje wygłodniałych ludzi, uprawiających kłusownictwo, by złowić królika oraz okrutne kary, jakie spotykały tych nieszczęsnych z rąk obszarników obu kontynentów.



Pieśń, którą śpiewała Jenny, nigdy nie była zapisana. Dokonałem tego i odtąd bardzo często śpiewałem ją przez radio. Sądzę, że jest to jedna z najpiękniejszych pieśni świata. Również w czasie tej podróży wykryłem inną pieśń napisaną przez szkockiego czartystę deportowanego na ziemię Van Dieman.

W AMERYCE istnieje piękna tradycja pieśni kolejarskich. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie mamy wspomnienia o podobnych pieśniach u nas w Anglii. Uprosiłem zarząd kolei brytyjskich, aby wezwał kolejarzy do zgłaszania zapamiętanych przez nich pieśni. Pozwoliło mi to dokonać paru cudownych odkryć, z których większość sięgała połowy XIX wieku. Jedna z tych pieśni szczególnie bogato nasycona jest uczuciem. Kończy się w ten sposób:

**Miałem pusty brzuch, miałem chore ręce
Od pracy na kolei, mam dosyć pracy na kolei.**



Znalazłem również całą serię pieśni, skomponowanych przez robotników, którzy asfaltowali szosy w Szkocji. Ale najbardziej zadziwiające jest być może, w jaki sposób dzieci przechowują pieśni, zrodzone przed wieloma pokoleniami.

Słyszałem, jak dzieci z Polmodie w dolnych dzielnicach Glasgow śpiewały takie strofki:

**Napoleon był cesarzem, rozkazywał
na ziemi i na morzu,
Był królem Francji i Niemiec, ale
nigdy nie rozkazywał w Polmodie.**

W okolicy doków Salfordu odnalazłem większość moich pieśni, wykonywanych przez dzieci. Blisko jedna trzecia tych pieśni mówi o policji, przy czym żandarm jest zawsze w trakcie robienia najgorszych rzeczy — jest to zresztą tradycja, którą odnajdujemy w „Punchu i Judy“, najbardziej ludowym odbiciu widowisk kielkowych średniowiecza.

Londyńscy cockneys (ludność przedmieścia mówiąca gwarą zwaną cockney) mają swe własne tradycje. Napotkałem na grupę cockneys, śpiewającą bardzo starą pieśń, w której jest mowa o lekarzu i medycynie. Dorzucili do tego strofkę o penicylinie. Oto najbardziej doskonały przykład żywotności pieśni ludowej.

Każda wojna stworzyła swe własne pieśni. Prawie wszystkie, co jest rzeczą znamionną, noszą piętno rozczarowania. Nie mówią o tak zwanej

chwale wojennej, jak tradycyjne piosenki patriotyczne, ale opiewają smutek rozstania, są wezwaniem do pokojowego życia.

Zrozumiałem wówczas, czemu niektórzy z tych, którzy w przeszłości zbierali pieśni ludowe, wołać wierzyć dzisiaj, że brytyjska pieśń ludowa przestała istnieć. Dzieje się tak dlatego, że pieśni ludowe odmalowują zbyt dośladnie życie i nadzieje ludu.

Dumny jestem, że przyczyniłem się do zachowania tego kulturalnego dziedzictwa, jakim jest pieśń ludowa. Pewien jestem, że pieśni te będą żyć, ponieważ są prawdziwe, ponieważ są samym życiem. A jak kultura każdego narodu — należą do nas, należą do całej ludzkości.

Ilustr. James Boswell

Adenauer kroczy śladami Hitlera

CLAUDE MORGAN

JEDEN z niezliczonych afiszów, rozlepionych na murach w Niemczech zachodnich przez zwolenników kanclerza Adenauera, wyróżniał się swoją oryginalnością. Przedstawiał nogi kobiece. Na lewo nogi niemieckiej kobiety w 1948 r., zeszepecone pończochami w złym gatunku i rozklepanymi nędznymi butami. Na prawo — nieskazitelne nogi niemieckiej kobiety w 1953 roku. W ciągu pięciu lat Adenauer przywrócił niemieckim kobietom możliwość zdobycia komfortu i elegancji.

Symboliczny afisz. Jedną z największych zasług Adenauera w oczach jego wyborców w Niemczech zachodnich jest podniesienie w rekordowym tempie stopy życiowej ludności, wprowadzenie jej na drogę dobrobytu, sztucznie zresztą osiągniętego przy pomocy kredytów zagranicznych.

Adenauer jest człowiekiem, który buduje 440.000 mieszkań rocznie,

człowiekiem, któremu powiodło się uzyskać całkowite poparcie Amerykanów i który — zaledwie w osiem lat po kapitulacji — może z łaski Stanów Zjednoczonych wynieść Republikę Federalną na przodujące miejsce w Europie zachodniej.

To Stany Zjednoczone swoim poparciem stworzyły nowy mit niemiecki — mit Adenauera — i znowu pchnęły tę część Niemiec na drogę nieograniczonych ambicji. To Stany Zjednoczone z powrotem osadziły w siedzibie magnatów przemysłowych z Zagłębia Ruhry, przyznały im kredyty, pozwoliły na odbudowę przemysłu stalowego. Udzieliły one nawet swoim niemieckim przyjaciółom pewnych specjalnych przywilejów w handlu ze Wschodem. Amerykanie wychodowali Adenauera. Nic więc dziwnego, że zwycięstwo jego uznali za swoje własne.

Oto co pisał w związku z tym „New York Times“ z 8 września:

„Rezultaty wyborów są również zwycięstwem Zachodu w ogóle, a Stanów Zjednoczonych w szczególności. Udzieliły one swojego pełnego poparcia kanclerzowi Adenauerowi i teraz witają jego zwycięstwo...”

Niemcy... wykazują dojrzałość polityczną i dają przykład, który można oceniać ironicznie, jako pochodzący z takiego źródła, ale za którym powinny pójść inne kraje kontynentu“.

„New York Herald Tribune“ z 9 września:

„Wydawało się do niedawna, że wiele poglądów, na których opierały się koncepcje polityczne Stanów Zjednoczonych w odniesieniu do Europy zachodniej, traci swój sens — jako część nieistniejącej już całości. Odejście Roberta Schumana ze stanowiska ministra spraw zagranicznych Francji i upadek de Gasperiego we Włoszech oceniano w niektórych kołach w Stanach Zjednoczonych jako dowód, że należy zająć zupełnie inną postawę wobec problemów jedności i obrony Europy. Na szczęście rząd nasz nie dał się skłonić do poczynienia zdecydowanych zmian, a obecnie wybory niemieckie wniosły nowe życie i nowy rozmach do projektu wspólnoty obronnej z Niemcami jako partnerem“...

„Zasadnicze punkty naszej polityki znalazły zatem potwierdzenie. Ale z pewnością błędem byłoby wierzyć, że obalone zostały wszystkie przeszkody, stojące na drodze do pełnego sukcesu. Konsekwencją zwycięstwa Adenauera musi być przyspieszenie decyzji Francji w sprawie armii europejskiej. Dyskusja nad tą spr-

wą posuwa się obecnie wręcz w ślimaczym tempie“.

Nowojorski „Daily Mirror“ z 9 września:

„Niemcy są więc nadal sercem Europy“.

Czy ci, którzy głosowali na Adenauera są zwolennikami wojny?

Niektórzy z nich tak. Jakże mielibyśmy w to wątpić, skoro Niemcy zachodnie nie zostały naprawdę zdenazyfikowane i teraz nie będą — po przywróceniu do władzy przemysłowców z Zagłębia Ruhry, dostawców funduszy dla Hitlera, po rehabilitacji generałów — zbrodniarzy wojennych?

Część tych wyborców otwarcie dąży do odwetu. Kto by temu przeczył, przeczyłby oczywiście prawdzie.

Inni wyborcy, głosujący na Adenauera, oszukani słodkimi słówkami kanclerza, wyobrażają sobie, że ich bóstwo doprowadzi do zjednoczenia Niemiec, do odzyskania ziem na wschód od Odry i Nysy bez użycia broni. Do nich właśnie zwracał się afisz, który powyżej opisaliśmy. Skoro Adenauer dokonał tego cudu, czemuż nie miałby dokonać innych? Wielu Niemców w Republice Federalnej czytało książkę Roberta Ingriņa: „Die Rettung Deutschlands“ („Ratunek dla Niemiec“), którą nasze pismo ujawniło publiczności (czerwiec 1953 r.) i która poświęcona jest opiewaniu chwały Adenauera.

„Jest rzeczą pewną — pisze Ingriņ — że naród niemiecki niestety dopiero w 1949 r. miał otrzymać szefa rządu godnego pierwszego kanclerza (Bismarcka). Była to długa przerwa“.



Książka Ingrima, który nauczył Niemców na nowo uwierzyć w Wielkie Niemcy, odniosła wśród nich wielki sukces. Cytujemy dalej:

„Historia świata, powiedział Bismarck, toczy się z powolnością geologiczną. Zapewne, również w geologii stwierdza się nagle zapadanie się i wybuchy, dlatego naród po przebyciu katastrofy narodowej, musi jednocześnie być cierpliwy i gotów do skoku.

„Są to postawy trudne do pogodzenia, ale skoro udało się to innym narodom, czemuż Niemcy miałyby się okazać do tego niezdolne?

„Nie trzeba wyjaśniać, że konieczna jest cierpliwość. Ale być gotowym do skoku — przy jakiejże sposobności? Jak wyobrazić sobie ponowne zjednoczenie Reichu? Przede wszystkim trzeba będzie unikać utrudniania sobie tego zadania fałszywą terminologią. Ten kto w polityce używa właściwych terminów, wygrał już połowę. Ten, kto mówi o „ponownym zjednoczeniu“, myśli o dwóch, jeżeli nie o trzech częściach Niemiec — o Republice Federalnej w Niemczech zachodnich, o strefie radzieckiej w Niemczech środkowych i o Niemczech wschodnich, podporządkowanych polskiej administracji i przywłaszczonych przez ZSRR. Taka terminologia uznaje jako państwo to co się nazywa Niemiecką Republiką Demokratyczną, uznaje ją językowo. Przez to samo ślizgamy się po niebezpiecznym stoku.

„Istnieją tylko jedne Niemcy, okaleczale, co prawda, a jest nimi Republika Federalna, bowiem ona opiera się na wolnej woli swych mieszkańców. Wszystkie inne są to tylko

chwilowo stracone części Reichu i jest rzeczą całkowicie arbitralną rozróżniać tutaj jeszcze dwie różne części, co w niebezpieczny sposób idzie na rękę Moskwie...

NARODOWYM ZADANIEM NIE JEST WIĘC POŁĄCZENIE DWÓCH LUB TRZECH CZĘŚCI NIEMIEC, ALE UWOLNIENIE I ODZYSKANIE TERYTORIÓW NIEWYZWOLONYCH.

„Hasło to nie jest ani bardziej pokojowe, ani bardziej wojownicze niż hasło ponownego zjednoczenia. Jedno i drugie wywodzi się z pragnienia, aby dzieło to mogło się dokonać bez użycia gwałtu. Jak będzie to możliwe, jak będzie można to sobie wyobrazić? Stawianie pytania w ten sposób stanowi odchylenie, dowodzi poważnego braku znajomości historii. Każdy powinien wiedzieć, że w dziedzinie historii świata zawsze dokonują się rzeczy nieoczekiwane, rzeczy nieprawdopodobne“.

Niemcy zrozumieli, czytając Ingrima, jakie korzyści może im przynieść „armia europejska“.

„Można by nam odpowiedzieć, że droga, którą obraliśmy, nie wiedzie do Niemiec dobrze uzbrojonych, skoro dywizje ich mają służyć armii ponadpaństwowej pod dowództwem amerykańskim. Że rząd niemiecki nie będzie miał żadnej władzy dysponowania swymi wojskami. Tutaj znowu trzeba ostrzec przed formalizmem, który stanowi wyraz niewiary w siłę sytuacji, stworzonej przez fakty. Niemcy dysponować będą swoim kontyngentem w tym samym akuracie stopniu, co inne kraje swymi. Trzeba jednak rozróżniać między władzą pozytywną a negatywną.

„Niemcy nie będą miały prawa prowadzić swymi kontyngentami wojny niezależnej, ale czy można sobie wyobrazić, że wykorzystanoby je wbrew ich woli, wbrew ich zgodzie?

„Oznacza to, że im większy będzie udział niemiecki w obronie, tym większą wagę będą miały opinie polityczne i wojskowe Niemiec w łonie mocarstw, zgrupowanych w koalicji europejskiej i atlantyckiej. Oto najkrótsza droga do szacunku i równości“.

Pod koniec swojej pracy Ingram nie omieszczał zamieścić aluzji do nowej ekspansji na Wschód.

„Błędem jest wierzyć, że Niemcy położone są między Francją a Rosją. Są one położone między Francją a Polską(...). Ale z kim nawiązać rozmowy? Nie ma rządu polskiego, a agenci Moskwy, którzy rządzą w Warszawie, dbają o interesy polskie pod maską nacjonalizmu jedynie po to, by ukryć, że ojczyzną ich jest Związek Radziecki..

„Jednak trzeba spróbować. Konrad Adenauer, któremu udało się zdobyć najlepszych Francuzów, powinien osiągnąć to samo z najlepszymi Polakami, reprezentowanymi za granicą przez generałów Andersa i Bora Komorowskiego“.

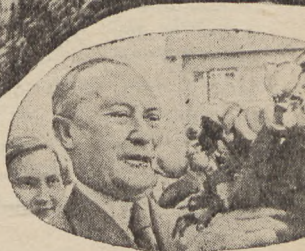
Ostatnia propozycja kanclerza Adenauera stworzenia „Kondomitorium“ z ziem, położonych na wschód od Odry i Nysy, pokrywa się doskonale z linią, wytkniętą przez nowego teoretyka ekspansji niemieckiej — Roberta Ingrima. Również oświadczenie jego, że najważniejszym zadaniem jest „wyzwolenie“ 18 milio-

nów Niemców w Niemieckiej Republice Demokratycznej pokrywa się doskonale z linią, wytkniętą przez amerykańskiego rzecznika dominacji światowej Stanów Zjednoczonych, Jamesa Burnhama, który w swojej książce pt.: „**Containment or Liberation**“ („Powstrzymanie czy wyzwolenie“) wzywa do krucjaty dla „wyzwolenia“ 800 milionów ludzi, zamieszkujących dzisiaj kraje socjalizmu.

Ta zbieżność tez Burnhama i Ingrima nie jest przypadkiem. Stanowi ona uzasadnienie dzisiejszej polityki niemiecko-amerykańskiej, uzasadnienie ścisłego sojuszu i usprawiedliwienie dla osi Bonn — Waszyngton. Stwarza ona straszliwe i bliskie niebezpieczeństwo dla wszystkich krajów sąsiadujących z Niemcami zachodnimi. Niebezpieczeństwem tym jest groźba dostania się wbrew ich woli w wir działań wojennych, w toku których doszłoby do unicestwienia Europy i prawdopodobnie większej części świata.

Dla uspienia czujności narodów i osiągnięcia wreszcie ratyfikacji układów z Bonn i z Paryża, które oddawałyby cały zachód Europy w ręce kanclerza Adenauera, opowiadają nam, że jest on rzekomo najlepszym przyjacielem pokoju. „**France-Soir**“ z 16 września podejmuje się tego niewdzięcznego zadania i ogłasza wywiad z kanclerzem, będący powtórzeniem jego wysłodzonych oświadczeń. Wilk przybiera skórę jagnięcia i gra swoją rolę według najlepszych tradycji.

To samo robił przed nim Hitler. A pewne pisma również uważały za



właściwe drukować na pierwszej stronie jego oszukańcze oświadczenia. Przeczytajmy takie choćby oświadczenie, w którym kanclerz Hitler oznajmiał 16 marca 1935 r. przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej:

„Rząd niemiecki, strażnik honoru interesów narodu niemieckiego pragnie zapewnienia pewnej ilości zbrojnych rezerw, potrzebnych nie tylko do utrzymania nienaruszalności imperium niemieckiego, ale również do tego, aby wzbudzić szacunek i podziw dla Niemiec w dziedzinie międzynarodowej, co jest jedną z gwarancji powszechnego pokoju“.

„W tej bowiem godzinie rząd niemiecki powtarza wobec narodu niemieckiego i wobec całego świata zapewnienie, że zdecydowany jest nigdy nie przekraczać granic, wytkniętych przez konieczność obrony niemieckiego honoru i wolności Reichu, a w szczególności powtarza zapewnienie, że narodowe zbrojenia niemieckie nie będą narzędziem ofensywy wojennej, ale wyłącznie służyć będą obronie, a tym samym — pokojowi“.

„Jednocześnie rząd niemiecki wyraża ufność nadzieję, że narodowi niemieckiemu, który w ten sposób odzyska swój honor, wolno będzie w warunkach całkowitej niepodległości i na bazie pełnej równości praw wnieść swój udział do uspokojenia świata w wolnej i szczerzej współpracy z innymi narodami i ich rządami“.

Co się potem stało, odczuliśmy na naszej własnej skórze. Dlaczego mieliśmy bardziej wierzyć dzisiaj Adenauerowi, który stał się nowym

rzecznikiem niemieckiego militaryzmu?

Jak Hitler, który długo starał się o to, by jego „*Mein Kampf*“ poszedł w zapomnienie, tak Adenauer oscyluje między groźbą a łagodzeniem. I ktoś każe nam wierzyć, że różni się od Hitlera ten, kto w czasie kampanii wyborczej oświadczył: „*Powstanie zjednoczona Europa. A kiedy już powstanie, wówczas damy naszej młodzieży to, czego jej potrzeba — szerszą przestrzeń dla jej ekspansji politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Bez tej przestrzeni nasza młodzież nie mogłaby doczekać się lepszych czasów*“?

W słowach tych znajdujemy tę samą teorię „*przestrzeni życiowej*“, która była jedną z podstaw polityki hitlerowskiej.

* * *

Jaka była reakcja krajów Europy zachodniej w związku ze zwycięstwem wyborczym kanclerza Adenauera? Znamienne jest rzeczą, że już w pierwszych komentarzach — które pisma wyraziły zaniepokojenie, które ogarnęło opinię publiczną w tych krajach.

8 WRZEŚNIA.

„*Daily Mail*“ (Wielka Brytania):

„*Niemcy zachodnie są dzisiaj krajem najpotężniejszym i najbardziej ustabilizowanym w Europie po Związku Radzieckim. Jest to bardzo ważny fakt, który musi dać poważnie do myślenia ich sąsiadom. Na skutek rozluźnienia życia politycznego we Francji i we Włoszech, możemy obserwować, jak Amerykanie coraz mocniej opierać się będą na odrodzonych Niemczech*“.

„Daily Express“ (Wielka Brytania): „Zwycięstwo Adenauera, jak również zwycięstwo jego ekonomistów przyniesie za sobą silną i realną politykę. W chwili, gdy Niemcy znowu pojawiają się na scenie, wydaje się, że słyhać już ciężki krok ich żołnierskich butów...”

„L'Information“ (Francja): Pierre André, deputowany niezależny, przewodniczący komitetu parlamentarnego przeciw ratyfikacji układów z Bonn i Paryża:

„Naszemu krajowi zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Adenauerowi udało się odbudować Niemcy z ruin i doprowadzić do tego, że zapomniano o ich olbrzymiej odpowiedzialności za rozpętanie drugiej wojny światowej. W tej polityce odradzania Niemiec popierają Adenauera wszyscy niemieccy nacjonaliści, którzy marzą o połączeniu (siłą — Red.) obu części Niemiec, o przywróceniu jedności Niemiec i którzy użyją wszelkich środków, by osiągnąć swe cele, skoro tylko Niemcy posiadać będą brakującą im jeszcze potęgę wojskową.

Niebawem usłyszymy znowu o armii europejskiej i o europejskiej wspólnocie obronnej. Gdyby zachodnie parlamenty ratyfikowały potworny układ paryski, zapewniłby on Niemcom hegemonię wojskową w Europie zachodniej. Niemiecka hegemonia wojskowa zaprowadziłaby nas do wojny. Trzeba życzyć sobie, aby Francuzi nie zapomnieli nauki, płynącej z historii ostatnich trzydziestu lat...”

9 WRZEŚNIA.

„Le Monde“ (Francja):

„Oczywiście, kanclerz nigdy nie za-

pomniął dodać, że zjednoczenie czyli „wyzwolenie wschodnich braci“ wyobraża sobie jedynie na drodze pokojowej.

„Niemniej prawdą jest, że idea „wyzwolenia“ związana jest z przymusem i użyciem siły, gdy tymczasem zjednoczenie może być osiągnięte jedynie drogą pracowitych rokowań i ze zgodą wszystkich zainteresowanych. Trudno jest w tych warunkach oceniać jako efekty krasomówcze aluzje kanclerza do „wyzwolenia“ strefy wschodniej.

„Wprost przeciwnie, wolno sądzić, że kanclerz Adenauer świadomy jest przyczyn, które pełniły setki wyborców neohitlerowskich, lub skrajnie prawicowych do głosowania za nim i w ogóle — co skłoniło wielu innych do wzięcia po raz pierwszy udziału w wyborach. Jak donosi nasz korespondent z Bonn, jak stwierdza również wielki angielski organ liberalny „Manchester Guardian“ wszyscy ci Niemcy — w obawie przed inwazją radziecką — ujęli w Adenauerze „silnego człowieka“, jakiego potrzebę zawsze tak bardzo odczuwano na wschód od Renu, w szczególności w okresie kryzysu międzynarodowego. Niezależnie nawet od europejskich, czy humanistycznych przekonań starego niemieckiego męża stanu, wyrazili oni zgodę na politykę siły, na politykę, która dzisiaj ogranicza się do mocnych słów, ale która już jutro postawi na nogi, dla poparcia tych słów, nowe dywizje niemieckie...”

„Evening Standard“ (W. Brytania):

Shinwell, b. minister labourystowski: „...Jasne już jest, że Adenauerowi przyświeca najważniejszy

cel — powrót wschodnich ziem. Ale jakim sposobem?

„Być może, że w chwili obecnej Adenauer jest zwolennikiem rokowań z Moskwą. Ale czy nadal będzie tak uważał, gdyby rokowania na temat zjednoczenia miały ponieść fiasko i, co jeszcze ważniejsze, czy naród niemiecki, który niebawem zostanie uzbrojony, będzie podzielać ten pogląd? Czy zechce wziąć siłą to, czego Rosjanie odmówią mu w rokowaniach?”

„Stampa“ (Włochy):

Luigi Salvatorelli: „W chwili obecnej istnieje bliższe porozumienie i większa współpraca między Bonn a Waszyngtonem niż między Waszyngtonem a Londynem, niż między Waszyngtonem a Paryżem. Temu porozumieniu odpowiada w Niemczech zachodnich odrodzenie nacjonalizmu, czy hitleryzmu, przeciw któremu Ameryka, jak to publicznie wiadomo, nie występuje. Wszystko to stanowi dokładnie przeciwieństwo tego, co byłoby potrzebne dla pogodzenia Francji i Niemiec i dla uspokojenia Francji“.

„Corriere della Sera“ (Włochy):

Augusto Gueriero: „...Mówmy szczerze. Istnieje jedynie jedna szansa na to, że europejska wspólnota obronna wejdzie w życie. Amerykanie wierzą jeszcze, że to się stanie, ale tylko oni jedni w to wierzą. W Europie wszyscy są przeświadczeni o czymś wręcz przeciwnym, lub co najmniej wszyscy w to wątpią. Minął kulminacyjny moment „europeizmu“. Nie dlatego, że Schuman i de Gasperi nie są już u władzy, ale dlatego, że sytuacja uległa zmianie. Sytuacja polityczna Francji, situa-

cja Włoch, a przede wszystkim sytuacja ogólna w Europie uległa zmianie. Tylko wspólne i bliskie niebezpieczeństwo mogłoby zmusić Francuzów i Anglików do sprzymierzenia się. Ale niebezpieczeństwa tego nie obawia się Europa tak bardzo jak przed paroma miesiącami. Rząd radziecki poczynił szereg kroków, które wystarczyły, by uśmierzyć niepokój połowy świata. Kiedy przeszedł niepokój, nie odczuwa się pilnej potrzeby zawarcia sojuszu...”

„Financial Times“ (W. Brytania):

„Zwycięstwo Adenauera umocnił postanowienie Stanów Zjednoczonych pospiesznego uzbrojenia Niemiec zachodnich i przewyciężenia wahań innych członków europejskiej wspólnoty obronnej wobec perspektywy tworzenia niemieckich dywizji“.

11 WRZEŚNIA.

„L'Information“ (Francja):

Geneviève Tabouis:

„Wczoraj wieczorem na konferencji prasowej, jeszcze w stanie błogości po osiągniętym sukcesie, kanclerz powiedział, że było ono tak wielkie, iż „mogłoby pociągnąć za sobą nowe wybory we Włoszech“, dając tym samym do zrozumienia, jak dalece mądrość polityczna premiera Pelli stanowi — jak uważa — hamulec dla jego ambitnych projektów. Kanclerz dowiedł wyraźnie, że zamierza mieszać się i to w sposób jak najmniej właściwy do wewnętrznej polityki wielkich krajów europejskich, gdy Niemcy nie odzyskały jeszcze nawet swej suwerenności.

„Oto co daje do myślenia tym, którzy spodziewali się znaleźć w

zwycięstwie kanclerza Adenauera nowy atut dla podjęcia próby powrotu do pewnej „polityki europejskiej“, już przecież ostatecznie potępionej przez opinię publiczną“.

„Aurore“ (Francja):

„Depesza, przysłana nam przez korespondenta w Bonn zasługuje na szczególną uwagę.

„Niemcy zdecydowanie idą szybko, zbyt szybko.

„Widzimy oto, jak krętymi drogami kierują rodzaj ultimatum pod adresem Francji: — Albo w ciągu trzech miesięcy ratyfikujecie układ o europejskiej wspólnocie obronnej, albo w ten czy inny sposób przeprowadzimy remilitaryzację.

„Niemcy kanclerza Adenauera, których siły w obozie sojuszniczym każdy musi doceniać, winny przypomnieć sobie, że istnieją układy, wynikłe z ich klęski.

„Uważamy, że układów tych należy przestrzegać.

„1933 r. — zbrojenia niemieckie, 1935 — zajęcie Saary, 1936 — zajęcie Nadrenii, 1937 — Anschluss, 1938 — Monachium..., 1939 r. — wojna.

„Nie możemy o tych datach zapominać. Budzą one usprawiedliwioną nieufność po lewej stronie Renu.

„Nieufność ta nie może osłabnąć w wyniku pretensji, o których pisze dzisiaj nasz korespondent“.

„Tribune“ (Wielka Brytania):

Michael Foot, deputowany laboryzystowski: „...Jakkolwiek Adenauer utrzymuje, że jest demokratą, ma on za sobą te same siły, które uczyniły z Hitlera plagę świata. Oto

początek, a nie koniec niemieckiego nacjonalizmu.

Nie ma żadnych wątpliwości co do tych ludzi, dzięki którym dr Adenauer stał się najpotężniejszym politykiem w Niemczech zachodnich. Niemieccy przemyslowcy, najbardziej bezlitosna klasa kapitalistyczna, bez ograniczeń umieścili swoje bogactwa w kasach wyłobocznych“.

14 WRZEŚNIA.

„La Libre Belgique“ (Belgia):

Paul Struye, przewodniczący Senatu:

„Można sobie mówić i powtarzać zarówno w Niemczech, jak i w Ameryce, że europejska wspólnota obronna i zjednoczenie Niemiec nie wykluczają się wzajemnie, nie mniej jest rzeczą pewną, że zjednoczenie to może się dokonać w dwojaki sposób: albo siłą zbrojną, kiem Radzieckim. Kanclerz Adenauer i von Brentano energicznie bronili się przed wzięciem pod uwagę pierwszego sposobu. Pozostaje zatem drugi, to jest rokowania. Otóż — o ile nie zdarzy się cud, którego nie nie pozwala się spodziewać — Związek Radziecki nie zgodzi się wycofać z Niemiec wschodnich, jeżeli nie uczynią tego również mocarstwa zachodnie“.

15 WRZEŚNIA.

„Le Monde“ (Francja):

Maurice Duverger w artykule pt.: „Oś Bonn — Waszyngton“: „...Jedną rzecz jest obecnie jasna. Na czele małej Europy, złożonej z sześciu państw, stać będą Niemcy. Żadna prawnicza sztuczka, żadna gwarancja proceduralna, żaden świstek pa-

pieru nie będzie mógł działać wbrew oczywistości faktów...

„...Francja może jedynie spodziewać się w niej „zaszczytnego drugiego miejsca“, takiego samego, o jakim marzył dla niej Pierre Laval w hitlerowskiej Europie...”

16 WRZEŚNIA.

„Le Monde“ (Francja):

Maurice Duverger w artykule pt.: „Można powiedzieć — Nie“:

„Odrzucenie europejskiej wspólnoty obronnej ma sens tylko wtedy, gdy towarzyszy mu wyrażenie sprzeciwu wobec remilitaryzacji Niemiec. Zwykła odmowa byłaby gorsza niż zgoda, bowiem Amerykanie, którzy to przewidzieli, pośpieszyliby się wówczas z utworzeniem niemieckiej armii narodowej, obsypaniem łaskami rządu w Bonn i zwiększeniem niemieckiej potęgi w Europie. Ale będą mogli tak postąpić tylko wtedy, gdy tego naprawdę zechcemy, gdy zgodzimy się, aby tak postąpili. Dylemat — „europejska wspólnota obronna lub Wehrmacht“, w którym rzekomo nas zamknęło, jest dylematem fałszywym. Możemy powstrzymać wszelką politykę zamiany, przewidzianą przez Waszyngton na wypadek fiaszka europejskiej wspólnoty obronnej.

„Jeżeli Francja odrzuci jednocześnie z europejską wspólnotą obronną również wszelką remilitaryzację, ma ona sposoby, by Stany Zjednoczone uszanowały tę decyzję. Wystarczyłoby zagrozić wycofaniem się z paktu atlantyckiego (jak Francja zagroziła wycofaniem się z ONZ w związku ze sprawą Maroka) i przywrócenie działania traktatu

moskiewskiego, słowem aby Francja dała do zrozumienia, że gotowa jest w sumie powrócić do polityki wzajemnego bezpieczeństwa, jaką w 1944 r. prowadzili gen. de Gaulle i Georges Bidault, by Stany Zjednoczone nie mogły przejść do porządku dziennego nad tą opozycją.

„Perspektywa ta spowoduje, że zadrżą ci wszyscy, którzy wyobrażają sobie obecnie przyjaźń i sojusz między narodem amerykańskim a narodem francuskim jedynie w formie podporządkowania sobie jednych drugim. Będą oni krzyczeć o świętokradztwie i będą myśleli, że niebo zawali się nad głowami Francuzów w wypadku, kiedy ci wkroczą na tory tego rodzaju polityki.

„W rzeczywistości wygramy na tym o tyle, że będzie się nas bardziej szanować i bardziej słuchać, gdyż liczą się tylko z tymi, którzy stawiają opór...”

Tych kilka wyjątków z prasy Europy zachodniej — a umyślnie nie zacytowaliśmy dzienników komunistycznych, o których wiadomo, że od dawna demaskują remilitaryzację Niemiec zachodnich i politykę Adenauera — wykazują jasno, że w najróżniejszych kołach opinii publicznej Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Belgii sukces kanciera Adenauera wywołał więcej niż niepokój — wywołał stan alarmu.

Otóż dr Adenauer wyobraża sobie obecnie, że jego sukces przemieni się w zwycięstwo, kiedy uzyska ratyfikację przez parlamenty francuski, włoski, belgijski i holenderski układu, wprowadzającego w ży-

cie „europejską wspólnotę obronną“. Kanclerz się myli. Zaalarmowana opinia publiczna może przeszkodzić zrealizowaniu kiedykolwiek tego, co byłoby bezwarunkową kapitulacją w sensie odwrotnym do sytuacji z 1945 r.

Byłoby wielkim błędem nie doceniać znaczenia sił, które gotowe są przeciwstawić się „europejskiej wspólnocie obronnej“ i uniemożliwić realizację „armii europejskiej“.

Sukces Adenauera w samych Niemczech zachodnich nie powinien przesłaniać faktu, że osiem milionów wyborców głosowało przeciw niemu, przeciw „europejskiej wspólnocie obronnej“ (nie licząc miliona kartek unieważnionych dlatego, że zawierały — w przeważającej części — protesty przeciw procedurze wyborów).

Ta poważna mniejszość nadal prowadzi walkę przeciw „europejskiej wspólnocie obronnej“. Socjaldemokraci, komuniści, partia neutralistyczna dr Heinemanna i dr Wirtha, Niemiecki Ruch Pokoju stawiać będą tym energiczniejszy opór, że będą mogli opierać się na akcji, prowadzonej w sąsiednich krajach przeciw tej samej „europejskiej wspólnocie obronnej“.

Kanclerz Adenauer wierzy już teraz, że może z poparciem Amerykanów prowadzić grę na swój sposób. Wydaje mu się, że jest panem Europy zachodniej. Ale będzie nim tylko wtedy, gdy my tego zechcemy.

„Europejska wspólnota obronna“ jest dla niego nie tyle kamufla-

żem, ile usprawiedliwieniem. Hitler stworzył siłą Wielkie Niemcy, niebezpiecznie odizolowane od reszty świata. Adenauer stara się przy pomocy „europejskiej wspólnoty obronnej“ i przy amerykańskim poparciu stworzyć wielkie Niemcy, które nie byłyby odizolowane, jak Niemcy Hitlera.

Tyle warte jest dla niego odniesienie tak świetnego zwycięstwa. To jest jego wielka idea. Widzi w niej jedyny sposób osiągnięcia swego celu. Maurice Duverger słusznie pisze, że dylemat „europejska wspólnota obronna“ czy Wehrmacht jest dylematem fałszywym. ŁATWIEJ JEST ZGODZIĆ SIĘ NA „EUROPEJSKĄ WSPÓLNOTĘ OBRONNĄ“, NIŻ NA STWORZENIE POTĘŻNEGO, NIEZALEŻNEGO WEHRMACHTU. Łatwiej jest — nawet narodowi niemieckiemu.

Co do krajów sąsiadujących z Niemcami, to ich opinia publiczna nigdy nie pójdzie za Ameryką w jej zamiarze odbudowy Wehrmachtu w jego dawnej potędze. Czy można się obejść bez ich zgody? Na pewno nie, gdyż oś walk w ewentualnej wojnie przebiega ze Wschodu na Zachód. Jest to jedyna oś, która zapewnia dostateczne zaplecze, a linie zaopatrzenia, jak i linie odwrotu przechodzą przez Francję i przez Belgię. „Europejska wspólnota obronna“ jest jedynym sposobem odbudowania niemieckiej siły zbrojnej. Tak więc, nie dopuścić do realizacji „europejskiej wspólnoty obronnej“ to tyle, co nie dopuścić do remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

Niebezpieczny konkurent

WŁADYSŁAW SZCZERBIC

NA biurku redakcyjnym znalazły się trzy charakterystyczne wiadomości.

Zachodnio-niemiecki dziennik mieszczański

„Der Tag“ z 29 września br. donosi: bankierzy amerykańscy

zamierzają w najbliższym czasie przystąpić do finansowania schumannowskiego kartelu węgla i stali. Wyminienia się sumę 500 do 750 milionów dolarów. Około 3/4 tej sumy ma być zainwestowane w ciężkim przemyśle Zagłębia Ruhry...

Francuski dziennik „Humanite“ z 5 października br. komunikuje, że już 400 przedsiębiorstw Niemiec zachodnich zostało przestawionych na produkcję zbrojeniową...

Tego samego dnia angielskiej dziennik „Manchester Guardian“ zamieścił alarmujący artykuł pt. „Wysiłki Kruppa w celu zdobycia rynków Azji godzą w Wielką Brytanię“. „Manchester Guardian“ wyraża żywe zaniepokojenie kapitalistów an-

gielskich z powodu takich sukcesów hitlerowskiego „króla armat“ Kruppa, jak uzyskanie zamówień na budowę wielkich obiektów hutniczych w Indiach i Pakistanie, wykonywanie poważnych zamówień dla rządu egipskiego, zawarcie umowy z władzami tureckimi na budowę wielkiego mostu wiszącego nad Bosforem, zdobycie ważnych pozycji w Syrii, Grecji, Afryce i w krajach Ameryki Południowej...

Wszystkie te trzy wiadomości mają jeden wyraźny sens: finansowana w dużej mierze przez kapitał USA odbudowa kuźni zbrojeniowej w Niemczech zachodnich, niebezpieczna dla pokoju światowego polityka przywracania potęgi gospodarczej zbrojmistrzom Hitlera nieuchronnie przynosi ze sobą zarazem wzrost ich żarłocznych apetytów, które nie kierują się bynajmniej wyłącznie na Wschód. Przyjrzyjmy się bliżej temu aspektowi amerykańsko-adenauerowskiej polityki w Trizonii.

KOLIGACJE ADENAUERA

August Zinsser założył w Stanach Zjednoczonych około 1860 r. „**Zinsser Chemical Company**”. Miał on troje dzieci.

John Sherman Zinsser został dyrektorem banku Morgana.

Peggy Zinsser w 1922 r. wyszła za mąż za Lewisa W. Douglasa, dyrektora „**Mutual Life Insurance**” (grupa Morgana), wiceprzewodniczącego Towarzystwa **American Cyanid**, który był przez pewien okres ambasadorem USA w Londynie.

Ellen Zinsser w 1930 r. wyszła za mąż za generała Johna J. McCloy'a, jednego z największych akcjonariuszy Towarzystwa Gillette, który przez kilka lat był amerykańskim Wysokim Komisarzem w Niemczech zachodnich.

Owa **Ellen Zinsser** ma cioteczną siostrę **Gussie Zinsser**; **Gussie** wyszła za mąż za dyrektora „**Deutsche Bank**”, którym był nikt inny jak **Konrad Adenauer**, obecny kanclerz Niemieckiej Republiki Federalnej.

Bank Morgana (amerykański), „**Deutsche Bank**” (niemiecki) są wraz z amerykańskim bankiem **Dillona** panami „**Vereinigte Stahlwerke**” w Republice Federalnej.

Córka Adenauera, **Lotte**, wyszła za mąż za **Hermanną Josepha Werhahna**, którego ojciec **Wilhelm Werhahn** — właściciel wielu kopalń, fabrykant i bankier — jest kuzynem kardynała **Fringsa**.

Syn kanclerza, **Konrad Adenauer junior**, jest członkiem zarządu trustu elektrycznego „**Vereinigung Deutscher Elektrizitaetswerke**”. Drugi zaś syn Adenauera, **Maks**, zastępcą nadburmistrza Kolonii, bierze aktywny udział w rozbudowie lotnictwa Trizonii.

Bratanek kanclerza, **Kurt Adenauer**, jest przewodniczącym rady nadzorczej zachodnio-niemieckiego towarzystwa lotniczego „**Luft-hansa AG**” oraz członkiem zarządu przedsiębiorstwa „**Interwerken**” w Kassel, obejmującego wszystkie gałęzie przemysłu związane z budową samolotów.

Można się więc domyślać, co miał na myśli Adenauer, skoro oświadczył, po ponownym wybraniu go na kanclerza, w dniu 9 października br.: „**Ważnym celem mojej polityki będzie troska o umocnienie życia rodzinnego...**”

Szkic z książki G. Baumanna pt. „Eine Handvoll Konzernherren” (Garska monopolistów), Berlin 1953 r.

Zaledwie 9 dni po wyborach, w dniu 15 września br. Adenauer oświadczył na posiedzeniu chrześcijańsko-demokratycznej frakcji Bundestagu, że jednym z głównych celów jego rządu jest „modernizacja wielkiego przemysłu” Niemiec zachodnich, który winien stać się „przodującym w całej Europie zachodniej”. Jak wiadomo, taki jest również cel Stanów Zjednoczonych, dla których Trizonia ma być nie tylko głównym dostawcą mięsa armatniego, ale również główną kuźnią zbrojeń w Europie zachodniej. I dlatego jak dawniej dla Hitlera, tak dziś dla Adenauera szeroką strugą płyną amerykańskie dolary.

Wprawdzie zagraniczni „dobroczynicy” każą sobie drogo płacić zarówno za dawną jak i za obecną „pomoc”. I to nie tylko w formie całkowitego podporządkowania Niemiec zachodnich ich woli i władzy, ale również w postaci gotówki. Olbrzymią sumę 14,5 miliarda marek stanowią przedwojenne i powojenne długi, które rząd Adenauera zgodził się płacić zagranicznym — w pierwszym rzędzie amerykańskim — kapitalistom.

Mechanizm całej tej operacji jest bardzo prosty: kredyty otrzymują monopole zbrojeniowe, a powstałe w ten sposób długi spłacają masy pracujące w Trizonii. Ludność Niemiec zachodnich płaci ciężki haracz w postaci rosnących podatków i wzmagającego się wyzysku. Jak oświadczył szef amerykańskiego „urzędu bezpieczeństwa wzajemnego” w Niemczech zachodnich, Harris, kredyty amerykańskie są przeznaczone tylko dla tych przedsiębiorstw,

„które przyczyniają się do poważnego wzmocnienia wysiłków obronnych i które nie handlują towarami strategicznymi z Europą wschodnią”. Tymi samymi przesłankami kierują się oczywiście również amerykańscy monopolisci przy wykupie akcji zachodnio - niemieckich przedsiębiorstw. Wiadomo przecież, że m.in. obecny sekretarz Stanu USA John Foster Dulles i jego brat, szef wywiadu amerykańskiego, Allen Dulles, zakupili pokaźne pakiety akcji koncernu chemicznego „IG Farbenindustrie” i koncernu metalurgicznego „Vereinigte Stahlwerke”. Wiadomo, że 258 zagranicznych — zwłaszcza amerykańskich — akcjonariuszy zajmuje obecnie 348 kluczowych stanowisk w radach nadzorczych różnych firm Trizonii.

Tak więc zapowiadana przez Adenauera wzmoczona rozbudowa ciężkiego przemysłu Niemiec zachodnich dokonuje się w dużej mierze bezpośrednio na rachunek amerykańskich monopolistów.

Wzrost siły monopolistów zachodnio-niemieckich odbija się już obecnie bezpośrednim, dotkliwym rykoszetem na interesach gospodarczych burżuazji innych krajów zachodniej Europy, zwłaszcza Francji i Anglii. Magnaci Ruhry już uzyskali czołowe miejsce w schumanowskim kartelu węgla i stali. Co więcej, rozpychają się oni coraz energiczniej łokciami na zwężonym rynku kapitalistycznym, szukając tu dla siebie miejsca kosztem innych — zwłaszcza angielskich i francuskich konkurentów. Podczas gdy handel zagraniczny Anglii i Francji kurczy się, eksport Trizonii wzrósł w ubiegłym

roku o dalsze 2,5 miliarda marek, osiągając już prawie poziom ogólnego eksportu francuskiego oraz poważnie przewyższając eksport francuski i angielski do krajów Europy zachodniej.

Monopole zachodnio-niemieckie grają przy tym często rolę tarana torującego drogę dla ekspansji handlowej USA. Ustaleniu wspólnych metod walki przeciw angielskim i francuskim konkurentom służyła m. in. nowojorska konferencja przedstawicieli zachodnio-niemieckiego „Związku Przemysłowców” oraz amerykańskiego „Narodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców” pod koniec listopada ub. r. Na konferencji tej mówiono o wspólnej ofensywie eksportowej oraz o nowym podziale rynków kapitalistycznych. Jak donosi francuski tygodnik „La Tribune des Nations”, przemysłowcy Trizonii otrzymali specjalne kredyty amerykańskie na wzmoczenie ich wysiłku eksportowego do takich krajów, jak Indie, Pakistan, Egipt... A wiadomo przecież, że kraje te stanowiły tradycyjne rynki zbytu kapitalistów angielskich.

Pewni amerykańskiego poparcia, monopolisci Trizonii przystępują energicznie do dzieła. Boński minister gospodarki Erhard oświadczył 19 kwietnia br., że zachodnio-niemiecki przemysł eksportowy szykuje się do „morderczej walki” o rynki zbytu. Zaś organ trizoińskich kół handlowych „Handelsblatt” głosi buńczucznie: „Musimy wreszcie pokazać zęby naszym zagranicznym konkurentom”.

I rzeczywiście, monopolisci zachodnio-niemieccy coraz bardziej

„pokazują zęby”. I to nie tylko w Europie. Ich ekspansja handlowa objęła już wszystkie niemal kraje kapitalistycznego świata. Nie bez powodu stwierdza doroczny przegląd angielskiej Izby Handlowej w Manchester, że — cytujemy — „**Niemcy zachodnie stają się najgroźniejszym konkurentem Anglii**”. Angielski tygodnik „The Economist” stwierdza z goryczą, że eksporterzy zachodnio-niemieccy wykorzystują antybrytyjskie i antyfrancuskie nastroje na Bliskim Wschodzie, dla rozszerzenia tu swych wpływów. Już w ciągu pierwszych 7 miesięcy br. eksport Trizonii do krajów tego rejonu przewyższył cyfrę całego eksportu na Bliski Wschód w 1951 roku.

Gwałtownie rośnie konkurencja zachodnio-niemiecka również w innych częściach kapitalistycznego świata. Eksport Trizonii do krajów Azji południowo-wschodniej wzrósł w ubiegłym roku o 5%, do Afryki o 20%, do krajów Ameryki Łacińskiej o 11%.

Forsowaniu eksportu towarów, a również opanowaniu źródeł surowcowych zwłaszcza w krajach gospodarczo zacofanych ma służyć wzmożony eksport zachodnio-niemieckiego kapitału.

„Jeśli nie chcemy pozostać w tyle — pisał zachodnio-niemiecki „Handelsblatt” — to nasze inwestycje zagraniczne muszą nieprzerwanie wzrastać”.

Inwestycje te istotnie wzrastają. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat (1948—52) eksport kapitału z Trizonii osiągnął sumę 6 miliardów marek. Dla porównania warto przypomnieć, że w ciągu 10 lat przedwojennych (1923—1932) eksport kapitału

niemieckiego wyniósł „tylko“ 8 miliardów marek. Jak z tego widać, tempo zagranicznej ekspansji kapitałowej monopolistów Trizonii obecnie poważnie wzrosło.

Jak donosił amerykański „**Journal of Commerce**“ około 200 firm zachodnio-niemieckich otwarło już swoje filie za granicą, przede wszystkim w koloniach angielskich i francuskich. Opanowane przez amerykański koncern „**Standard Oil**“ firmy naftowe Trizonii uzyskały już na Bliskim Wschodzie, a mianowicie w Jemenie, koncesje na eksploatację tamtejszych źródeł naftowych. Podobne koncesje usiłują one uzyskać również w Syrii. Zachodnio-niemieccy „doradcy techniczni“ interesują się już nowoodkrytymi złożami rudy żelaznej w Pakistanie, w Egipcie przeprowadzają oni rozmowy na temat udziału kapitału zachodnio-niemieckiego w budowie zapory wodnej na Nilu koło Assuan oraz stalowni i fabryki amunicji w Heluan. Podobnie wygląda sytuacja w innych krajach Bliskiego i Środkowego Wschodu, gdzie amerykańscy i zachodnio-niemieccy partnerzy coraz bardziej wypierają angielskich „przyjaciół“.

Magnaci Ruhry nie zapomnieli też kaizerowskich snów o kolonizacji Afryki, o zagarnięciu olbrzymich bogactw naturalnych „czarnego kontynentu“. Organ zachodnio-niemieckich przemysłowców „**Deutsche Zeitung und Wirtschaftszeitung**“ pisał niedawno: „**Bardziej niż kiedykolwiek są potrzebne w Afryce Północnej zagraniczne, a więc i niemieckie inwestycje, gdyż zapotrzebowanie na kapitały przekracza możliwości francuskie**“. Realizacją tego planu zaj-

muje się m.in. hitlerowski zbrodniarz Alfried Krupp, który — w porozumieniu z Amerykanami — zamierza rozbudować w Afryce Północnej potężną bazę przemysłu zbrojeniowego. Plany te cieszą się oczywiście gorącym poparciem amerykańskich protektorów Kruppa, którzy traktują Afrykę jako jedną z swoich głównych baz wojennych.

Również banki zachodnio-niemieckie biorą aktywny udział w ekspansji zagranicznej. Otwarły one szereg filii, m.in. w Argentynie, Brazylii, Chile i w Meksyku. W Egipcie powstaje mieszany bank egipsko-niemiecki, w którym udział kapitału Trizonii ma wynieść 60%.

Nic więc dziwnego, że zarówno Anglicy jak i Francuzi kapitałisi wykazują coraz większe zaniepokojenie ekspansją ich trizońskich konkurentów. Również amerykańscy kapitałisi wyrażają obawy w związku z rosnącą konkurencją Trizonii. Już w marcu br. amerykański dziennik „**New York Times**“ pisał, że „**odrądzający się przemysł zachodnio - niemiecki stał się najniebezpieczniejszym konkurentem Stanów Zjednoczonych na rynkach Ameryki Łacińskiej**“.

Zachodnio-niemieccy — jak i wszyscy inni monopolisci — nie chcą z nikim dzielić swych zysków. Dla pomnożenia tych zysków rozwijają coraz ostrzejszą walkę konkurencyjną na rynku kapitalistycznym.

Tak więc polityka odbudowy imperializmu zachodnio-niemieckiego, polityka faworyzowania monopolistów Trizonii nieuchronnie prowadzi do zaostrzenia walki o panowanie na rynku kapitalistycznym, do dalszego pogłębienia sprzeczności w obozie imperializmu i wojny.

MAROKKO



M A R O K O

ŻADNE wydarzenie na terenie Maroka nie może zagrażać pokojowi—takiej tezy od dwóch lat broni Francja na forum ONZ, chcąc uniknąć interpelacji na temat zajść w protektoracie. Wymachuje starym sztandarem francuskiej cywilizacji i pokoju, a inne rządy udają, że w to wierzą. Jeżeli naród marokański nie żyje w pokoju, niechaj przynajmniej utrzymane zostanie złudzenie, usprawiedliwiające i wzmagające eksploatację tego bogatego kraju i odpływ jego bogactw ku zachodnim rynkom zbytu.

Ojcowie nasi przypominają sobie przetargi, które poprzedziły układ z 1912 r. Zawarto układ francusko-włoski (1902 r.), francusko-angielski (1904 r.), francusko-hiszpański (1904 rok), następnie francusko-niemiecki (1911 r.). Wówczas sułtan Mulaj Abdel Aziz wypowiedział takie słowa: „Francuzi proponują mi szczególną współpracę — nim dojdzie co do czego, mam rozdzielić moje terytoria“.

Mimo sprzeciwu władz francuskich sułtan abdykował, podpisawszy uprzednio — w 1912 r. — układ z Francją, a okrzyk, jaki rzucił wówczas światu, zajętemu dzieleniu między siebie krajów gospodarczo zadowolonych, zapowiadał wybuch dramatu, jaki pod panowaniem protektoratu miał spotkać władzę szeryfa:

„Nie mam żadnej władzy, mógłbym najwyżej udzielać rad. Związano mi nogi i pięści i powiedziano mi: **Rządź!**“.

W czterdzieści lat potem sułtan Sidi Mohammed ben Jussef za odmowę sprawowania rządów w tych warunkach został deportowany w góry Korsyki, gdzie przebywają już od jakiegoś czasu zamknięci w twierdzy w Calvi malgascy posłowie demokratyczni. Mohammed ben Jussef oświadczył swoim rodakom: „Jesteśmy małym narodem. Nie możemy opierać się przemocy... Wiem, że wszystko stracone, gdyż za takim postępowaniem nie mogą się ukrywać żadne cywilizowane uczucia“.

Cywilizacja? Arabskie pałace, historia dynastii, aparat ustawodawczy i sądowniczy, a nawet zbiór praw zwyczajowych w dolinach Wielkiego Atlasu świadczą o wysokiej cywilizacji. Tak o niej mówił Lyautey w 1916 r.: „W Maroku stanęliśmy wobec niepodległego imperium o historycznych tradycjach, ponad wszystko kochającego swą niezależność, sprzeciwiającego się wszelkiemu ograniczeniu suwerenności, które aż po ostatnie lata było samodzielnym państwem z hierarchią urzędniczą, własnym przedstawicielstwem za granicą, organami społecznymi, z których większość przetrwała po dziś dzień mimo niedaw-



negu upadku władzy centralnej. Po-myślecie tylko, że w Maroku istnieje jeszcze sporo wysoko postawio-nych osobistości, które zaledwie przed sześcioma latami piastowały godność ambasadorów niepodległego Maroka w Petersburgu, Londynie, Berlinie, Madrycie, Paryżu, w oto-czeniu sekretarzy i attaches, ludzi o wysokiej kulturze, którzy jak równi z równymi pertraktowali z europej-skimi mężami stanu, znali problemy polityczne i interesowali się nimi...”

Cywilizowane uczucia? U parys-kich bukinistów można dzisiaj jesz-cze znaleźć stary numer „Assiette au Beurre“, którego pół wieku pacy-fikacji Maroka nie pozbawiło aktu-alności. Nosi on tytuł „Cywilizujmy Maroko“, a opatrzony jest następu-jącym napisem: „Bank Maroka — dla niego Francuz winien żyć, dla niego winien umierać“.

Wówczas toczyła się wojna, a do 1935 r. trwała pacyfikacja. Żadna statystyka nie wykazuje ilu Maro-

kańczyków postradało życie w czasie zaprowadzania tego „pokoju“ francuskiego, ale nie będzie przesadą, gdy powiemy, że zginęła wówczas dziesiąta część ludności Maroka.

Prawda, że plemiona wadziły się ze sobą o pastwiska, ale przecież nie po to, by utrzymać te spory, masowo porwali się do walki Riffenowie w 1925 r. Prawda, że Maurowie grabili często karawany, przemierzające ich pustynie, ale... oto historia, której główni aktorzy jeszcze żyją.

Jak większość innych plemion marokańskich, Maurowie zwani Regheibat, ale znani przede wszystkim jako Błękitni, gdyż pod zasłonami twarze ich straciły rumieńce i nabrały niebieskiego odcienia, walczyli z francuskimi najeźdźcami. Oni też byli tymi, którzy poddali się ostatni — niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Plemię Regheibat, wypasające stada bydła na południe od Goulimine czyniło w pierwszych latach naszego stulecia olbrzymie wysiłki, by wyposażać w broń i amunicję wojowników, których wysyłało na północ, by tam bili się z Francuzami. Było to tak niezmiernie trudne zagadnienie, że rada plemienia postanowiła wysłać jednego człowieka do... samej Francji. Człowiek ten przedostał się przez znajdujące się wówczas w ogniu walk Maroko, przebył Alger, popłynął do Marsylii, dostał się do Paryża, a następnie pojechał do departamentu Nord, gdzie został górnikiem w kopalni węgla, zatrudniające już pewną ilość robotników algerskich.

Nasz wojownik z plemienia Regheibat wyjaśnił towarzyszom cele

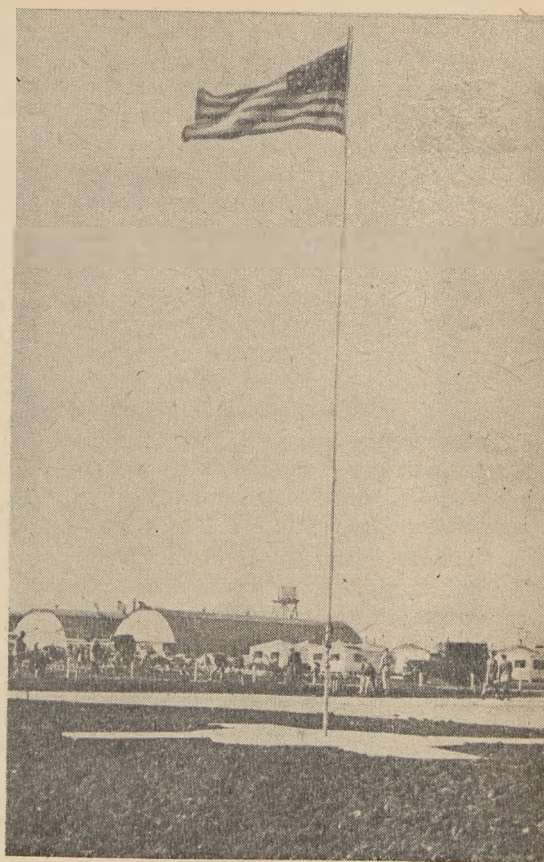
swojej misji, zorganizował zbiórkę pieniędzy, zakupił broń i przeciężając trudności, jakie łatwo możemy sobie wyobrazić — wysłał ją aż na południe Hiszpanii, skąd przetransportowano ją w łodzi przemytnika na wybrzeże Rio de Oro. Ta niezwykła okrężna podróż morską trwała wiele lat i przeciągnęła się jeszcze na okres wojny światowej. Błękitnego człowieka schwytano i zabito.

Jego syn jest dzisiaj aktywnym bojownikiem marokańskiego ruchu narodowo - wyzwolenieckiego. Mieszka w wielkim mieście. Jest wierny swemu błękitnemu pochodzeniu, swemu ojcu i swemu plemieniu, a jeszcze bliższy jest robotnikom i nowemu narodowemu ruchowi niepodległościowemu.

Ta historia jeszcze się nie skończyła. W 1951 r. syn aresztowany został przez policję francuską w czasie prześladowań, które nastąpiły po pierwszej próbie obalenia sultana przy pomocy paszy Marrakeszu, el Glaoui. Nie wiadomo, co się z nim stało — pacyfikacja trwa...

CASABLANCA oddalona jest od Paryża tylko o pięć godzin lotu, ale większość Francuzów nie wie, czym jest naprawdę Maroko, albo zna je jedynie z malowniczych zdjęć, zamieszczanych w czasopiśmie. Położone na dalekim zachodzie świata muzułmańskiego, który rozpościera się aż na południe Chin, aż do Czarnej Afryki, aż do Indonezji, Maroko jest półtora raza większe od Francji. Cywilizacja muzułmańska

Obóz wojskowy w Nouaceur jest w nocy tak jasno oświetlony, że już na godzinę przed przybyciem jadący samochodem podróżny dostrzega jego światła na horyzoncie. Kiedy wjeżdża na teren obozu oślepiają go obracające się w górze białe reflektory, oszalamiają okrzyki Military Police, gubi się w tym wielkim obozie, który ze swymi lotniskami dla ciężkich bombowców odrzutowych i atomowych, składami broni i amunicji sprawia wrażenie miasta-koszmaru, mającego siać śmierć i zniszczenie.



wywarła swe piętno na Hiszpanii i południowej Francji, a w żyłach deportowanego sultana płynie krew korsykańska.

Terytorium szeryfa objęte jest różnymi protektoratami.

Istnieje międzynarodowa strefa T ngeru, gdzie chronią się przed dochodzeniami skarbowymi setki spółek finansowych i skąd Amerykanie nadają propagandę radiową, przeznaczoną dla krajów Europy wschodniej.

Istnieje hiszpańskie Maroko, skąd wyruszył gen. Franco, by obalić republikę.

Istnieje protektorat francuski, gdzie mieszka 8.500.000 Marokańczyków i 410.000 Europejczyków (wobec 300.000 w 1946 r., tam nie mówi się „Francuzi“, ale „Europejczycy“, którzy zresztą pochodzą z najróżniejszych krajów) i... około stu tysięcy amerykańskich żołnierzy.

Od wojny istnieją w Maroku amerykańskie enklawy w Port-I yautey,

lotniska i składy broni w Nouaceur, Ben Guerir, Sidi Slimane itd.

Wreszcie na północno-zachodnim skraju Sahary rozciąga się hiszpańska pustynia Rio de Oro, gdzie nic nie rośnie, chyba tylko przez niewiele dni w roku chude pastwiska, ku którym podążają pospiesznie liczne „błękitne“ ludy koczownicze.

Formalnie sułtan rządzi całym terytorium, mimo podziału, wprowadzonego przez wielkie mocarstwa. Jest rzeczą oczywistą, że stan faktyczny nie odpowiada statutowi prawnemu. Żądanie likwidacji tego stanu rzeczy było przedmiotem pierwszych pokojowych dezyderatów ruchu narodowego.

Przed wysunięciem obecnych żądań niepodległościowych, różne rządy narodowe walczyły przez dziesięć lat — od 1934 do 1944 r. — o ścisłe przestrzeganie układu o protektoracie, to znaczy o to, aby administracja francuska zadowolila się „kontrolą“, a nie administrowała bezpośrednio sprawami marokańskimi.

Niepowodzenie tej kampanii reformistycznej, która znalazła poparcie ze strony francuskiej socjaldemokracji, wzmocnienie bezpośredniej administracji francuskiej, wzmożenie represji antynarodowych mimo obietnic, jakimi szafowano w ciągu drugiej wojny światowej, musiały wraz z rozwojem eksploatacji gospodarczej i powstaniem proletariatu marokańskiego doprowadzić do wysuwania masowych żądań na rzecz niepodległości, żądań jasno sformułowanych przez nacjonalistyczną partię Istiqlal i przez partię komunistyczną Maroka.

Hierarchia administracyjna szeryfa posiada następujące instancje: na szczęblu wioski (duar) i obwodu mokedem i szeik, na szczęblu plemienia, lub jego części — kaid oraz pasza na szczęblu okręgu. Wszyscy oni podlegają sułtanowi i centralnym urzędom przy pałacu sułtana. Przypominano często słynne określenia Lyautey'a: „**Pojęcie protekturatu oznacza, że dany kraj zachowuje swoje instytucje, sam rządzi się i administruje pod zwykłą kontrolą mocarstwa europejskiego. Co przeważa w tej koncepcji i co ją charakteryzuje to formuła — kontrola, przeciwna formule — „bezpośrednia administracja“.**

Ale takie ustalenie zasad pozostało martwą literą. W praktyce Rezydent wybiera paszów i kaidów, zmuszając następnie sułtana do formalnego ratyfikowania tych jego „propozycji“.

Przywiązani w ten sposób do polityki Rezydenta, z czego korzystają w najrozmaitszy sposób, mniej lub więcej obcy wszelkiej moralności, czy jako chrześcijanie, czy jako muzułmanie, owi kaidowie mają za główny obowiązek wypełniać rozkazy, otrzymane od francuskich „cywilnych kontrolerów“, lub wojskowych, którzy na całym terytorium posiadają władzę absolutnie dyktatorską. Wymierzają sprawiedliwość, wyznaczają pańszczyznę, zabierają ziemię fellahom, których pod karą więzienia wysyłają na oficjalne święta francusko-marokańskie, lub pod mury Rabatu itp.

Ci „cywilni kontrolerzy“ prowadzą politykę według własnego widzimisię, często wbrew Paryżowi i

samemu Rezydentowi. Jeden z nich, Boniface, kontroler cywilny w Casablanca, który nigdy nie uznawał innej władzy jak marszałka Juin — byłego rezydenta z ramienia Francji w Rabacie — przez trzy lata przygotowywał zamach stanu paszy Marrakeszu, el Glaoui.

We wsiach i w okręgach górniczych faktyczną władzę kontrolerów dzielą z nimi wielcy europejscy obszarnicy i spółki przemysłowe, na obszarach, które eksploatują. Tam prywatna policja uzupełnia urzędowe siły bezpieczeństwa.

Obie rozpościerają wokół przedsiębiorstw sieć równie nie do przebicia dla robotnika, który uprzykrzywszy sobie niewolę chce uciec, jak i dla Europejczyka czy Marokańczyka, pragnącego nawiązać kontakt z najbardziej uciskanymi proletariuszami świata. W tych przemysłowych okręgach wybuchają czasem konflikty społeczne, których echo dociera po sześciu miesiącach. Za strajk, zorganizowany w fabrykach fosfatów w Khurigha, sekretarz związku górników skazany został na dożywotnie więzienie.

PONAD 75 proc. ludności Maroka żyje z rolnictwa zgodnie z tradycjami plemiennymi i w warunkach jakże chwiejnej równowagi prymitywnej gospodarki rolnej. Własność obejmuje ziemię i wodę — ich rozdział jest bardzo różny. Przecinać dzieli zależnie od okręgu od małej własności indywidualnej do własności zbiorowej, takiej jaką zaprowadziły prymitywne społeczności komunistyczne.

Tak więc w niedostępnych dolinach Wielkiego Atlasu ziemia, woda

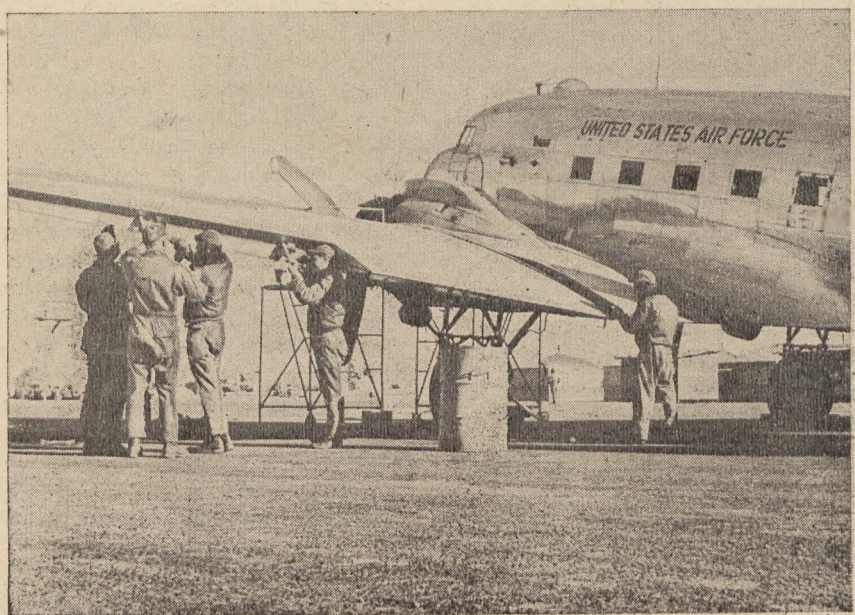
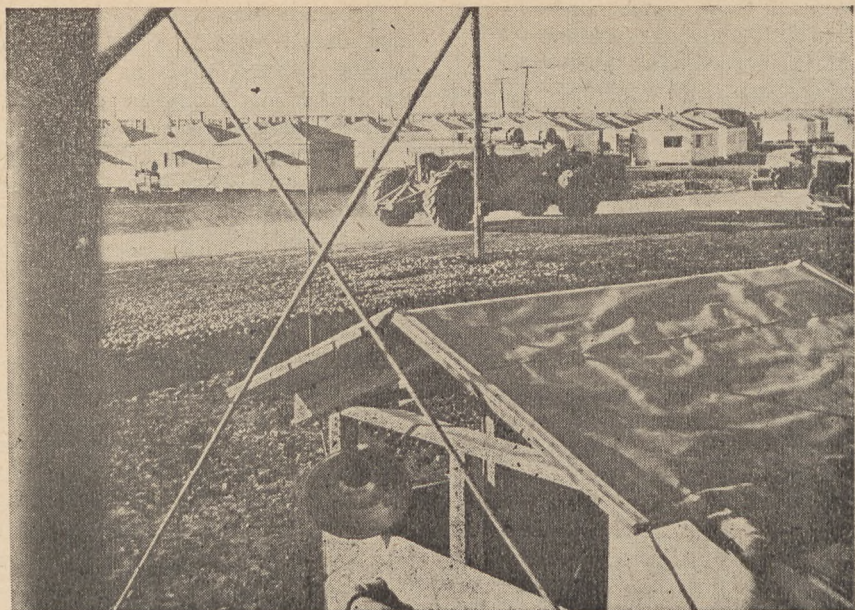
i drzewa migdałowe należą do całego duaru (wioski), dzielone równo między rodziny, które ze swej strony rozdzielają je między głowy ognisk domowych, co powoduje niestychane pokratkowanie; przepisy tego podziału zmieniają się zresztą od jednej doliny do drugiej.

W czasie zrywania owoców cały duar pracuje przy zbiorach. Następnie cały zbiór dzieli się na kosze, odpowiadające ilości ognisk domowych. W tych okręgach, gdzie panuje prymitywna demokracja, gdzie władzę polityczną sprawuje Jemaa (zgromadzenie gminne), kobieta cieszy się większą wolnością niż w innych okręgach marokańskich. Rozwód zapada decyzją obu stron, a nie tylko z woli męża, jak to bywa w miastach.

Marokański fellah orze swą ziemię sochą sprzed dwóch tysięcy lat, nędznym narzędziem z drzewa, którym źle karmiony osioł zdoła zaledwie drapać kamienistą i suchą ziemię. Niedostatek sił produkcyjnych jest główną przyczyną nędzy marokańskiego chłopstwa. Tuż obok, w Rharb lub na równinie Marrakeszu traktory i kanały nawadniające ziemie europejskich osadników podnoszą wydajność do wysokości 20 do 30 kwintali roślin zbożowych z ha, gdy tymczasem fellah zbiera mniej niż 6 kwintali.

W okresie wyjątkowej suszy, jak w 1937 r. i w 1945 r., giną setki tysięcy istot, a wojska otrzymują rozkaz wypierania z bronią w rękę oszalałych nomadów, pędzących na północ.

Twierdzi się często w kołach kolonialnych, że „kiedy fellah dostanie



Tylko pięć głównych baz. Nouaceur, Sidi Slimane, Ben Guerir, Camp Boulhaut i Safi zajmuje przestrzeń kilku tysięcy hektarów



żelazny plug, używa go tylko jeden raz, a potem pozwala mu rdzewieć na skraju pola“.

Stąd wyciąga się wniosek, że chłop marokański nie chce się wyzwolić z jarzma prymitywnej gospodarki. Nie mówi się jednak o tym, że zwierzęta pociągowe są zbyt słabe, rzemienie za mało wytrzymałe, ziemia za sucha, a kamienie za ciężkie. Na skutek tego używanie żelaznego pluga staje się niemożliwe.

W rzeczywistości trzeba podnieść na wyższy poziom stopę życiową fel-

laha, to znaczy, trzeba polepszyć jednocześnie wszystkie warunki produkcyjne, społeczne i polityczne. Francuscy urzędnicy starali się praktycznie wprowadzić tę naukę w życie po drugiej wojnie światowej, kiedy w metropolii powiał wiatr postępu.

W ramach prac „**Sektorów modernizacji chłopstwa marokańskiego**” oddano do zbiorowego użytku Jemaa traktor, koparkę, plug tarczowy, wodę, specjalnie dobrane siewniki, szkołę, izbę chorych i radę admini-

stracyjną, wybieraną przez członków gromady. Poziom życia miał się w szybkim czasie podwoić i potroić, a „**Sektory modernizacji chłopstwa marokańskiego**“ mnożyły się w rytmie entuzjazmu, jaki wzbudziły w plemionach pierwsze zbiory, całkowicie przyznane produkującym chłopom.

Ale w Paryżu powiał inny wiatr. Europejscy kolonizatorzy z okręgu Meknes sprowokowali zajścia w „sektorach“ i doprowadzili do rozwiązania zespołów francusko-marokańskich, które były duszą tego przedsięwzięcia. Sektory przemieniono w fermy państwowe, gdzie fellahowie pędzą dzisiaj żywot robotników rolnych, zatrudnionych w wielkich posiadłościach europejskich.

Rozczarowanie równe było zrodzonej przedtem nadziei, ale system kolonialny ocalił przywileje i zyski kolonizatorów, którym mogły zagrażać perspektywy postępu w rolnictwie. Oczywiście spowodowało to nasilenie ruchu narodowo-wyzwoleńczego na wsiach, którego nie potrafiły zwalczyć wieloletnie represje.

„Interesy“ francuskie w Maroku mają różnolity charakter. Te, które wywołują najgłośniejsze sprzeczki — to 4.700 europejskich posiadłości rolnych, obejmujących blisko milion hektarów żyznych ziem, to znaczy 20 proc. całej powierzchni uprawnej Maroka. Dwie trzecie tych ultranowoczesnych posiadłości ma powierzchnię większą niż 300 ha, a wiele z nich, należących bądź do przedsiębiorstw, bądź do pojedynczych osób, przekracza kilka tysięcy hektarów.

Pochodzenie tych wielkich posiadłości jest proste — przymusowy i tani wykup ziem marokańskich, lub, co się zdarza jeszcze częściej, zastosowanie dekretów z 1914 r. przewidujących wywłaszczanie fellahów z ziemi przeznaczonej na cele użyteczności publicznej. Istnieje także system „**obszarów kolonizacji**“ i rabowania „**drogą rejestrowania dla konserwacji gruntów**“. Niezależnie od formuły prawniczej, chłop marokański zdaje sobie sprawę, że chodzi zawsze o kradzież jego ziemi.

Zagarnianiu ziemi przez Europejczyków sprzyja przy tym niska wydajność marokańskiego rolnictwa i klęski głodowe. W czasie klęski głodu w 1945 r. wielu fellahów zmuszonych było — dla zdobycia jednego kwintala zboża — odstępować dwa hektary ziemi. A Marokańczycy uprawiają już zaledwie 3,6 miliona hektara ziemi wobec 4,6 w 1939 r., gdy tymczasem tysiące wywłaszczonych fellahów zaludniają nędzne przedmieścia*), które po wojnie powstały wokół Casablanki i Rabatu.

Rozszerzanie się europejskiej własności obszarnej, uprawianej przy pomocy nowoczesnej techniki, nie przyniosło żadnej poprawy w sytuacji żywnościowej ludności marokańskiej. Prowadzi się bowiem specjalne uprawy pod kątem potrzeb eksportu, a nie potrzeb lokalnych. Towarzyszy temu w konsekwencji ciągłe zmniejszanie powierzchni obsianej jęczmieniem, podstawowym pożywieniem robotnika marokańskiego, i rozwój plantacji

*) Tzw. bidons-villes, tzn. przedmieścia, gdzie chaty buduje się z pustych blaszanych zbiorników.

{produkcja jęczmienia w 1952 r. wyniosła 184.000 ton, eksport — 111.000 ton), taka sama sytuacja jest w przypadku ryżu (produkcja — 140.000 kwintali, eksport — 100.000 kwintali), winnej latorośli itp.

Uprawa ta przynosi europejskim obszarnikom poważne dochody. Łatwo je sobie wyobrazić, porównując ceny zboża chlebowego to jest 3.600 frs. za kwintal, tak samo jak we Francji, z kosztami produkcji — niskie podatki i minimalne obciążenia z tytułu ubezpieczeń społecznych, płaca robotników w wysokości 150 franków dziennie dla mężczyzn i nie-raz o połowę mniej — dla kobiet.

Te dochody z rolnictwa, jak również zyski z przemysłu i handlu wcale nie służą rozwojowi sił produkcyjnych narodu marokańskiego. Gospodarka europejska i gospodarka marokańska pozostają od siebie rozdzielone, stykając się jedynie o tyle, że pierwsza wyzyskuje drugą.

CIEŻAR gatunkowy przemysłu i górnictwa przewyższa obecnie znaczenie cudzoziemskich posiadłości w rolnictwie marokańskim. Bogate możliwości eksploatacji górniczej w Maroku były przez dłuższy czas zaniedbywane. Oceniano je bądź jako niewystarczające, bądź też stan rynków międzynarodowych nie usprawiedliwiał wkładu niezbędnych inwestycji.

Druga wojna światowa usunęła te wahania, wywołując zarazem wzrost spożycia surowców przemysłowych na świecie i zmniejszenie amerykańskich zasobów narodowych. Odtąd banki międzynarodowe zaczęły interesować się wnętrzem ziemi w Ma-

roku i na Saharze, wysyłając tam kapitały, maszyny i techników w szybkim tempie, które wzrosło jeszcze po wybuchu wojny w Korei i na skutek zbrojeń bloku zachodniego.

Ogólna wartość wydobytych surowców wzrosła z 22 miliardów franków w 1950 r. do 43 miliardów franków w 1952 r. (w tym wartość eksportu wyniosła 32 miliardy franków). Od 1951 do 1952 r. produkcja ołowiu (115.000 ton) wzrosła o 23 proc., produkcja cynku (52.000 ton) o 42 proc., produkcja manganu wzrosła z 334.000 ton do 405.000 ton, skutkiem czego Maroko zajęło trzecie miejsce wśród krajów produkujących tę cenną rudę.

W protektoracie i jego strefie Sahary znajdują się niemal wszystkie rudy, a niedawno rozpoczęta eksploatacja maurytańskich pokładów miedzi i żelaza wzbogaca jeszcze obraz górniczego eldorada, jakim szybko staje się Maroko. Do tego dochodzą jeszcze fosfaty, stanowiące obecnie pierwsze bogactwo kraju. Ich wydobycie wynosi 4 do 5 milionów ton rocznie. Dochodzi także eksploatacja antracytu w Dżerada — 600.000 ton i nafty — 100.000 ton ropy w 1952 r.

Obcy kapitał kontroluje najbardziej wydajne sektory rolnicze — 100 proc. uprawy winnej latorośli i 75 proc. plantacji oraz całkowicie panuje nad produkcją górniczą i przemysłową. Marokańscy dostojnicy, zasiadający w radach administracyjnych nie mają żadnej władzy. Główną cechą kapitału w Maroku jest jego bardzo silna koncentracja. Jest to w przeważającej mierze kapitał bankowy.

Tak więc Banque de Paris et des Pays-Bas kontroluje produkcję kobaltu (Bu Azzer), ołowiu (Auli), manganu (Tifnut), niemal cały transport oraz posiada w swych rękach monopol wody, gazu i elektryczności. Cynk znajduje się w rękach grup Rotszylda i Morgana. Połowa produkcji manganu uzależniona jest od banku Mirabaud, który przygotowuje się w Paryżu do fuzji z inną wielką potęgą w Maroku — bankiem Union Parisienne, którego filia, Usinor, kontroluje 95 proc. kopalń rud żelaznej.

Brak śrubby podatkowej i ubezpieczeń społecznych oraz bardzo tania siła robocza pozwalają na osiąganie bajecznych zysków. Zyski, zamieszczone w bilansach za lata 1948 i 1951 Compagnie Sucriere Marocaine (Banque de Paris et des Pays - Bas) przekraczają 2,5 miliarda franków.

Tylko za 1950 r. urząd dla spraw produkcji fosfatów stwierdza — po odpisaniu funduszków na konta rozmaitych rezerw — 2,8 miliarda zysku. Omnium Nord - Africaïn (Banque de Paris et des Pays - Bas) wykazuje w 1951 r. ponad 220 milionów zysku własnego (aktywa — 3 miliardy) i 698 milionów franków zysków swoich filii.

Podobne rezultaty osiąga przemysł przetwórczy, niemal zawsze rozwijający się na najczystszych prawach spekulacji handlowej. Wiadomo w protektoracie, że przedsiębiorstwo przemysłu lekkiego winno zamortyzować kosztą swego powstania w ciągu dwu lat.

Nic więc dziwnego, że na przykład przemysł konserwowy, zbudo-

wał po zakończeniu wojny dwieście fabryk, które dają eksport wartości ośmiu miliardów franków. Mimo niezmiernie taniej siły roboczej (kobiety), producenci sardynek żądają na rynkach handlowych o 450 franków więcej za skrzynię, niż ich portugalscy konkurenci.

Przedsiębiorstwom tym zagraża obecnie likwidacja, gdyż 55 proc. przemysłu konserwowego znalazło się pod kontrolą amerykańskiej firmy „**French and Moroccan Food Corporation of New York**“. Jak głosi roczne sprawozdanie Marokańskiego Banku Handlowego za 1952 r., „jeszcze i w tym roku **Metropolia**, ze szkodą dla swego przemysłu, musiała stworzyć dla Maroka rynki zbytu (francuskie kontyngenty importowe, sprzedaż w posiadłościach zamorskich), których przemysł marokański nie mógł sobie zapewnić własnymi środkami“.

Często się mówi — zresztą słusznie — że Francuzi w Maroku mają mentalność separatystyczną i że ich najgorętszym życzeniem jest zerwać stosunki, które ich łączą z ministrem finansów, z dewizowymi funduszami stabilizacyjnymi i w ogóle ze wszystkimi podatnikami w **Metropolii**.

Ci właśnie podatnicy w dużej mierze — a robotnicy marokańscy w pozostałej — przyczyniają się do powstawania zysków, ściąganych przez przedsiębiorstwa i banki w Maroku w formie pomocy dla zagranicznego handlu Maroka. Handel ten, coraz bardziej deficytowy, pokrywał w 1952 r. zaledwie 53 proc. importu Maroka, wykazując saldo ujemne w

stosunku do strefy dolarowej, wynoszące 1/6 deficytu dolarowego całej strefy walutowej franka francuskiego.

Opanowując gospodarkę i politykę Maroka, Państwowy Bank Maroka kieruje z ukrycia sprawami kraju. Utworzyła go w 1904 r. grupa banków francuskich w celu zagwarantowania pożyczek, do których zaciągania Francja zmuszała wolnego jeszcze wówczas sułtana.

Nazajutrz po Akcie z Algeciras kapitał Banku podzielony został na 14 części z tym, że każde z podpisujących krajów miało jedną z nich, a dwie pozostałe przekazano francuskiemu konsorcjum, które go założyło.

Część francuska znajduje się w posiadaniu Banque de Paris et des Pays - Bas, który odkupił część niemiecką, austriacką, rosyjską, marokańską i angielską. Wraz z dwiema częściami zależnego od Banku konsorcjum, Banque de Paris et des Pays - Bas mianuje zatem 8 administratorów na ogólną liczbę 14, bije walutę, rozdziela kredyty, bądź bezpośrednio, bądź też w formie redyskonta. (76 miliardów franków na dzień 31 grudnia 1952 r., podczas gdy ogólna ilość pieniędzy papierowych w obiegu wynosiła 45,8 miliarda franków).

Trzeba znać te fakty, kiedy rozpatruje się problemy marokańskie włącznie z usunięciem sułtana. W Maroku nic się nie dzieje bez aprobaty lub postanowienia Banque de Paris et des Pays - Bas oraz jego wspólników.

◉ WI wspólnicy mają czasem przeciwnostawne dążenia i interesy, czego odbicie znajduje wyraz w burzliwych dyskusjach, które wywołują poruszenie na paryskich posiedzeniach rządowych, kiedy mowa jest o sprawach kolonialnych. Problem jest taki: czy zyski kolonialne należy zostawiać wyłącznie zainteresowanym firmom francuskim, czy też brać pod uwagę potężne apetyty firm amerykańskich?

Koła rolnicze, handlowe i przemysłowe opowiadają się raczej za pierwszą ewentualnością, natomiast wielkie przedsiębiorstwa górnicze są rzecznikami drugiej. Kopalnie ołowiu w Zellidża zawarły już układ z firmą amerykańską w zamian za kilka miliardów franków, dostarczonych w ramach „planu Marshalla”, a amerykańsko - kanadyjska grupa przemysłowa Frobisher kontroluje maurytańskie kopalnie żelaza.

Każdy klan ma swoją prasę, swych lokalnych i paryskich polityków, a nawet swoich paszów. Ale dwa fakty wypaczają charakter konfliktu, zajmując obecnie pierwszoplanowe miejsce na marokańskiej scenie:

1) Maroko stanowi element atlantyckiej strategii wojskowej,

2) istnieje narodowe dążenie do niepodległości, skierowane przeciwko wszystkim rozmaitym gnębiicielom.

Ludność europejska nie lubi Amerykanów, ponieważ „powzięła podejrzenie, że starają się wypędzić ją z Afryki”. To zdanie napisane zostało przez Homera Bigarta, reportera z

„New York Herald Tribune“, który w grudniu 1951 r. zamieścił pięć reportaży o bazach powietrznych w Maroku. Nie lubi ich także dlatego, że „kupcy amerykańscy wykorzystując uprawnienia, uzyskane przez Stany Zjednoczone, zagarnęli przeważającą część handlu miejscowego“.

Ludność europejska tym mniej lubi Amerykanów, że obecność kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy i robotników amerykańskich, którzy dysponują dużą siłą kupna, ale nie produkują żadnych użytecznych dóbr, przyczyniła się do podniesienia cen w ciągu trzech lat — w stopniu o wiele nawet większym niż w samej Francji. Podstawowa płaca godzinowa, wypłacana w 1952 r. przez „Atlas Constructor Company“ wynosiła dla Amerykanów — 850 franków, dla Francuzów od 140 do 245 i dla Marokańczyków 37 franków.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Francja odstąpiła Amerykanom bazę lotniczą - morską w Port - Lyautey. Ale nazajutrz po wybuchu wojny w Korei US Army uzyskała od Francji pozwolenie na budowę pięciu baz dla bombowców. Jak stwierdził H. Bigart, ma to być „najważniejszy obiekt wojskowy za granicą, jaki Ameryka przedsięwzięła po zakończeniu wojny“.

Wybrano Maroko dlatego, że „wydawało się pewniejsze niż Europa zachodnia“. Zapomniano jednak w Waszyngtonie, że w Maroku mieszka ponad 8 milionów Marokańczyków. „Żaden Amerykanin nie zapytał sultana, czy uznaje za wskazane, by w jego kraju zakładano bazy wojskowe... W dowództwie lotnictwa panowała tendencja do pomniejszania

problemu nacjonalizmu arabskiego... Nieuniknionym rezultatem tego przedsięwzięcia będzie zbliżenie interesów amerykańskich i francuskich przeciw rozwojowi ruchu narodowo - wyzwolenieckiego Maroka. Niezależnie od stopnia wymowności, jaką rozwiną Marokańczycy na rzecz przywrócenia ich suwerenności, nie możemy popierać żadnej zmiany w statucie protektoratu, przynajmniej dopóki będzie trwała zimna wojna“.

Dzisiaj pięć głównych baz jest już bądź zbudowanych, bądź znajduje się w trakcie budowy. Zajmują one kilka tysięcy hektarów, skąd wywłaszczono fellahów, w Nouaceur, Sidi Slimane, Ben Guerir, Camp Boulhaut i w pobliżu Safi. Nie licząc istniejących już lotnisk wojskowych w Marrakeszu, Agadirze, Meknesie, Casablance, Rabacie i Sale, bogato wyposażonych po zakończeniu wojny.

NIEWIELE miesięcy upłynęło od pierwszego wtargnięcia puldożerów między słomiane chatki duarów, kiedy wśród wyrobników marokańskich w Nouaceur wybuchł strajk. Military Police pobiła strajkujących, po czym przekazała ich policji francuskiej.

Była to wielka niespodzianka. Władze amerykańskie w Maroku nie wyobrażały sobie, że ludność marokańska po 40 latach „pacyfikacji“ francuskiej jest jeszcze dostatecznie energiczna, by się buntować, choćby po to, by uzyskać dodatkowo jeden bochenek chleba jęczmiennego dziennie. Faktycznie amerykańska flota wojenna i lotnictwo przecho-



Jak widać z zamieszczonej powyżej mapki, Maroko jest tylko jednym z głównych kamieni węgielnych imperialistycznego systemu strategicznego w Afryce.

dziło okres terminowania w znajomości narodowego ruchu marokańskiego.

Wydatki protektoratu ilustrują strach, jaki ten ruch ludowy wzbudza w europejskich przedsiębiorcach. W 1951 r. na 41.450 urzędników było 14.219 policjantów, którzy pochłaniali 15 proc. budżetu zwyczajnego i 43,8 proc. budżetu przeznaczanego na wyposażenie.

Represje polityczne rozpoczęły się po zlikwidowaniu zbrojnego oporu, który przetrwał trzydzieści lat. Już w październiku 1936 r. rezydent generalny Nogues kazał uwięzić Allala Fassi i Mohammeda Lyazidi, przyszłych przywódców partii Istiqlal. W następnym roku francuskie oddziały strzelały do ludności, rozdrażnionej na skutek decyzji, na mocy której wolno było kolonizatorom odwrócić bieg wód Boufekrane dla ich własnej korzyści. Karabiny maszynowe zdobywają uliczki Fezu i Port Lyautey. Tysiące członków Partii Narodowej, chwilowej przedstawicielki dążeń ludowych, deportowano na Saharę i do Gabonu.

Partia Istiqlal została utworzona 11 stycznia 1944 r. W piętnaście dni później aresztowano jej przywódców, po czym wypuszczono w wyniku wybuchu powszechnego strajku. Ale oddziały specjalne zabiły wiele osób w Rabacie, Sale Oujda i Fezie, który oblegano i pozbawiono wody na przeciąg dwóch tygodni. W bilansie represji ze stycznia 1944 r. figuruje stu zmarłych i 5.000 internowanych w obozach koncentracyjnych.

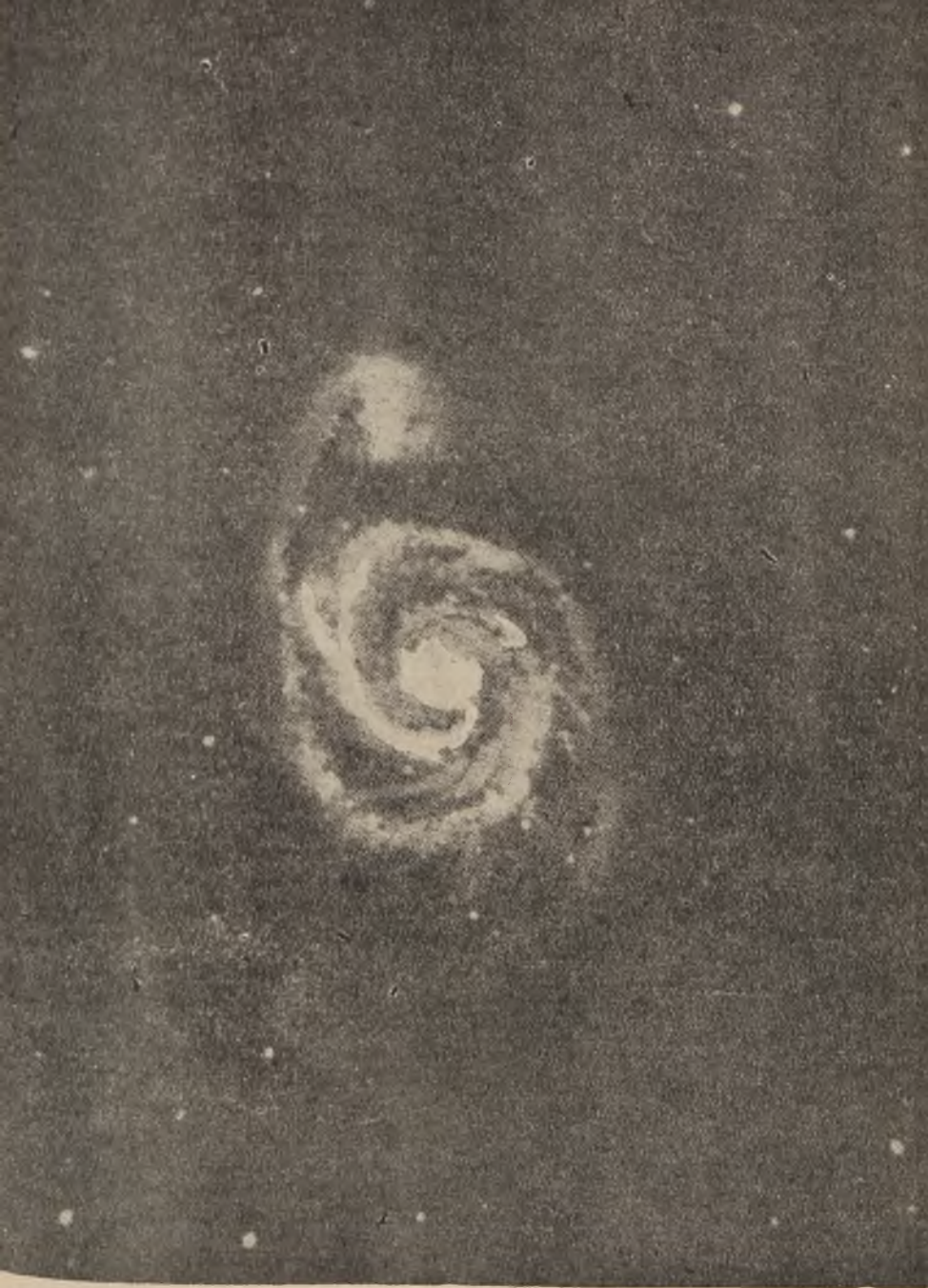
Odtąd siła wystąpień na rzecz niepodległości nieustannie wzrasta (w

1945 r. powstała marokańska partia komunistyczna) równolegle z tempem represji. Przypomnijmy sześciomiesięczny okres terroru w następstwie zapowiadanego przez gen. Juina w grudniu 1950 r. obalenia sułtana, masakry w Casablance w dniu 1 listopada 1951 r., tysiące ofiar w nędznych przedmieściach Casablanki w ciągu dni grudniowych 1952 r., wreszcie ostatnie wydarzenia sierpniowe.

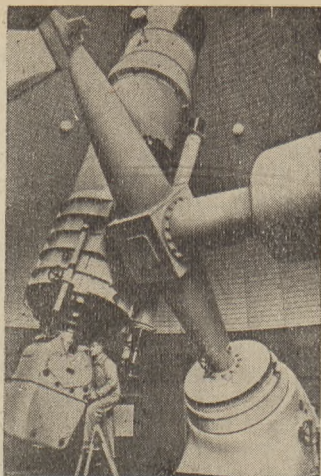
Dążenie narodu marokańskiego do niepodległości nasycza obecnie, mimo oficjalnych zaprzeczeń, całą jego aktywność polityczną. Dążenie to odpowiada nie tylko potrzebom narodowej, ale łączy się ono z potrzebą polepszenia warunków życia, które w ciągu ostatnich piętnastu lat poważnie się pogorszyły.

W stosunku do 1938 r. wskaźnik płac marokańskich stanowi połowę wskaźnika cen, a cyfry sprzedaży, zebrane u wielkiego sprzedawcy w Fezie w następujący sposób odzwierciedlają spadek stopy życiowej ludności miejscowej: w 1949 r. skrzynia herbaty dziennie, w 1951 r. — taka sama skrzynka w ciągu tygodnia; odpowiednio 400 i 280 worków cukru; pięć ton mąki dziennie i ta sama ilość na pięć dni.

Możliwości dziennikarskie są niewystarczające, by opisać obraz nędzy i codziennego strachu, jaki odczuwa się na wsiach i na nędznych przedmieściach. A powieść o tej nędzy jeszcze nie została napisana, jak chyba tylko ta pisana krwią, przelaną przez Marokańczyków dla zdobycia niepodległości i lepszych warunków życia.



Mglawica Konstelacji Psa



BADANIA NAD BUDOWĄ WSZECHSWIATA

Nowe poglądy na budowę układów gwiazdnych

DR GUGLIEMO RIGHINI

z Obserwatorium Astrofizycznego Arcetri — Florencja

W CIĄGU ostatnich dziesięcioleci astronomia uległa głębokiej ewolucji. Podczas gdy dawniej zajmowała się przede wszystkim precyzyjnym określaniem położenia planet i ciał niebieskich, obecnie zwróciła się zdecydowanie ku badaniu własności fizycznych wszechświata, wykorzystując w tym celu ogromne postępy dokonane w dziedzinie fizyki. W ten sposób zrodziła się astrofizyka. Jest rzeczą jasną, że rozwój techniki przyczynił się znacznie do rozkwitu tej nowej nauki, która ruszyła naprzód siedmiomilowym krokiem, zwłaszcza dzięki postępom w dziedzinie optyki, mechaniki precyzyjnej i elektroniki.

Jedynym sygnałem jaki gwiazdy

przesyłają Ziemi, jest słaby strumień światła. Analizując go w spektroskopie uzyskujemy dane o składzie fizycznym ciał niebieskich. Z tego też względu praca obecnych astrofizyków polega przede wszystkim na fotografowaniu widm ciał niebieskich. W miejscu, w którym potężne lustro paraboliczne, stanowiące zasadniczą część składową reflektora*), skupia światło gwiazdy w mały punkt świetlny — umieszczamy szczelinę spektrografu. Światło rozszczepione przez pryzmat spektrografu, daje widmo gwiazdy, które dzięki odpo-

*) Reflektor: luneta astronomiczna, której główną częścią składową jest lustro w przeciwieństwie do refraktora, którego główną częścią jest soczewka.

wiedniemu urządzeniu utrwała się na kliszy.

Zasadniczą cechą widm gwiazdnych jest obecność prążków absorpcyjnych, to jest „przerw“ w następstwie barw od czerwonej do fioletowej. Prążki te umożliwiają analizę jakościową ciał niebieskich. Dzięki doświadczeniom laboratoryjnym wiemy bowiem, że wszelki pierwiastek chemiczny, umieszczony w odpowiedniej temperaturze, daje widmo absorpcyjne typowe dla siebie. Porównując widma ciał niebieskich z widmami rozmaitych pierwiastków otrzymanymi w laboratorium udało się dowiedzieć, że w ciałach niebieskich istnieje większość spośród 92 pierwiastków naturalnych, objętych układem periodycznym Mendelejewa.

Pomimo pozornych różnic gwiazdy są dostatecznie podobne, by właściwości ich, ujawnione w spektroskopie, posłużyć mogły za podstawę klasyfikacji. Ojciec Angelo Secchi, dyrektor obserwatorium rzymskiego, pierwszy sklasyfikował gwiazdy według pięciu typów o ściśle określonych właściwościach. Klasyfikację tę rozbudowali astronomowie amerykańscy z harwardzkiego obserwatorium, zastępując pięć typów Secchiego „klasami widmowymi“, które do dziś są używane i oznaczane literami O, B, A, F, G, K, M; Morgan i współpracownicy jego z obserwatorium Yerkesa (Stany Zjednoczone) udoskonaili i rozbudowali klasyfikację harwardzką, wydając wielki atlas widm gwiazdnych, który jest dziś nieodłącznym towarzyszem każdego astrofizyka, zajmującego się spektroskopią. Wszystkie ciała niebieskie, należące do tej samej klasy

widmowej mają w przybliżeniu tę samą temperaturę, od gwiazd „najgorętszych“, jak gwiazdy typu B o temperaturze powierzchniowej 25 000 — 30 000 stopni, do gwiazd „najzimniejszych“, typu M, mających „tylko“ 2 000 — 3 000 stopni. Nasze Słońce jest gwiazdą typu G o temperaturze około 6 000 stopni.

Badanie widm gwiazdnych pozwala nam także określić rzeczywistą jasność gwiazd. Stwierdzono, że gwiazdy, należące do tej samej klasy widmowej, to jest mające tę samą temperaturę, mogą mieć różne stopnie jasności. Wobec tego zaś, że ilość światła, wypromieniowywanego przez gwiazdę zależy od temperatury, różnice w jasności zależeć mogą wyłącznie od większej lub mniejszej powierzchni promieniowania. Tak więc w ramach tej samej klasy widmowej gwiazdy dzielą się na „olbrzymy“ i „karły“. Karły mają średnicę rzędu milionów kilometrów, olbrzymy zaś mogą mieć rozmiary tizysta razy większe.

Zagadnienie klasyfikacji widmowej gwiazd ma tak istotne i aktualne znaczenie, że CNRS**) zorganizował w Paryżu konferencję w celu omówienia związanych z tą dziedziną problemów i uzgodnienia przyszłych badań. Najistotniejszy wkład poza Morganem wniósł Nassau, który poświęcił się specjalnie badaniu czerwonych olbrzymów. Posługując się całkowicie odmiennymi metodami, astrofizycy francuscy Chalonge i Barbier wprowadzili z kolei ściśle kryteria dla określania gwiazd róż-

**) CNRS — Centre National de la Recherche Scientifique: francuska instytucja państwowa, mająca na celu kierowanie badaniami naukowymi i ich finansowanie.

nego typu, uzupełniając tym klasyfikację Morgana i współpracowników.

Rozmieszczenie w przestrzeni gwiazd należących do różnych typów nie jest — jak by się mogło zdawać — przypadkowe. Badanie rozmieszczenia pozwala również uzyskać bardzo ważne dane na temat budowy naszego układu gwiazdnego. Nasze Słońce stanowi część składową Galaktyki, która jest układem gwiazdnym o kształcie spiralnym, podobnym do układu M-51, znajdującego się w konstelacji Psa. Układ ów znajduje się poza naszą Galaktyką, tak że możemy go oglądać w całej okazałości. Wobec tego natomiast, że nasz punkt obserwacyjny znajduje się wewnątrz Galaktyki, trudno nam sobie zdać sprawę ze spiralnej struktury naszego układu. Nie pozostaje nam nic innego, jak badać rozmieszczenia gwiazd w rozmaitych kierunkach i na podstawie uzyskanych wyników określać pośrednio jego budowę. Na konferencji paryskiej radziecka szkoła astrofizyczna reprezentowana przez Ambarcu-

mianca, Kukarkina, Parenago i Mielnikowa przedstawiła wyniki ostatnich lat, będące rezultatem długotrwałych i szczegółowych badań, prowadzonych przy pomocy znakomitego wyposażenia. Badając rozmieszczenie gwiazd różnych typów Ambarcumianc ustalili, że w naszym układzie istnieją różne „asocjacje gwiazdne“, które składają się z „młodych“ gwiazd i gdzie prawdopodobnie nieustannie powstają gwiazdy. Później gwiazdy rozpraszają się z asocjacji w otaczającą przestrzeń. W związku z tymi nowymi poglądami na budowę Galaktyki Kukarkin i Parenago wysunęli również nowe hipotezy na temat ewolucji gwiazd.

Konferencja paryska dała poważne rezultaty. Umożliwiła ona spotkanie badaczom różnych szkół i bardziej jeszcze zacieśniła więzy szacunku i zrozumienia wzajemnego, jakie łączą badaczy Nieba, przyczyniając się tym samym zarówno do postępu wiedzy, jak do powszechnego postępu społecznego.

ZIEMIA ROŚNIE

W NIEKTÓRYCH krajach istnieje przesąd, że na widok spadającej gwiazdy należy wypowiedzieć życzenie. I dla wielu te „ogieńne sztuczne“ łączą się z pogodną porą letnią. Lecz nieliczni tylko patrzą na to zjawisko jako na pasjonujące zagadnienie naukowe.

Przestrzeń międzyplanetarna usiana jest odłamkami metalicznymi i kamiennymi. Jedne z nich są małe, inne — meteory — ważą wiele ton. Większość z nich w czasie przelotu przez atmosferę ziemi rozgrzewa się wskutek tarcia do białości, spala się i przeistacza w pył.

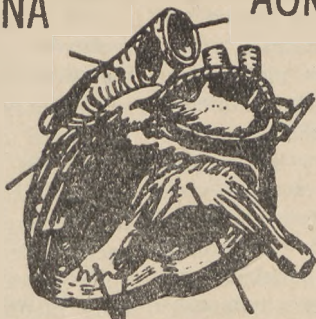
Ten drobny pył kosmiczny powiększa co dnia masę ziemi o 6000 ton, co w ciągu roku czyni 2 000 000 ton. Cyfry te wydają się niewiarogodne, lecz wynosi to zaledwie 4 kg na 1 km kwadratowy, to jest 40 g na hektar. Od trzech miliardów lat glob nasz rośnie w ten sposób, wzbogacając się w czasie swego krążenia wokół słońca o miliony ton materii kosmicznej.

TĘTNICA PŁUCNA

AORTA

ŻYŁY PŁUCNE

USZKO LEWE



ZASTAWKA DWUDZIELNIA

CHIRURGIA SERCA

PRZED 20 laty nikt nie przypuszczał, że chirurgia otworzy sobie drogę do organu tak trudno dostępnego jak serce. Sercie bowiem stale wypełnione krwią dzięki skomplikowanemu mechanizmowi zastawek spełnia pracę pompy ssąco-tłoczącej, której zatrzymanie powoduje natychmiastową śmierć.

A jednak dzięki postępowi nowoczesnej anestezjologii, dzięki zastosowaniu nowych odkryć, dzięki cierpliwości i wysiłkom chirurgów, którzy niezliczone razy wykonywali doświadczenia na zwierzętach, chirurgia serca i naczyń krwionośnych stała się rzeczywistością i rozwija się nieustannie.

W tym artykule chcemy zapoznać was z chirurgią wrodzonych wad serca i dużych naczyń krwionośnych tj. wad, istniejących od urodzenia, a spowodowanych nienormalnym rozwojem w życiu płodowym.

Wady te są różnorodne i powodują różne skutki. Niektóre z nich zupełnie uniemożliwiają życie, inne znowu człowiek znosi przez dłuższy okres czasu.

Obecnie kardiolodzy zajmują się szczególnie klasyfikowaniem lżejszych wad rozwojowych i poznawaniem ich niezwykle skomplikowanych stosunków.

Chirurgia zaczęła od mniejszych wad. W 1939 roku Grosse wykonał

podwiązanie przewodu tętniczego, który do momentu urodzenia łączy tętnicę płucną z aortą. Wkrótce po urodzeniu przewód ten zarasta, pozostając drożnym tylko w nielicznych anormalnych wypadkach. Istnienie tej wady stwierdza się słuchowo jako stały szum dmuchający, jak szum pracującej maszyny. Ta wada — często znoszona — dość łatwo może doprowadzić organizm do niedomogi serca, lub wzmoczenia niebezpiecznych objawów, jeżeli np. w tym przewodzie umiejscowi się choroba (przed odkryciem antybiotyków zawsze śmiertelna) — zapalenie wsierdzia Osjera. Stosunkowo łatwe podwiązanie tego przewodu nie tylko unicestwia niedokładności powodowane tą wadą, lecz może spowodować wyleczenie (przed odkryciem antybiotyków) zapalenia wsierdzia umiejscowionego właśnie w tym przewodzie.

Później Crawford skierował swe zainteresowanie na zwężenie aorty (tętnicy głównej). Ta wada polega na mniejszym lub większym zwężeniu przekroju aorty, która wkrótce po urodzeniu ma za zadanie ukrwienie tętnic prowadzących do głowy i kończyn górnych. Wskutek tego występuje nadciśnienie w górnej połowie ciała i niższe ciśnienie w dolnej, co powoduje obciążenie serca walczącego z tym zwężeniem. Crawford miał tę odwagę, by przerwać na kilka minut krążenie krwi, zakładając zacisk na aortę (tzw. klamp), usunąć część zwężoną aorty i zeszyć ją koniec z końcem. Wyniki tego zabiegu są bardzo zadowalające. Jednak operacja ta nie może być stosowana u wszystkich dotkniętych wadą zwężenia aor-

ty. Zależy to od stosunków anatomicznych zwężenia aorty, ewentualnie do istnienia zmian arteriosklerotycznych w ścianie aorty, co wybitnie utrudnia jej zeszytowanie.

Najlepsze wyniki uzyskiwała chirurgia serca u dzieci dotkniętych tzw. „niebieską chorobą“. Choroba ta zwraca uwagę każdego przez swą sinicę. Występuje ona na wargach, palcach, policzkach, oczach. Jest ona spowodowana dużą ilością hemoglobiny nieutlenionej we krwi naczyń włoskowatych (5 g hemoglobiny nieutlenionej na 100 cc. krwi). Życie tych „niebieskich“ dzieci jest niezwykle ciężkie. Oddychają z trudem, nie są w stanie bawić się z rówieśnikami. Rozwój ich jest spóźniony. Są bardzo mało odporne na wszelkie infekcje. Ulegają często komplikacjom nerwowym. Dotychczas wszelkie środki kardiologiczne były bezsilne. Nie tylko nie mogły tych dzieci uleczyć, lecz nawet pomóc im w ich ciężkim stanie.

Jedną z najczęstszych wad rozwojowych jest tetralogia, opracowana przez lekarza z Marsylii Fallota w 1888 roku, z tego powodu tak nazwana, iż składa się z czterech wad rozwojowych, a mianowicie: zwężenie tętnicy płucnej, która prócz tego bywa nienormalnego kształtu, aorta umiejscowiona okrakiem na obu komorach zamiast wychodzić z komory lewej, poza tym połączenie obu komór serca.

Przy tych wadach rozwojowych sinica jest spowodowana połączeniem obu komór serca, przez które krew żylna komory prawej miesza się z krwią tętnicy komory lewej, wskutek czego aorta otrzymuje krew z ko-

mory prawej zamiast z lewej, a wskutek zwężenia tętnicy płucnej jest niedostateczne ukrwienie płuc i utlenienie krwi. Dla usunięcia tych objawów pani Taussig zaproponowała zabieg chirurgiczny, który został wykonany przez chirurga Blalock w 1945 roku. Polega on na wyłączeniu jednej tętnicy podobojczykowej odchodzącej od aorty i idącej do kończyny górnej z jedną gałązką tętnicy płucnej, co pozwala na utlenienie większej ilości krwi. Blalock — zanim wykonał ten zabieg na człowieku — zrobił go na tysiącach psów. Zabieg ten powinien być wykonany w dzieciństwie, po ukończeniu dwóch lat. Utrzymanie dziecka przy życiu do tego czasu bywa też bardzo trudne, gdyż niebezpieczeństwa zewsząd czyhają na jego życie.

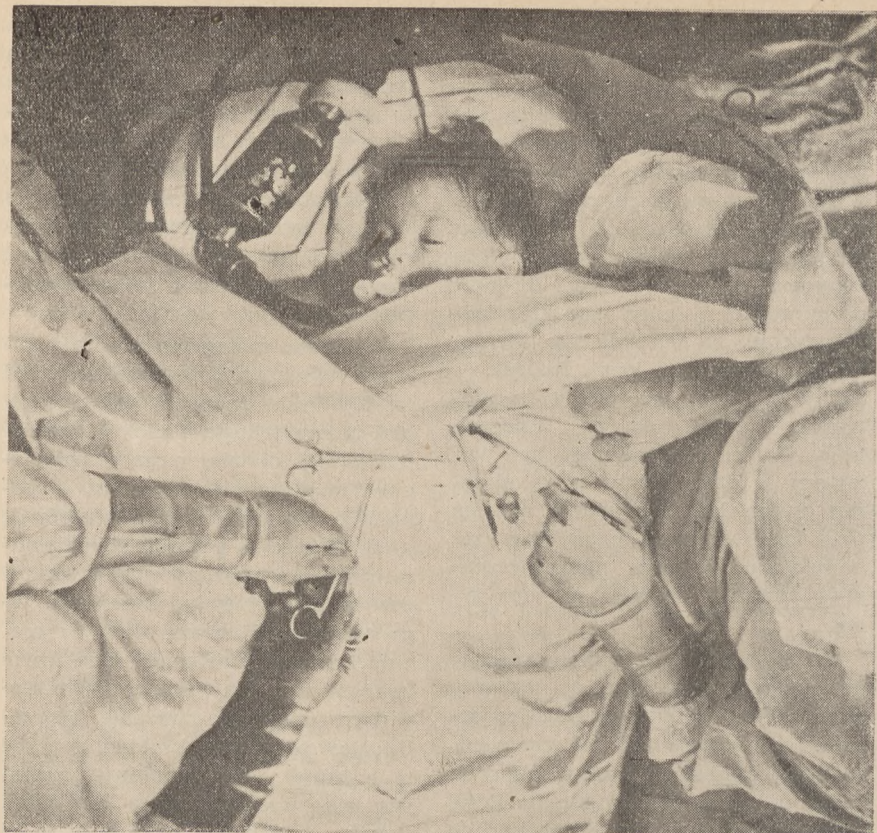
Ta operacja bywa wykonywana w znieczuleniu ogólnym, w uśpieniu, przez intubację dotchawicową co pozwala na dostarczenie odpowiedniejszej mieszanki gazów płucom, która pozwala na podniesienie ilości tlenu we krwi w czasie zabiegu, co jest zasadniczym warunkiem utrzymania pacjenta przy życiu. Po otwarciu przestrzeni trzeciego międzyżebra na całej długości i otwarciu opłucnej stwarza się dojście do naczyń.

Obecnie technika tego zabiegu jest doskonale opracowana i żadne trudności nie powinny zatrzymywać chirurga w pracy. W tych przypadkach, gdy tętnica podobojczykowa okaże się za krótka, można ją przedłużyć przez połączenie z żyłą lub tętnicą. Ten zabieg jest typowym zabiegiem tzw. fizjologicznym, który nie usuwa wady, lecz tylko zapobiega wadli-

wym konsekwencjom. Zabieg nie usuwa wady, jedynie zadowala się skróconym obiegiem krwi z aorty do płuc celem łatwiejszego utlenienia krwi. Zabieg ten stosuje się również w wadach rozwojowych, jak załośnie trójdzielnej zastawki tj. jej braku w życiu płodowym, przy braku jednej zastawki komory prawej, wreszcie przy sercu o jednej komorze.

Natomiast zabieg ten nie daje dobrych wyników w przypadkach wad rozwojowych znanych we Francji pod nazwą trilogia Fallot — zwężenie tętnicy płucnej wraz w połączeniem międzyprzedsionkowym — ponieważ powoduje szybko niedomogę serca. Z tego to powodu chirurg angielski Brock zaproponował w 1948 r. zabieg, polegający na zniesieniu tego zwężenia. Robi on otwór w prawej komorze, następnie specjalnym instrumentem valvulotonem lancetowatym przecina to zwężenie. Ten zabieg jest poważnym krokiem naprzód w chirurgii serca, ponieważ naprawia samą wadę i przez to daje dobre wyniki. Zrozumiałe, że te możliwości operacyjne zmieniły postępowanie we wrodzonych stanach patologicznych serca.

Dawniej prace rozpoznawcze nie miały potwierdzeń leczniczych. Studia wad wrodzonych serca weszły w fazę aktywną. Każdy zrozumie wreszcie wielką korzyść w bilansie ścisłym wad wrodzonych i ich wagę. Ważną sprawą jest zaznajomienie chirurga możliwie najdokładniej ze wszystkimi sposobami postępowania celem uniknięcia wszystkich niespodzianek w czasie operacji i powstrzymanie go od operacji tych przypad-



Zabieg chirurgiczny na dziecku, dotkniętym „niebieską chorobą“

ków, którym pomóc nie można. Badania ogólne, badanie kliniczne serca, badanie radiologiczne, elektrokardiogram przeważnie nie dają nam ścisłych danych.

Dlatego też inne badania są stosowane ciągle w specjalistycznych oddziałach. Cewnikowanie serca stosowane równocześnie przez Cournaud z Nowego Jorku i przez prof. Lenègre i Maurice z Paryża polega na

wprowadzeniu do żyły łokciowej cienkiej sondy, którą posuwa się aż do żyły głównej górnej uszka prawego, komory prawej i tętnicy płucnej. Obserwacja drogi cewnika w rentgenie pozwala na stwierdzenie nienormalnych komunikacji między komorami i przedsionkami, do ustalenia anormalnego ułożenia aorty. Prócz tego pozwala na zmierzenie manometrem ciśnienia krwi w jamach

lub naczyńiach cewnikowych np. w przypadku zwężenia tętnicy płucnej — ciśnienie jest większe w komorze prawej i zmniejszone w tętnicy płucnej. Mierzac gazy krwi otrzymywane z różnych jam serca, można zdać sobie sprawę z anormalnych połączeń. Mierzac zaś pochłanianie tlenu przez badanie gazu przy oddychaniu i mierząc tlen krwi tętniczej, pobierany na poziomie tętnicy udowej, można obliczyć stratę jaka zachodzi w sercu.

0² pochłonięty =

0² tętnicy udowej — 0² tętnicy płucnej.

Wreszcie udało się otrzymać cienie jam serca zastrzykując środek kontrastowy do żył łokciowych lub przez cewnik tzw. angiokardiografia. Pozwała ona nam na bezpośrednią obserwację zarówno serca jak i dużych, wychodzących z niego, naczyń. Wymaga ona techniki bez zarzutu, wykwalifikowanych specjalistów w odczytywaniu filmów radiologicznych.

I cóż można wywnioskować z tych niewielu schematycznych uwag z konieczności o chirurgii wad wrodzonych serca i wielkich naczyń?

Przede wszystkim należy złożyć hołd wszystkim badaczom kardiolo-

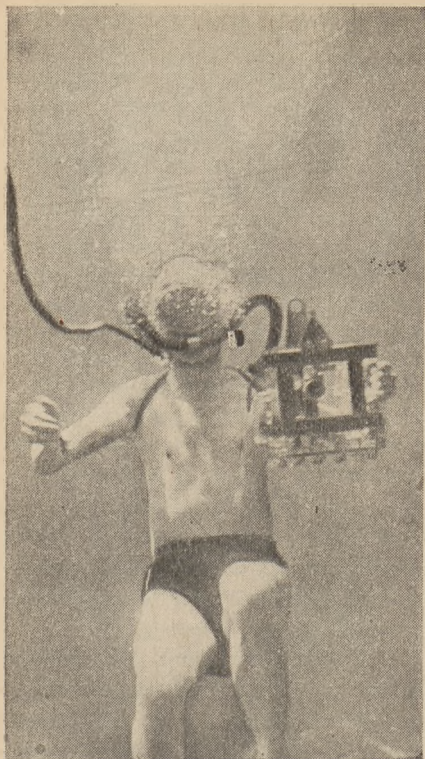
gom, którzy pierwsi zbadali i zrealizowali różne zabiegi. Należy tutaj podkreślić, że uzyskane wyniki nie byłyby możliwe bez wyspecjalizowanych zespołów lekarsko - chirurgicznych, jak również bez chemików, którzy opracowali metody odpowiedniego dozowania różnych gazów do krwi, anestetystów, reanimatorów, którzy dzięki środkom jeszcze wczoraj nieznanym dają możliwość chirurgom interwencji w chorobach serca bez wielkiego niebezpieczeństwa. Oto w jaki sposób dzięki postępowi różnych specjalności współpracujących z medycyną umożliwiono chirurgom najsmielsze zabiegi w chirurgii serca.

Wreszcie na zakończenie należy stwierdzić, że dzięki stałej międzynarodowej współpracy lekarzy zabiegi stale się udoskonalają.

Czy to co uczyniono dla ocalenia kilku tysięcy „niebieskich dzieci“, nie powinno być przykładem dla polityków, gdy chodzi o ratunek milionów innych dzieci przed wojną?

Międzynarodowa współpraca lekarzy jest wzorem tego, co może uczynić dla świata pokojowa współpraca wszystkich ludzi.





Podmorska podróż filmowa

GEORGES FERNEY

Cciemno — modra woda łagodnie pluszcze między skalami. Chmury na niebie, słońce niewidoczne, woda morska ma temperaturę 17 stopni. W tym roku Morze Śródziemne w lipcu jest doprawdy niezwykle. Lato 1953 roku jeszcze nie przyszło.

Kończą mnie ubierać: wielkie okulary o jednym szkle, specjalny ustnik, pas z ciężarkami, bransoletka-głębomierz. To moje pierwsze nurkowanie w na półsamodzielnym skafandrze, mówiąc ściślej w „Narglê” Cousteau. Ciekawe, jak się w tym będzie kręciło film.

Nie jestem sportowcem, w fizycznym znaczeniu tego wyrazu. Moje dwadzieścia lat dawno minęły i nie umiem pływać. Nie cierpię zimnej wody. Jednakże chęć zobaczenia, a szczególnie sfilmowania czegoś nowego, ciekawość, jaką wzbudza świat podmorski, skłoniły mnie do podjęcia się tej historii. Na razie, siedząc niewygodnie na skale pełnej bardzo ostrych nierówności, omal że nie żałuję podjętej lekkomyślnie przed miesiącem w Paryżu decyzji, gdy było mi ciepło i, przede wszystkim, sucho.

Wszystko gotowe. Trudno się cofnąć pod groźbą całkowitego ośmieszenia się. Ostrożnie wchodzę w wodę. Jak zimno!... Pal sześć. Skaczę do wody, w rzeczywistości i w przenośni.

Zanurzam się całkowicie i duszę się pod wpływem nagłej zmiany temperatury. Myślę tylko o oddychaniu, nic nie widzę. Boję się bardzo, dużo bardziej niż przy pierwszym mym skoku ze spadochronem. Tyle tej wody wokół mnie... Jednakże powietrze napływa obficie przez łączący mnie z powierzchnią przewód. Mój przyśpieszony oddech uspokaja się powoli, bańki uchodzącego powietrza stają się mniej liczne. Postanawiam przyjrzeć się niezwykle środowisku, w którym się nagle znalazłem.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu stwierdzam, że nie tonę. A przecież przed zanurzeniem się ubrano mnie w porządnie obciążony ołowiem pas. Leżę na brzuchu i pływam rozpaczliwie, zanurzony na parę centymetrów pod powierzchnią wody. Zapełnione, gdybym umiał pływać, dałbym nurka w głąb. Spróbujmy przynajmniej unieść nogi nad wodę, wydychając jak najwięcej powietrza...

Okazało się to słuszne. Zanurzam się łagodnie i zielonkawo-błękitna woda ciemnieje. Patrzę na głębokość: pięć metrów głębokości. Zimno. Coś mnie gniecie i bardzo bołą mnie uszy.

Wdycham łapczywie potężny łyk powietrza. Musiałem wznieść się o jakiś metr lub dwa, gdyż ciśnienie słabnie i ból uszu uspokaja się. Na nieszczęście, przy gwałtownym łykaniu, przesunąłem trochę maskę, któ-

ra napełnia się natychmiast wodą. Nie widzę już nic, ogarnia mnie panika, poruszam rozpaczliwie na wszystkie strony nogami i rękami. Dwa trytony rzucają się ku mnie; są to pomocnicy, którzy znajdują się na powierzchni i spostrzegli moje rozpaczliwe położenie.

Zaopatrzeni tylko w okulary i aparat do oddychania płyną na brzuchu, tam na górze, obserwując stale poruszenia nurka. Gdy tylko coś się stanie, nurkują i wyciągają go, gdy mu grozi niebezpieczeństwo. Siedzę już na mojej chropowatej skale, w której jednak odkrywam teraz nieoczekiwany urok. Oceniam również, po raz pierwszy, charakterystyczną cechę aparatu Cousteau: oddychanie przez ustnik. Moja napełniona wodą maska pozbawiła mnie widoczności, ale nie wypilem ani kropli wody.

— Byłeś minutę i czterdzieści pięć sekund pod wodą — powiedziano mi — to nieźle, jak na pierwszy raz.

I powiedzieć, że przywiozłem setki metrów filmu... I dwadzieścia rolek filmów do Leiki... Godzinami trzeba by siedzieć tam na dole, by zużyć to wszystko...

Ale kolega, który podjął się zrobić ze mnie filmowca-nurka, jest w optymistycznym nastroju.

— Po południu nurkuję z tobą. Opuścimy się na dwadzieścia metrów. Weź ze sobą Leikę. Zrobisz twoje pierwsze podwodne zdjęcie... Przyjmijmy to za dobrą wróżbę...

CHMURY rozpięchły się i słon-
ce, choć jeszcze nie zdołało roz-
grzać morza, nadaje mu jednak
mniej wrogi wygląd.



Tym razem nurkujemy z łódki. Jesteśmy na pełnym morzu naprzeciw Tulonu, nad skalnym dnem.

Idzie już lepiej. Dość łatwo zagłębiłem się, osiągając bez bólu w uszach głębokość 10 metrów. Przede mną mój towarzysz, zaopatrzony w samodzielny aparat Cousteau-Gagnan, daje mi znaki. Chce zapewne, bym się zbliżył o jakieś 5 metrów głębiej, ale się nie spieszę. Tym razem nie kłopotczę się oddychaniem i demon ciekawości podnieca mnie znowu. Patrzę chciwie wokół siebie.

Mam wrażenie, że pływam w gęstej, zielono-błękitnej mgłę. Na lewo ode mnie opadająca skała pokryta ciemno-zieloną roślinnością, skała, której odległe podnóże ginie w ciemnościach głębin. Wszędzie naokół błękit, mniej lub bardziej przejrzysty. Moja widoczność sięga chyba co najwyżej 10 lub 15 metrów. Dalej już tylko ciemna mgła.

Dlaczego w tej chwili pomyślałem o spojrzeniu na moje majtki kąpielowe?.. Na powierzchni były intensywnie szkarłatne. Stały się pięknie szmaragdowo-zielone. Istotnie barwa czerwona znika już po pierwszych metrach wody.

Trzeba się teraz decydować na zrobienie zdjęcia: najpierw nastawienie na odległość. Nurek, którego chcę sfotografować, wydaje mi się dziwnie bliski. Jest to zjawisko załamania się światła: pod wodą przedmiot znajdujący się w odległości 3 metrów wydaje się oddalony tylko o 2 metry. Nastawiam na dwa metry i pół. Przesłone i czas wyświetlenia ustalono przed nurkowaniem: przesłona 4,5, czas 1/50 sekundy. Naciśkam i słyszę wyraźnie trzask Leiki. Jak potem stwierdziłem, zdjęcie to było trochę prześwietlone. Mogłem je zrobić przy 1/100 sekundy. Światło wydawało mi się jednak bardzo słabe.

Jeszcze kilka zdjęć: skała, łódź, która tam w górze, kołysze się łagodnie na krótkiej fali. Byłem 14 minut pod wodą.

Jutro będę nurkował z aparatem filmowym.

W SWYM szczelnym kufrze aparat ważył co najmniej 30 kg. Na powierzchni ziemi dźwiganie go po skałach nie było zabawne.

Ten sam aparat, po zanurzeniu się, okazał się niezwykle lekki. Pod wodą każde ciało w myśl pocziwego, starego prawa Archimedesesa traci tyle na wadze, ile waży wyparta przez nie woda. Dlatego też nurek pływa pod powierzchnią wody, nic nie ważąc, jeżeli jest odpowiednio obciążony. Otóż mój aparat nie był nim dostatecznie i zachowywał się pod wodą, jak balonik dziecięcy.

Jednakże z pewną różnicą: nie ma wypadku, by balonik pociągnął swego małego właściciela w błękit nieba nad ogrodem. Tymczasem mój aparat ciągnął mnie niepowstrzymanie ku powierzchni. Jest to niezmiernie kłopotliwe, jeżeli ma się właśnie zamiar filmować na dnie morskim.

Udało mi się bez wychodzenia z wody umocować do mego pudła przy pomocy sznurka olbrzymi kamień. Obciążone w ten sposób godziło się na pozostawanie na dnie. Przy następnych nurkowaniach zastąpiło kamień ciężarem z brązu.

Mając dokładnie swą wagę wody — jeżeli można tak powiedzieć — aparat mój stał się zadziwiająco poręczny. Można nim było kierować dwoma palcami. Gdy zmęczone trzymaniem go, mogę go spokojnie pu-

ścić: pozostaje na miejscu, nie wznosząc się ani opadając, zaledwie poruszany przez słabe prądy poziome. Wówczas, by wygodniej filmować, siadam w wodzie. Jest to tak miękkie, jak dobry fotel i jeżeli nurek jest odpowiednio obciążony, odprężenie jest prawie całkowite. Co najwyżej można stwierdzić, że dolna połowa ciała ma pewną tendencję do wznoszenia się kosztem części górnej. A zatem dłuższa nieruchomość doprowadza nurka, nie połączonego liną z powierzchnią do położenia głową w dół, co mu jednak wcale nie przeszkadza. Pływak zapobiegnie temu z łatwością, poruszając lekko dłońmi.

Trzecie nurkowanie pozbawiło mnie wszelkiego niepokoju. Oddycham normalnie, cokolwiek zaledwie prędzej niż na wolnym powietrzu. Unieruchomiony w wodzie na głębokości około 18 metrów, widzę pod sobą krętą dolinę, pokrytą algami, najeżoną rozgwiazdami. Jakże różny krajobraz od tych, które dotąd oglądałem!.. Czy to wpływ ciśnienia, czy też brak ciężenia, który pozwala mi bujać jak ptakowi?... Mam uczucie, że opuściłem ziemię, by wylądować na innej planecie. Świat nowy, świat, gdzie człowiek jest nieznany, świat niebieskiej mgły, zielonego słońca...

Tysiące zwierzątek w przejrzystej wodzie, ośmielonych moją nieruchomością, podejmują swe zwykłe życie. Miriady małych, czarnych rybek płyną grupami do nieznanego celu. Dorady*, o okrągłych oczach i chciwym pysku, zbliżają się powoli do mnie. Zdaje mi się, że poniżej widzę

*) Ryby o kolczastej górnej płetwie.

stworzenie bardziej imponujących rozmiarów, prawdopodobnie delfina. Ale nie zwraca na mnie uwagi i znika wśród skał.

Zaczynam filmować dorady. Oto informacja dla fotografów, których to może interesować: aparat mój posiadał film kolorowy (czułość 22 stopnie Scheinera). Kręcił w tempie 24 zdjęcia na sekundę przy przesłonie 3,5. Film okazał się po wywołaniu poprawny. Barwy, wobec braku czerwieni, były anormalne, lecz oddały dokładnie to, co sam widziałem.

Nurkowanie bez przygód. Wypłynąłem na powierzchnię po wyczerpaniu filmu, zdjawszy kolejno: ryby, „krajobrazy“, poruszających się nur-

ków. Trzydziestominutowy pobyt pod wodą nie wydał mi się nadmierne męczący. Szybko natomiast marzną.

DZIŚ byłem ostrożny: przed nurkowaniem włożyłem kombinezon, rodzaj pancerza z porowatej gumy, pokrywającego klatkę piersiową, brzuch i ręce. Ubranie to nie jest nieprzemakalne, ale warstewka plynu, która znajduje się między nim a skórą, ogrzewa się szybko w zetknięciu z ciałem. Dlatego człowiek znajduje się w stosunkowo ciepłym środowisku.

Zaledwie zszedłem po zboczu podwodnej skały, w chwili, gdy osiągnąłem około 20 metrów głębokości, wydało mi się, że spostrzegam coś w



ciemnym zagłębieniu. Gdy zbliżyłem się, wijąc się jak robak, żałuję, że nie krzyknąłem ze zdziwienia, co byłoby katastrofalne dla mego ustnika: w tej ciemnej szczelinie ujrzałem świecące oczy puhacza!..

Nie było wątpliwości: oczy miały tę samą dziwą okrągłość, ten sam żółtawy odcień i wyraz okrucieństwa...

Czyżby ornitologia się myliła?... Czy istnieje może morski gatunek puhacza?... Chcąc wyjaśnić to ważne zagadnienie próbuję się jeszcze zbliżyć.

Okrągłe oczy patrzą na mnie bawczo. I nagle coś czarnego, nieokreślonego oddala się od nich i zbliża powoli ku mnie w modrej wodzie.

Zrozumiałem. Zawarłem, jeśli można tak to określić, znajomość z moją pierwszą ośmiornicą.

Na ziemi uciekłbym prawdopodobnie przed tym potworkiem. Ale w wodzie ma się inną mentalność, złożoną z ciekawości, optymizmu i całkowitego braku odrazy do wszystkich istot wodnych. Nie odczuwam więc w tej chwili żadnego strachu, ani wstrętu. Żałuję po prostu, że nie mam przy sobie podmorskiego reflektora fotograficznego, który pozwoliłby mi uwiecznić to spotkanie na dobrym zdjęciu.

Stoję absolutnie nieruchomo. Długie ramię — zdaje mi się ma dobry metr, ale trzeba tu wziąć pod uwagę załamywanie się światła, a nawet trochę wyobraźni — to długie ramię więc zbliża się ciągle i kołysze się koło mej twarzy, jak gdyby chciało ją objąć. „Badanie“ to trwa czas nieokreślony, może 30 lub 40 sekund. Potem ośmiornica cofa nagle swą mackę i znika w zagłębieniu. Czy coś

ją nagle przestraszyło?.. Nigdy się nie dowiem. Może zaspokoilią swą ciekawość wobec tej nowej istoty?.. Szybciej w każdym razie, niż ja mogę.

Podczas następnych nurkowań nigdy już nie napotkałem ośmiornicy. Opowiadano mi jednak, że naprzeciw Porquerolles, na głębokości około 30 metrów, głowonogi te zbudowały prawdziwą wioskę, wtykając duże płaskie kamienie w pionowe skały. Doświadczeni nurkowie zapewniali mnie, że zwierzęta te, uważane za okrutne, głupie i odrażające, mogą być łatwo oswojone, do tego stopnia, że bawią się z wymienionymi wyżej nurkami!.. Mówi się także, że Pani Ośmiornica pożera swego męża, gdy ten spełnił małżeński obowiązek... Może uda mi się kiedyś zobaczyć i sfilmować to widowisko, tak rzadko obserwowane przez człowieka.

Dorady są naprawdę bezcelne...

Moja błądzość paryżanina nie oparła się słońcu Południa, które się wreszcie pokazało na dobre. Mając nogi nieosłonięte przez bardzo krótkie szorty, gdy nie byłem w kostiumie kąpielowym, oparzyłem sobie skórę, która zaczęła się łuszczyć...

W wodzie, gdy wygodnie siedząc, czekałem z okiem przy wizjerze na jakieś, godne sfotografowania, widowisko, odczułem nagle jak gdyby lekkie ukłucie...

Oto wśród otaczających mnie ryb, jakaś dorada odważniejsza od innych, chwyciła z mego uda kawałek suchej skóry, na który przyszła jej ochota. Odpędziłem ją, jak natrętą muchę. Ale, podobnie jak muchy, inne nabrały odwagi. Musiałem

wreszcie pozwolić na „obieranie“ mnie przez małe, łaskoczące pyszczki, pozbawione, na szczęście, zębów...

Nie mam już filmów kinematograficznych. By zakończyć godnie moje podmorskie wyprawy, towarzysz mój postanowił zabrać mnie ze sobą na dużą głębię, w skafandrze nie połączonym z powierzchnią.

Kombinezon, okulary, dwa duże zbiorniki z powietrzem pod ciśnieniem 150 atmosfer, założone na ramiona, jak plecak.

Nagle zanurzenie się, zbyt szybkie na mój gust. Uszy bolą bardzo. Jęczę, ściskając z całej siły ustnik. Powoli powraca równowaga między zewnętrznym ciśnieniem a uchem wewnętrznym. Ból słabnie, staje się łatwiejszy do zniesienia. Niedługo ustanie całkowicie.

Powierzchnia morza jest już niewidoczna. Płynę głową w dół, w świetle o barwie pruskiego błękitu, którego natężenie wzmacnia się nieustannie. Widoczność pozioma zmniejsza się. Można jednak zauważyć czarne grzbiety olbrzymich, wrzecionowatych ryb, które znikają zaledwie spostrzeżone.

Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt na głębomierzu... Ciemność jest prawie zupełna, lub co najmniej taka się zdaje. Czuję się coraz lepiej, błogo nieomal... Pograżam się odważnie wśród baniek powietrza, które wznoszą się łagodnie w górę, jak srebrna wstęga. Jest to jedyny znak dla obserwatorów, którzy czuwają tam w górze, nie widząc nas, że dwa życia ludzkie trwają normalnie w głębinach morza.

Nagle ukazuje się mleczne światło, oświetlając wodę magicznym, mglistym blaskiem. Dno jest tuż, równe, zapraszające, pokryte piaskiem tak delikatnym, jak na żadnej plaży na świecie. Jesteśmy na głębokości 70 metrów...

Wyciągam się powoli, przygotowuję się do snu... Dawno już tu jestem, od wielu godzin... Bardzo mi dobrze... Po co powracać na powierzchnię?... Czyż nie stałem się rybą, skoro żyję w morzu?... Ciśnienie?... Zgniatąło mnie początkowo... Kiedy?... Wczoraj pewnie... A może przedwczoraj... Teraz zniknęło. Całe moje wyekwipowanie jest niepotrzebne, całe, nawet ustnik... Gdybym go tak zdjął, by się przekonać...

Koło mnie rośnie rzodkiew. Wielce oryginalna rzodkiew!... Korzeń ma w górze, a liście w piasku. Czyż to nie normalne?... A więc postanowiłem, nie wypływam już, nie wypłynę nigdy. Po co powracać do ludzi, ich niesprawiedliwości, ich małych i wielkich kłótni?... Czuję się tak dobrze, wyciągnięty na piasku... Na początku zjem rzodkiew po zdjęciu tego niepotrzebnego ustnika...

Towarzysz potrząsa mną. Może chce, bym mu dał rzodkiew?... Nie. Ciągnie mnie za sobą, chce wypływać. Opieram się, jak mogę, ale tak chce mi się spać... Wreszcie pozwałam się zabrać.

Błękit i jeszcze błękit, potem jesteśmy pod barką. Przypominam sobie, że trzeba poczekać dłuższy czas dla wyrównania ciśnienia. Od czasu do czasu wolny nurek zjawia się, by dodać nam cierpliwości, pokazując

na palcach, ile minut musimy jeszcze czekać.

Boli mnie tylko bardzo głowa...

TO NARKOZA azotem — powiedział mi kolega.

Zdaje się, że zaczyna się to na głębokości około 40 metrów. Powietrze, ściśnięte do 4 atmosfer, działa na organizm jak środek odurzający. Z powodu azotu. Bardzo mądrzy ludzie napisali księgi na ten temat.

W każdym razie bardzo miłe uczucie. Całkowite upojenie, bez żadnego niesmaku. Natychmiastowe zahamowanie pamięci, poczucia niebezpieczeństwa i czasu. Gdy byłem pod wodą, byłbym się założył, że jestem na dnie od kilku dni. Zdaje się, że nasze zanurzenie trwało 40 minut, z których co najwyżej dwie na dnie.

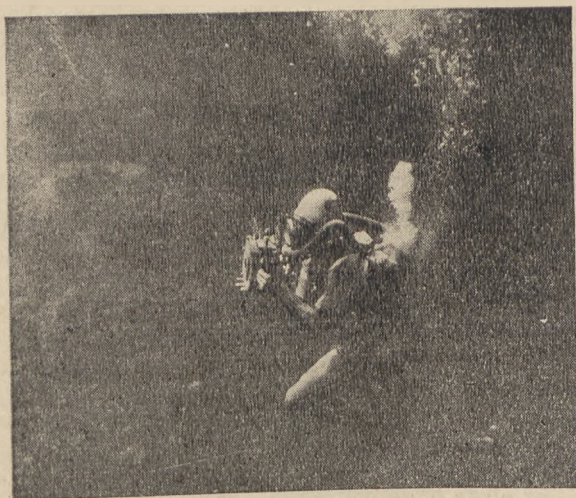
Niewiele widziałem i zapomniałem całkiem o zdjęciach. Zabrałem

jednak moją cenną rzodkiew, która okazała się czymś w rodzaju zwierzęcia - rośliny o organizmie, jak się zdaje, bardzo rozwiniętym.

Nie mógłbym lepiej porównać upojenia na wielkich głębokościach, jak do dobrze znanych opisów działania środków odurzających. Upojenie w każdym razie bardzo nieszkodliwie tego wieczora jadłem za czterech i spałem jak suseł.

Ale zadaję sobie pytanie, czy z narkotyku tego nie pozostaje potem jakiś ślad w organizmie, mający wpływ na psychikę „zatrutego“. Zauważyłem, że wszyscy nurkowie, bez wyjątku, nabierają do swej pracy podmorskiej takiej pasji, której nie tłumaczy dostatecznie samo artystyczne piękno oglądanych widoków.

Trzeba będzie poważnie zdecydować się na naukę pływania...





Leon Pasternak

Rodowód

Gdy przeciw carom tajne spisy
knowali pierwsi socjaliści —
robotnik polski i rosyjski
wzajemnej nie znał nienawiści.

Obydwóch tropił szpicel carski
i ścigał gończy list ochrony,
obydwóch nahał siekł żandarmski
— dla obu Sybir i kajdany.

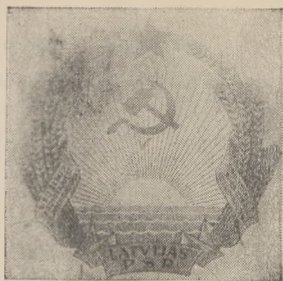
Aż Lenin — ręka Rewolucji,
zwycięskiej w jednej szóstej świata,
uścisnął dłonie prostych ludzi
i lud radziecki z polskim zbratał.

I kiedy polski komunista
łatami targał więzień kratę
i kamień buntu w przemoc ciskał
— radzieckich bronił pięciolatek.

A kiedy górnik na Uralu
przekraczał plan wydobywania węgla
— na odsiecz więźniom kapitału
i strajkującym szedł — Zagłębia.

I tak już przyjaźń łączy dzieje,
braterskiej gwiazdy płonąc blaskiem
zrodzona z wiary i nadziei,
i walki klas — proletariackiej.

I poprzez wieki się ostoi,
i przetrwa burze, przejdzie ogień
— aż nigdy naród narodowi
nie będzie wrogiem.



Kraj nad Bursztynowym Morzem

KRZYSZTOF ZAREWICZ

NAD Morzem Bałtyckim, poetycznie nazwanym przez lud łotewski Morzem Bursztynowym, w miejscu, gdzie głęboko w ląd wrzyna się obszerna Zatoka Ryska rozpościera się piękna, równinna, urozmaicona pokrytymi lasem wzgórzami, głębokimi dolinami i malowniczymi jeziorami kraina. Jest to Republika Łotewska, jedna z trzech radzieckich republik nadbałtyckich. Ziemię tę zamieszkuje przeszło 2 miliony ludności. Łotysze i Letgalcy — ludzie rośli, wysocy, o dobrodusznych twarzach, z jasnymi, otwartymi spojrzeniami. Umieją oni pracować, umieją walczyć w obronie wolności swego kraju, umieją się też bawić. Nieodłączną częścią każdej chwili wypoczynku jest pieśń. Spiew jest na Łotwie, podobnie zresztą jak w pobliskiej Estonii, naprawdę masowy, ogólnonarodowy. Utworzono nawet specjalne doroczne Święto Pieśni. Radosny ten dzień przypada 21 lipca. Tego dnia w 1940 roku na Łotwie objął władzę lud — powstała tu władza radziecka.

Przez stulecia kraje nadbałtyckie były ściśle związane z Rosją. Ramię przy ramieniu z klasą robotniczą Rosji masy pracujące Łotwy walczyły przeciw caratowi, obszarnikom i kapitalistom. W rewolucji 1905 r. według słów Lenina, proletariat łotewski zajmował jedno z czołowych miejsc. Późną jesienią 1917 r. nad krajami nadbałtyckimi załopotały sztandary socjalistycznej rewolucji. Ale pierwsze powstanie ludu zgniotyły wojska niemieckie, zaś drugie w grudniu 1918 r. — kapitałści Ententy. Na dwa dziesięciolecia w Łotwie, Litwie i Estonii władzę ujęła burżuazja, zapanowała reakcja.

Odcięta od Rosji gospodarka Łotwy załamała się i zamarła. Fabryki zamykano jedną po drugiej, tysiące robotników wyrzucano na bruk. W dawnej fabryce wagonów wyrabiano podkowy i gwoździe, w stoczni zamiast okrętów produkowano naczynia kuchenne. Klika rządząca chciała przekształcić Łotwę w mleczne i mięsne fermę Londynu.

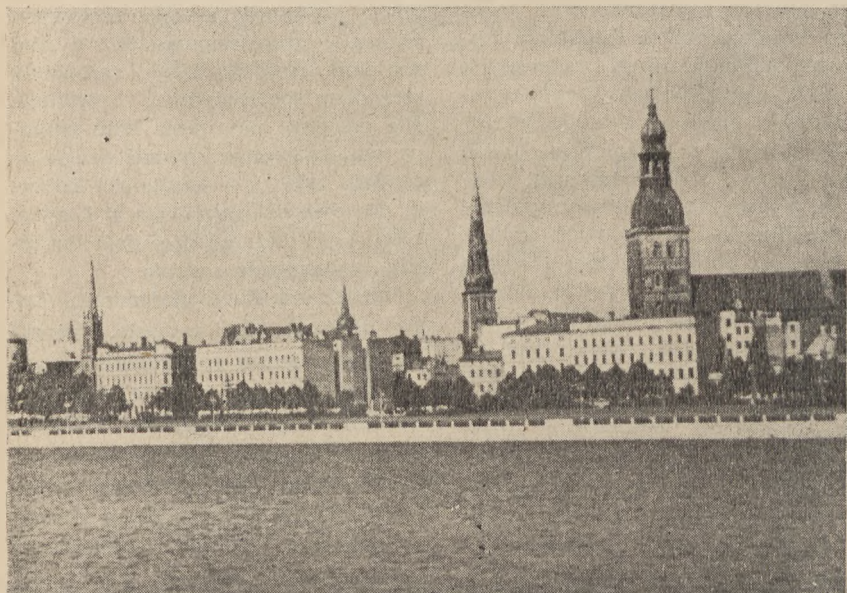
Ale nadszedł rok 1940. Spełniły się marzenia łotewskiego narodu. Wolna, radziecka Łotwa została przyjęta w skład wolnego związku równoprawnych republik — Związku Radzieckiego. Szczęśliwe życie narodu trwało jednak zaledwie rok. Najazd hitlerowski doprowadził kraj do ruiny. Spalone zostało 5 miast, zniszczone 800 fabryk, wywiezione pół miliona mlecznych krow...

I znów, po raz czwarty, wraz ze zwycięską Armią Radziecką przyszła na łotewską ziemię wolność.

Całą Łotwę, od miasta Daugavpils aż do stolicy kraju — jednego z najstarszych miast Europy — Rygi, przecina wartka Zachodnia Dźwina — Łotewska Daugava. Płyną po niej

statki i tratwy. Na brzegach rozrosły się łąki, lasy, ciągną się pola, widnieją wsie i stare miasta. Zwykły krajobraz — ale ileż można w nim ujrzeć cech nowych, radzieckich czasów. Na łąkach pasą się duże kołchozowe stada bydła, na polach warczą traktory i kombajny. Zamiast dawnych, rozrzuconych chłopskich chutorów widać nowe, zaplanowane przez architektów wsie ze szkołami, klubami, kinami, elektrowniami. I tak jest wszędzie — na całej pięknej łotewskiej ziemi: na urodzajnej Nizinie Rysko-Elgawskiej, na Wyżynie Kurlandzkiej czy też w malowniczej Liwońskiej Szwajcarii. Piękniej niż ongiś wyglądają czystutkie, pełne zieleni, tradycyjnych gołębi i bia-

Ryga. Widok części Wybrzeża Komsomolskiego





Ryska Fabryka Wagonów. Nowouruchomiony oddział montażowy wozów tramwajowych

Montaż radiodbiorników w fabryce „WEF” w Rydze



łych łabędzi na tradycyjnym stawie niewielkie miasteczka. Pracują w nich fabryki, przetwarzające produkty łotewskich rolników i hodowców, tętni ruch.

Rozkwitło łotewskie rolnictwo. W ciągu jednego tylko ubiegłego roku powierzchnia zasiewów wzrosła o 107 tysięcy ha. Znikają bagna, pracują koparki i spychacze, wydłużają się równe jak strzały kanały odwadniające, przywracając żyzną ziemię do życia. Z roku na rok rosną urodzaje, rośnie dobrobyt. W ciągu ubiegłego roku zbiory zbóż zwiększyły się o 2 — 3 q z ha, a buraków cukrowych o 30 — 40 q. Wszystkie kolchozy mają już co najmniej po 4 duże fermy hodowlane. Już dziś młode kolchozowe rolnictwo Łotwy posiada 55 kolchozów milionerów.

Ale ani rolnictwo, ani też rozwijające się szybko rybołówstwo nie są najważniejszymi gałęziami łotewskiej gospodarki narodowej. Łotwa stała się w ciągu niezwykle krótkiego czasu jedną z kwitnących przemysłowo - kolchozowych republik Związku Radzieckiego. W dawnej kapitalistycznej Łotwie, nawet według upiększonych danych ówczesnych jej władców, produkcja przemysłowa w okresie od 1913 do 1939 roku, to jest w ciągu 26 lat, zwiększyła się półtora raza, a w nowej, radzieckiej Łotwie w ciągu 11 lat — od 1940 do 1951 r. — produkcja przemysłowa, pomimo zniszczeń spowodowanych przez wojnę i okupację nieprzyjacielską, zwiększyła się 3,6 raza. Cyfry te świadczą najlepiej o tym, czego może dokonać społeczeństwo wyzwolone z niewoli obcych imperialistów i rodzimych kapitalistów i obszarników.

Z miast Łotwy we wszystkich kierunkach jadą pociągi załadowane najprzeróżniejszymi wyrobami: turbinami, stacjami telefonicznymi, urządzeniami elektrotechnicznymi, przyrządami precyzyjnymi, aparatami radiowymi, częściami samochodowymi, tkaninami, meblami, papierem, artykułami spożywczymi. Po torach kolejowych kraju pędzą pociągi elektryczne z marką ryskich zakładów. W miastach widać coraz więcej nowoczesnych wagonów tramwajowych wyprodukowanych na Łotwie. Na budowlach komunizmu pracują wykonane w łotewskich fabrykach dźwigi i maszyny budowlane.

W ciągu 20 lat swego istnienia burżuazyjna Łotwa zbudowała przy pomocy Szwedów jedyną w kraju elektrownię wodną — Kegum. 12 lat władzy radzieckiej dało nieporównanie więcej. Odbudowano i rozbudowano wysadzoną przez hitlerowców w powietrze elektrownię Kegum, zbudowano gęstą sieć siłowni i elektrowni kolchozowych. Ale to dopiero początek: przecież nowy pięcioletni plan przewiduje 2 — 2,5-krotny wzrost produkcji energii elektrycznej. W Rydze ruszy już wkrótce wielka elektrociepłownia o mocy znacznie większej niż Kegum.

Ale nie tylko przed energetyką tak wspaniałe perspektywy otwiera nowy plan 5-letni. Rozwinie się przemysł budowy maszyn, okrętów, maszyn elektrycznych, przemysł lekki. Rozbudowany zostanie port w Rydze, zbudowane mosty na Daugavie, zrekonstruowane koleje, zmechanizowana gospodarka rolna, zwiększone połowy ryb. Już dziś Ło-

stwa ma przeszło 1.500 szkół, 10 wyższych uczelni i 66 szkół technicznych, już dziś uczy się co trzeci mieszkaniec kraju, już dziś szczyli się Łotwa 87 laureatami Nagrody Stalinowskiej — ale nowy plan przewiduje jeszcze większy wzrost kultury i oświaty.

Łotysze ofiarnie walczą o to, by jeszcze szczęśliwsza, zamożniejsza stała się przyszłość ich kraju. Wyprzedzając czas, łamiąc stare normy, osiągając wciąż nowe sukcesy w przemyśle, rolnictwie i transporcie, Łotwa ma już wielu słynnych przodowników. Jest wśród nich młody frezer Ernest Grivitis, zdobywca zaszczytnego tytułu: „Najlepszego frezera republiki“. Jest wśród nich komsomołka, kierowca kombajnu zbożowego Elwira Runge, jest słusarz ryskiej fabryki maszyn elek-

trycznych Arnold Klug, są Bohaterowie pracy socjalistycznej, pracownicy sowchozu „Okte“: łankowy Ernest Zeberg i stajenny Antoni Katkowski. Dwa roczne zadania w ciągu roku wykonuje stale przodownica pracy fabryki: „Bolszewiczka“ Emilia Wagina. Już niedługo kapitanem rybackiego traulera będzie Martin Pulmanis — doksztalca się teraz, choć ma już 58 lat.

Z różnych miast Związku Radzieckiego stale przyjeżdżają robotnicy na naukę do nowatorów ryskiej huty szkła: Czeredniczenki i Zujmacza.

Wolny naród łotewski, w braterskiej współpracy z innymi narodami wielkiego Kraju Rad, w codziennej ofiarnej pracy, buduje swe szczęśliwe życie, pomnaża swoje bogactwa, swe szczęście i dobrobyt.

Zespół pieśni i tańca Łotewskiej SRR występuje w ryskim Parku Kultury i Wypoczynku



Adolf Rudnicki

Manfred

A K T I V *)

Jesienny wieczór, 1950 rok w Warszawie. Pokój w nowoczesnym domu. Nawprost duże okno, za którym widać nocne niebo usiane neonami „Pokój”, „Przyjaźń Narodów” w różnych językach. Z lewej i z prawej strony drzwi do innych pokoi. Z ulicy szum rozbawionych tłumów.

Scena pierwsza

DOKTÓR BERG, MARIA WĄCHOCKA, ANNA WĄCHOCKA, WITOLD.

MARIA (*do doktora*): Chodź, rzucisz okiem na dzieci, nim usną (*wychodzą cicho; dzwonek; po chwili wchodzi Adam*).

WITOLD: Jesteś! Bardzo się cieszę! Jedziesz?

ANIA: Jedziesz, Adamie, do Niemiec?

ADAM: Jutro.

WITOLD: Dobrze, że cię widzę; nie miałem najmniejszej nadziei, że cię moja kartka złapie. Ech, wy wolne ptaki, nie przykute ani do miejsca, ani do czasu, to nie to, co biedny architekt.

(Za otwartych drzwi dochodzą głosy dzieci)

WANDECZKA: Czy konik ma babcię?

MARIA: Dlaczego pytasz, Wandziu?

WANDECZKA: Konik, babciu, zawsze stoi sam?

*) Sztuka wkrótce ukaze się nakładem „Czytelnika”.

MANFRED: Głupia, konik nie może mieć babci; konik nie człowiek
WANDECZKA: O, babciu, on mi się znów sprzeciwia...

MARIA: Fredziu, nie dokuczaj jej.

MANFRED: Ona mnie bije.

MARIA: Jak ci nie wstyd, taka mała cię bije... Dzieci, śpijcie, bo jak mama przyjdzie to wam skórę złoł, jako żywo. Wasza mama nie lubi żartować.

WANDECZKA: Jako żywo...

BERG: Dzieci spać, schlafen.

WANDECZKA: Dzieci spać, siasfen.

MANFRED: Śpijmy szybko, to się szybko obudzimy.

WANDECZKA: Sibko; sibciej budzimy.

MANFRED: Głupia, jak można szybko spać? Babciu, prawda że nie można szybko spać?

WANDECZKA: Babciu, Fred znów mi się sprzeciwia!

(Witold i Ania zrywają się i biegną do dzieci; słychać ich głosy)

ANIA: Smyki, już nie mam sił do was. Co wam się dzisiaj stało? Szaleju na-
jedliście się?

MANFRED: Aniu, co to jest szaleju? Szaleju, hih-hi!

WITOLD: Dzieci śpijcie; mama prosi; babcia prosi; dziadek prosi.

MANFRED: A tatuś?

WANDECZKA: A tatuś?

WITOLD: Tatuś także prosi.

WANDECZKA: Tatuś mówi, że mam śmieszka.

MANFRED: Tatuś mówi, że mama kura domowa.

WITOLD: Dzieci spać.

ANIA: Wyjdźmy wszyscy i zgaśmy światło, bo oni nigdy nie usną.

(Witold i Ania wracają na scenę)

ANIA: Oto masz skutki twoich powiedzeń; dziecko wszystko słyszy.

WITOLD: No, już nie gniewaj się.

ANIA (do Adama): Cały tydzień nie ma go w domu; jak raz zostaje, to dzieci wprost wariują. Wandeczka mówi: „Nasz tatuś nie ma dla nas czasu. Musimy się rozejść z naszym tatusem...” Najlepszy sposób na miłość, to przebywać poza domem. Muszę wziąć z ciebie przykład, Witoldzie.

WITOLD (do Adama): Spóźniłeś się; myślałem, że przyjdiesz na kolację?

ADAM: Nie mogłem.

ANIA: Miałam na kolację ołatki. Wanda przepadała za ołatkami. Polewała je zawsze gęsto śmietaną... Zostawiam was, obiecałam doktorowi, że pokażę mu pamiątki po Manfredzie. Napijesz się herbaty, Adamie? (wychodzi).

Scena druga

WITOLD — ADAM

WITOLD: Wcale się nie dziwię dzieciakom, że nie chcą spać w taką noc...

ADAM: Kim jest ten starszy pan?

WITOLD: Nie domyślasz się?

ADAM: Powiedz.

WITOLD: Zaraz. Wpierw ty mi powiedz jak oceniasz Kongres Pokoju. Mieć pióro w garści i nie pomocować się z tym co się dzieje w mieście; z tymi dniami nadziei osiemdziesięciu narodów, wszystkich właściwie — z wyjątkiem nie-licznej garstki — ludzi na świecie, czarnych, żółtych, półczarnych, białych — nie wiem jak ty, ale ja na to patrzę jak na grzech. Los świata, los ludzkości bez przesady, tętni w tej dzisiejszej warszawskiej nocy. To dzisiejsze warszawskie święto jest świętem na miarę największych jakie kiedykolwiek świat obchodził; trzeba to odczuć, zobaczyć w całym ogromie zjawiska. W takie dni jak ostatnie, w taką noc jak dzisiejsza trzeba by sięgnąć po jakieś nowe wielkie słowa, zdjęć je z wysokości, wydobyć z głębi.

ADAM: Zawsze młody! Zawsze gorący!

WITOLD: Ulice w tych dniach wyglądają jakby ktoś rozsypał album ze znaczkami z całego świata. ten z dzieciństwa, z którym zasypiało się pod poduszką. W taką noc jak dzisiejsza widać dopiero jak mizerni, jak mali są wątpiący. W małych duszach wszystko małe, krzywe. Adamie, powiedz coś...

ADAM: Tak ładnie jak ty nie potrafisz. Nie po raz pierwszy to stwierdzam. I nie ja pierwszy. Poetami prawdziwymi są ci, którzy ubóstwiają poetów z nadmiaru poezji w sobie; ci, którym się wydaje, że nie potrafili napisać ani jednego słowa, a rozsypują złoto...

WITOLD: Nie kpij. Nie podobasz mi się, Adamie. Nie wyglądasz mi wyraźnie. Melancholia dosytu? Niezadowolenie na skutek nadmiernych sukcesów? Sukces cyklu wierszy o lenitnancie Manfredzie w powstaniu u nas i w Niemczech, do których jedziesz jutro; nie brak tu przypadkiem ziarenka gorczycy? Niewielu Polakom udało się zainteresować Niemców losami Niemców.

ADAM: Właśnie, to mnie gnębi.

WITOLD: Co?

ADAM: Zostawmy Manfreda w spokoju, niech mu ziemia lekka będzie. Czasami myślę, że należałoby odciąć rękę, która napisała te wiersze.

WITOLD: Zmiluj się, co ty wygadujesz! Powiedz wszystko.

ADAM: Nie wiem, czy znajdę tyle odwagi.

WITOLD: W taką noc?

ADAM: Powiem ci w dwóch słowach.

WITOLD: Jesteś treściwy jak pieprz turecki; w dwóch słowach powiesz i tak wszystko.

ADAM: Cała rzecz sprowadza się do tego, że odezwały się we mnie zastrzeżenia, których dotąd nie dopuszczałem do siebie. Po wydrukowaniu Manfreda rozlegały się głosy, czy aby nie za tanio sprzedałem tę tak bolesną kartę dziejów polskich.

WITOLD: Sprzedałeś, Adamie?

ADAM: Ta jedna z najtragiczniejszych kart w życiu polskim, powstanie, pochłonęło, jak mówią, około dwieście tysięcy dusz; spłonęło miasto — kościół pamiątek narodowych. Tysiące ludzi poszło w piasek, a tu pisarz polski biorąc

tę kartę dziejową na stół nie znajduje odpowiedniejszej postaci niż Niemea, a odosobniony przykład jego dzielności wynosi tak wysoko pod niebo, iż stwarza sugestię, iż niemal wszyscy Niemcy tacy byli, a przecież wiemy jacy byli w większości.

WITOLD: I to cię tak gnębi, że aż chciałbyś odrąbać rękę, która tę rzecz napisała?

ADAM: A teraz z fanfarami wybieram się do Niemiec. Czuję się tak, jak gdybym wywoził z tego miasta wszystkie krzyże zabitych w powstaniu po to, by je podarować Niemcom.

WITOLD: Mocno powiedziane.

ADAM: Mocno odczute.

WITOLD: Mówisz, że czujesz się tak jak gdybyś wraz ze swą sztuką zawoził wszystkie warszawskie krzyże okupacyjne, wśród których znajduje się zresztą także krzyż Manfreda. A przecież, jeśli nawet jakieś krzyże zawozisz, to tylko po to, by uświęciły przykład Manfreda, by wzmocniły tradycję przeciwstawiającą się tradycji wiecznego rozlewu krwi, wiecznej wojny obu narodów. Czyż to nie piękna misja poety? Zasypywać doły nienawiści pomiędzy narodami, wznosić tęczowe mosty, godzić, godzić, godzić; czy istnieje coś piękniejszego? Chciałbyś odciąć rękę, która z najgłębszej nocy wygarnęła gwiazdkę, promyk świetlny i pokazała i nam Polakom i im Niemcom drogę zgody i nadziei? Czy wiesz, co twoje poezje mówią? Wczoraj wśród najgłębszej mocy fałszu Niemiec Manfred potrafił znaleźć drogę do Polaków. Czy ten przykład nie powinien obowiązywać nadal Polaków i Niemców?

Scena trzecia

POPZEDNI ORAZ ANIA, POTEŃ BERG.

ANIA (*wchodząc*): O czym mówiliście? Wyglądacie, jakby przyłapani na gorącym uczynku.

ADAM: Aniu, kto jest ten starszy pan?

ANIA (*patrzac na Witolda*): Nic mu nie powiedziałaś?... To ojciec twego chlebo- i sławodawcy, ojciec Manfreda.

ADAM: Co ty mówisz!

ANIA: Przyjechał na Kongres Pokoju. O tym, że to dawny znajomy mamy też nie wiesz?

ADAM: Przyjeżdża do Warszawy i znajduje poezje o Manfredzie.

WITOLD: Człowieku, gdyby samą tylko poezję!

BERG (*wchodząc do pokoju, wyciąga rękę do Adama*): Od pani Marii dowiedziałem się, kim pan jest. Chciałem panu uścisnąć rękę. To bardzo niezwykle; wszystko w tym mieście jest niezwykle.

ADAM: Pan mówi po polsku?

BERG: Pochodzę jak większość pańskich bohaterów z Poznańskiego. W młodości uczyłem się po polsku dla pewnej panienki. Potem codziennie przez długie lata czytałem godzinę po polsku, także dla pewnej panienki. Czytałem także po to, by nie wyjść z wprawy; jak się coś umie, to szkoda zmarnować... Przyjeżdżając do Polski nie miałem pojęcia o losach Manfreda.

ADAM: Nieprawdopodobne.

BERG: Dlaczego? Wiadomości muszą gdzieś wyschnąć po drodze, inaczej dotarłyby do nas wszystkie. Sam mieszkam w Eichendorf w Zachodnich Niemczech, należę do miejscowego Komitetu Obrońców Pokoju, właśnie z tego tytułu przyjechałem do was. Mam przyjaciela kardiologa, sam jestem chirurgiem, mój przyjaciel nazywa się Trieloff; zabraniał mi się ruszać z domu: Panie doktorze Berg, w pańskim wieku i przy stanie pańskiego zdrowia trzeba siedzieć na pupie, czerpać radość — z kropelką goryczy — z przyglądania się nilodości, ze spaceru, z kawiarni, lecz w żadnym wypadku nie należy jeździć nach der kalten Heimat, jak Polskę nazywają wysiedleńcy. Panie doktorze Berg, z dala od wszystkiego, co ostrzej maciera na organizm, który w naszym wieku rozłazi się jak przetarty jedwab! Niech już młodzi wezmą się za łby, by po latach dojść do tych samych wniosków co my, że gdyby nam dano jeszcze kilka planet do uporządkowania zgnoilibyśmy je w ciągu nader krótkiego czasu tak jak naszą. Nie ma pan żony ani dziecka, jest pan sam jak kamień, dla kogo to ma pan się tak bić o ten pokój? A niech sobie ten światek spłonie pięknym niebieskim płomieniem; już nawet obliczyli jaką pigułkę mają mu wdmuchnąć; już podobno obliczyli ile ta bombka ma ważyć. Niech pan nie jedzie, panie doktorze Berg, pan jest lekarzem i ja jestem lekarzem, więc powiem panu po prostu: niech się pan oszczędza dla życia, które choć jest wstrętne, nieznosne, okropne, to pomimo to jest piękne i drogie nawet wtedy, gdy człowiekowi wypadają już włosy i zęby, gdy zarasta mchem jak pniak. — Panie doktorze Trieloff — odpowiedziałem mu — jestem istotnie sam na świecie, przeżyłem wszystkich moich bliskich, pan jeden mi pozostał. Widzieliśmy ładny kawałek życia; czasami, kiedy znajdę się na peryferiach, wydaje mi się, że obudziłem się po wiekach, a przecież nasze miasto nie należy do najbardziej dotkniętych. Pomimo to kocham życie mocniej niż kiedykolwiek, może dlatego właśnie, że trzeba mi się już szykować; człowiek nie jest wieczny. Kocham twarz ludzką, dzieci, słońce, sztukę, Niemców. I właśnie dlatego, że na nowo pokochałem życie ostatnią starczą miłością, stałem się wyczulony na szczególną, na wyjątkową sytuację świata, panie doktorze Trieloff. I dlatego niech mi pan już pozwoli jechać do tych Polaków. Niech zobaczą ludzką twarz Niemca, niech usłyszą, że choć uwikłaliśmy świat w dwie wojny, naród niemiecki ucierpiał i są wśród nas ludzie, którzy wszystko zrobią, żeby nie dopuścić do nowej wojny; Polaków to szczególnie obchodzi.

ADAM: Niech pan mówi, niech pan nie przerywa, bardzo nam wszystkim potrzeba takich słów.

BERG: Trzeba dniem i nocą pokazywać ludziom *bardzo szczególną, bardzo wyjątkową sytuację świata*. Trzeba nie przestawać bić w ludzi małego ducha, którzy mówią: krew płynęła wczoraj i płynąć będzie jutro, nie ma i nie może być świata bez strumienia płynącej krwi, bez wojen. Tak było zawsze... I co z tego, że tak było zawsze? Czy nasz świat podobny jest do wczorajszego? Niech będzie podobny tylko w dobrym, nigdy w złym. O to warto się bić. Trzeba budzić męstwo w ludziach, męstwo dla dobrej sprawy jest wciąż największą cnotą. Choć niektórym się wydaje, że jednostka zupełnie już nie ma znaczenia we współczesnym świecie, ja nie zgadzam się z tym sądem.

ADAM: Trzeba budzić męstwo w ludziach; tak właśnie, bo...

BERG: Tym bardziej, że wciąż jeszcze są ludzie, którzy się niczego nie nauczyli... Przed samym wyjazdem miałem *einen Besuch*. Odwiedził mnie przyjaciel Manfreda z dawnych lat; przyniósł mi jakieś pamiątki po nim. Słyszałem, że pan jedzie na Kongres Pokoju *nach Warschau*? Niech pan nie jedzie; to nie jest niemiecka impreza, poza tym to niebezpieczne, niech się pan jeszcze zastanowi. Niemcom, panie doktorze, potrzeba tylko jeszcze jednej wojny, ale *mądrej*; ostatnie dwie były *głupie*, rozpoczęte w worku; byliśmy oduczeni nim sami kogokolwiek otoczyliśmy. Niech się pan rozejrzy w około; gruzy, nędza, drewniane baraki, miliony bez dachu nad głową, młodzież bez naziści. Co mamy do stracenia? Nic. *Deutschland erwache*? Tak, *Deutschland erwache*! Trzeba mieć cel przed oczami. Amerykanie są zakochani w nas jak w żadnym innym narodzie. Trzeba było mieć tak głupich polityków jak my, aby dwa razy mieć przeciw sobie właśnie Amerykanów. Amerykanie nie znoszą Francuzów, o ich kobietach mówią, że to dziewczki, o mężczyznach, że alfony, o dzieciach — że złodzieje. Polskę wynarodowimy, Ukrainę oderwiemy od Rosji, nie powtórzymy więcej głupstw drugiej wojny światowej, zdusimy groźbę Słowian, którzy rozmnażają się jak króliki, odsuniemy ją od Europy. Dwadzieścia milionów ludzi pójdzie z dymem? To co? Ludzie i tak umierają. Niech więc zamiast dla nieodwracalnego kaprysu natury umierają dla Niemiec. Panie doktorze Berg, niech pan nie jedzie; gdyby pański syn żył, usłyszałby pan te słowa z jego ust.

ADAM: Znów wojna i noc?

BERG: Wojna i noc! Z całej drugiej wojny mój gość zapamiętał po tylu latach jedno: Panie doktorze, ale jakie oczy mają kobiety na Wschodzie? Ale podobnie jak na całym świecie i w Niemczech żyją miliony ludzi, którzy *nie zapomnieli*; którzy wciąż mają w oczach schrony ze zwęglonymi ciałami, a w uszach świst bomb; pamiętają drogi bezbrzeżnej nędzy i cierpienia i nadal czują skurecz w gardle na samo wspomnienie tego, co już raz przeżyli. Ci uczynią wszystko, aby nie dopuścić, by człowiek człowieka mordował dla kawałka chleba na wypadek wojny atomowej. Znam księży, którzy z najbliższej troski serca modlą się o pokój. Iu nas jest na całym świecie, pokazały ostatnie dni w Warszawie...

(Za drzwiami z pokoju dzieci dochodzą głosy).

MANFRED:

Niech pokój białym gołębiem
Przez świat leci
By mogły na jasnych polankach
Grać w piłkę dzieci.

Niech pokój białym gołębiem
Przez świat płynie
By mogły dzieci jagody
Zbierać w gęstwinie.

WANDECZKA (*zaspanym głosem*):

Niech pokój otoczy skrzydłami
świat cały
By dzieci mogły kochać słońce
by srebrnego się księżycy nie bały¹⁾.

(*Ania i Witold podnoszą się i wchodzi do pokoju dzieci; słychać słamtąd głos Wandeczki*).

WANDECZKA. Siafen, spać...

(*z ulicy dochodzi śpiew ludzi; wraca Witold, który siada na poręczu fotela Adama*).

BERG: Pan zapewne wini mnie w duchu za hitleryzm Manfreda. Ani przez jeden dzień te ich krwawe trociny, te ich sformułowania nie były moimi. Zdawałoby się, że skoro widziałem ich cynizm i nędzę, powinienem był umieć wytłumaczyć to memu dziecku. Niestety, w jego oczach szybko stałem się człowiekiem o zepsutym niemieckim duchu zżartym przez demokrację, przez zwyrodniałe książki, przez nie niemieckie myśli. Z jednej strony otrzymywał mił o wyższości rasy germańskiej, a z drugiej chude, cienkie słowa ojca o wolności, o wewnętrznej wartości człowieka, o równości ludzi, słowa pozbawione wszelkiej amplitudy społecznej. Tamci dawali mu karabin do ręki, kazali mu maszerować za dnia i w nocy, urządzali ogniska, grali Wagnera, kazali bić „czerwone świny“, tamci zatrudniali jego nogi, ręce, umysł, oczy i uszy przez dwadzieścia cztery godziny, tamci mówili mu, że jest stworzony do władania innymi, a po huraganie tamtych słów wzmocnionych przez tysiąc gigantofonów przychodził ojciec i zaczynał szeptem o równości ludzi, o wolności, o pięknie. Ale co piętnastoletni chłopiec miał z tym wszystkim począć? Nie tylko on nie wiedział co z tym począć; w obliczu tej furii bestialstwa i pogardy dla człowieka nawet nam starszym wczorajsze wartości zaczynały dźwięczeć fałszywie. Przestałem być ojcem Manfreda, właściwie ojcostwo przejął minister spraw wewnętrznych. Na przykładzie własnego dziecka przekonałem się jak trudno odwrócić bieg myśli sterowanej przez kogoś z zewnątrz. Bez autorytetu, bez pomocy z zewnątrz słowa tracą ostrze. Przez jakiś czas awanturowałem się, krzyczałem, dawałem folę

¹⁾ wierszyk L. Krzemienieckiej.

swej gwałtownej naturze, aż zaciąłem się w milczeniu. Groźne wody raz po raz uderzały o milczące ściany naszego mieszkania; trwało to tak aż do wybuchu wojny. Dalsze losy Manfreda poznałem z pańskiego poematu.

WITOLD (*do Adama*): Nie uśmiechaj się tak wstydliwie; nie masz się czego wstydzić

BERG: Panie doktorze Trieloff, a jednak jest pan głupcem! Panie doktorze Trieloff, nie umiem panu powiedzieć, jak bardzo warto mi było jechać *nach der kalten Heimat*. Żal mi pana, panie doktorze, Trieloff, oszczędza się pan. Dla kogo to pan się tak oszczędza? Po drugiej wojnie światowej pan także przecież został sam?

WITOLD: Już pan napisał do swego przyjaciela?

BERG: Jeszcze nie. To wszystko nazbyt wzruszające, serce... Ale gdzie to pani Maria.

WITOLD: Już tyle czasu bez pani Marii.

BERG: (*grożąc mu palcem, wychodzi*).

WITOLD: Imponujący człowiek! Wiesz, kogo mi przypomina?

ADAM: Nie wiem; ja dzisiejszego wieczoru nic nie wiem.

WITOLD: Kogoś, kogo nie znałeś, choć powinienś był znać — twego ojca.

ADAM: Myślałem o tym przez cały czas.

WITOLD: Powiedział ci także, jak doszedł do tego, że twoja poezja mówi o jego synie?

ADAM: Zapomniałem go zapytać.

WITOLD: Dobrze, żeś zapomniał. To bardzo romantyczna historia. On kochał się kiedyś w matce Ani; oboje pochodzą z Poznańskiego, poczekaj, z Czereśni. To była jakaś młodzieńcza historia, nigdy tam, zdaje się nie było nic bliższego, same kwiatuszki, ptaszeczki, same gwiazdki i westchnienia. Ta historia musiała jednak mieć jakiś szczególny urok dla obojga, bo chociaż on się ożenił, a Maria wyszła za mąż, przez lata wymieniali listy ze sobą. Teraz w Warszawie on ją odszukał. Reszty łatwo się domyślisz.

ADAM: Boże! Boże!

WITOLD: Nie wdychaj; zaprosiłem go do siebie, bo to przecież jakby rodzina. Oboje chodzą koło siebie rozpromienieni, oczki im się świecą, rączki, wiesz, co pięć minut mają jakąś sprawę do siebie; on nie zjawi się do domu bez kwiatka dla obywatelki Marii, bez szeleszczącej paczuszki: Tristan i Izolda w domu, mówię ci, człowiekowi więc głupio.

ADAM: Ależ to śliczne! Śliczne!

WITOLD: Dzisiejszego wieczoru jesteś stale nie na linii... Nie guśmy jednak głównego nurtu. Czym to zaczęła się nasza rozmowa? Że się wstydzisz swej poezji. Więc wstydzisz się poezji, która na plan główny wielkodusznie wyciąga piękny przykład bohaterstwa; poezji, która na terenie Niemiec mogłaby wesprzeć takich ludzi jak Berg, którzy nie chcą więcej sosen zamieniać na krzyże?

ADAM: Przestań, Witoldzie! Wiesz jaki jestem w istocie; to była chwila słabości. Słowa ludzkie trują; istotnie zatruty mnie. Ale po nich przychodzą słowa, które klarują i koją... Pójdę już, Witoldzie.

WITOLD: Zwariowałeś? Jeżeli chcesz pójść, zabierz mnie ze sobą... Ania mi życie zatruje, że cię nie zatrzymałem. Szykuje tam jakąś herbatę specjalnie dla ciebie, wiesz, jak cię lubi. Musisz mnie poratować od czasu do czasu i ściągać gromy. Zostajesz; ale przedtem raz jeszcze spójrz na moją śpiącą pareczkę, na Manfreda i Wandeczkę, o ile pędraki nie udają. Nic tak nie oczyszcza serca i myśli, jak widok śpiących dzieci. W oddechu dziecka usłyszysz odpowiedź na wszystko.

(Obaj wychodzą; Kurtyna; przed kurtyną ukazuje się)

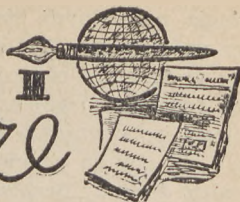
AUTOR: Dobranoc, Wandeczko, dobranoc Manfredzie! Dobranoc wszystkim dzieciom bez względu na punkt globu, gdzie w tej chwili zasypiają. Dobranoc, wszystkim dzieciom bez względu na kolor skóry. Wszystkim ludziom, którzy życzą światu cichej, spokojnej nocy i jasnego poranku, życzymy tego samego — i my.

KONIEC



FAKTY

Komentarze



NA ÓSMEJ SESJI ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ

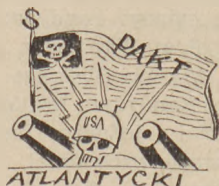
DOTYCHCZASOWY przebieg ósmej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ potwierdza obawy, że rząd amerykański jeszcze cyniczniej niż kiedykolwiek przedtem czynić będzie wszystko, aby nie dopuścić do żadnej decyzji, która mogłaby służyć rozładowaniu napięcia międzynarodowego i interesom pokoju oraz że w tym celu zdecydowany jest do narzucania Zgromadzeniu swojej woli za pomocą notorycznej mechanicznej większości.

Okazało się to przede wszystkim przy sprawie wyboru niestałych członków Rady Bezpieczeństwa. Artykuł 23 Karty Narodów Zjednoczonych przewiduje między innymi, że przy wyborze niestałych członków Rady Bezpieczeństwa należy przestrzegać zasady słusznego podziału geograficznego. W związku z tym stali członkowie Rady Bezpieczeństwa (czyli pięć wielkich mocarstw) zawarli zaraz w czasie pierwszej sesji Zgromadzenia Ogólnego w 1946 r. ustne porozumienie, w myśl którego mandaty sześciu niestałych członków Rady, wybieranych w rotacji po trzech co dwa lata należy rozdzielać według określonego planu. Zgodnie z tym planem stali członkowie Rady

zobowiązali się popierać na niestałych członków Rady Bezpieczeństwa dwie kandydatury krajów Ameryki Łacińskiej, jednego kandydata krajów Brytyjskiej Wspólnoty, jednego kandydata krajów Bliskiego Wschodu, jednego kandydata krajów Europy zachodniej i jednego kandydata krajów Europy wschodniej.

Kandydatem z obszaru Europy wschodniej była w roku obecnym Polska. Ale wbrew porozumieniu z 1946 r. Ameryka wysunęła na to miejsce Turcję. Zgromadzenie odbyło osiem głosowań, w których wahała się decyzja pomiędzy Turcją a Polską, aż wreszcie w ósmym głosowaniu większość delegatów krajów kapitaalistycznych pod naciskiem Ameryki oddała swe głosy za kandydaturą Turcji, zapewniając wymaganą większość dwóch trzecich głosów. Cynizmem tej decyzji wyraża się przede wszystkim w tym, że dopiero dwa lata temu Turcja zasiadała w Radzie Bezpieczeństwa jako przedstawicielka krajów Bliskiego Wschodu. Szef delegacji radzieckiej, minister Wyszyński, napiętnował tego rodzaju postępowanie w stosunku do Polski i całego obszaru Europy wschodniej, oświadczając, że potwierdza ono „raz jeszcze nieszczerłość oświadczają, których delegatów, którzy utrzymują, że dążą do osłabienia napięcia sytuacji międzynarodowej i do ustano-

wienia normalnych stosunków między państwami". Jest rzeczą oczywistą, że Ameryce nie zależało na tym, aby dotrzymać swojego „dżentelmeńskiego” zobowiązania z 1946 r., lecz na tym, aby za wszelką cenę wprowadzić do Rady Bezpieczeństwa swego satelitę z paktu atlantyckiego — Turcję. Ta „turecka farsa” wywołała zakłopotanie nawet wśród atlantyckich sojuszników Stanów Zjednoczo-



nych. „Czy nie zbyt chytrze został zaaranżowany wybór Turcji?” — zapytał londyński Times, dodając ironicznie: „Chyba nie to miano na myśli pod pojęciem podziału miejsc według zasady geograficznej?”

Inną sprawą, w której delegacja amerykańska nie poczyniła ani jednego kroku w kierunku rozładowania napięcia międzynarodowego, jest kwestia przyjęcia do ONZ nowych członków. Jak wiadomo, już od blisko siedmiu lat ciągnie się sprawa przyjęcia do ONZ 14 państw — Albanii, Austrii, Bułgarii, Cejlonu, Finlandii, Irlandii, Jordanii, Libii, Mongolii, Nepalu, Portugalii, Rumunii, Węgier i Włoch. Wśród tych 14 państw jest więc 5 państw ludowej demokracji, których przyjęcie do ONZ Ameryka stale blokuje. Ale — jak wskazał podczas dyskusji w Specjalnej Komisji Politycznej Zgromadzenia delegat radziecki Malik — „podczas opracowywania Karty Narodów Zjednoczonych; ani w samej

Karcie, ani w żadnym innym dokumencie tej międzynarodowej organizacji nikt i nigdy nie wypowiadał się za koncepcją, by ONZ była lub miała stać się organizacją państw o jednakowym ustroju politycznym, społecznym i gospodarczym lub też związkiem ludzi o jednakowych zapatrywaniach politycznych. Tymczasem przy rozpatrywaniu zgłoszeń krajów demokracji ludowej o przyjęcie do ONZ krajom tym stawia się żądania, nie mające nic wspólnego z Kartą Narodów Zjednoczonych i z przepisami prawa międzynarodowego. Dochodziło już do tego, że jako warunek przyjęcia stawiano tym krajom żądanie zmiany ich ustroju państwowego i społecznego”.

Związek Radziecki zaproponował rozwiązanie tej ciągnącej się od kilku lat sprawy przez równoczesne przyjęcie wszystkich 14 państw, bez stosowania jakiejkolwiek dyskryminacji przeciwko poszczególnym kandydatom. Podczas dyskusji w Specjalnej Komisji Politycznej propozycja radziecka spotkała się z szerokim poparciem. Delegat Indonezji na przykład stwierdził, że według tekstu Karty ONZ miała być organizacją dla wszystkich narodów, a mimo to nadal nie dopuszcza się do niej setek milionów ludzi. Indonezja uważa, że warunkom art. 4 Karty odpowiadają wszystkie ubiegające się o przyjęcie państwa, których byt państwowy został wyraźnie ustalony i które uznały zasady Karty Narodów Zjednoczonych.

Również, inna propozycja Związku Radzieckiego, aby na razie uczynić zadość niedotrzymanym dotąd zobowiązaniom wielkich mocarstw przy

zawieraniu traktatów pokojowych z dawnymi sprzymierzeńcami Niemiec i tymczasem przyjąć do ONZ Bułgarię, Finlandię, Rumunię, Węgry i Włochy spotkała się z nieustępliwym stanowiskiem Ameryki, która przeciwstawiła się przyjęciu Bułgarii, Rumunii i Węgier.

Sprawą, która również dowiodła, że pod batutą amerykańską ósma sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych nie zmierza w kierunku nakreślonym przez Kartę, była sprawa marokańska. Grupa 13 państw arabsko-azjatyckich (Afganistan, Burma, Egipt, Filipiny, Indie, Indonezja, Irak, Iran, Liban, Pakistan, Arabia Saudyjska, Syria, Jemen) przedłożyła Komisji Politycznej rezolucję w sprawie marokańskiej, domagając się:

- 1) aby zniesiono stan wojenny i inne nadzwyczajne zarządzenia w Maroku, aby zwolniono więźniów politycznych i przywrócono wolności cywilne;

- 2) aby w drodze wolnych i powszechnych wyborów utworzono demokratyczne, reprezentatywne instytucje narodu marokańskiego;

- 3) aby podjęto wszelkie konieczne kroki dla przywrócenia w ciągu pięciu lat suwerenności i niepodległości narodu marokańskiego;

- 4) aby Sekretarz Generalny ONZ porozumiał się z rządem francuskim w sprawie wcielenia w życie niniejszej rezolucji i złożył sprawozdanie dziewiątej sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

Wymowne fakty, świadczące o fałszywym kolonizowaniu francuskich ze szkodą dla ludności marokańskiej, przytoczył delegat Indii, Dayal. Oka-

zuje się, że zamieszkali w Maroku koloniści francuscy posiadają miliony hektarów ziemi ornej, podczas gdy 9 milionów licząca ludność marokańska dysponuje zaledwie czterema milionami hektarów, przy czym 6 tysięcy farm tych francuskich kolonizatorów usadowiło się na najlepszej, najżyźniejszej ziemi marokańskiej. Stanowiska w administracji publicznej w 80 proc. obsadzone są przez Francuzów. Marokańczycy płacą 80 proc. podatków, uzyskując w zamian świadczenia z budżetu w wysokości tylko 30 proc., natomiast Francuzi, płacący zaledwie 20 proc. podatków, otrzymują 70 proc. świadczeń. Tylko 6 proc. dzieci marokańskich uczęszcza do szkół w porównaniu z 90 proc. dzieci francuskich.

Delegacja francuska stanęła na stanowisku, że sprawa Maroka nie podlega jakoby kompetencji ONZ, gdyż rzekomo stanowi sprawę wewnętrzną Francji. Pod tym pretekstem delegacja francuska nie brała udziału w dyskusji, bojkotując posiedzenia komisji. Stanowisko Francji, jakoby sprawa Maroka była wyłącznie sprawą wewnętrzną Francji, jest bezpodstawne. Protektorat francuski, ustanowiony nad Marokiem formalnie w roku 1912, wyobraża przedawniony statut prawny, nieodpowiadający w najmniejszym stopniu faktycznej sytuacji Maroka. Umowa, zawarta przeszło 40 lat temu, przeczy obecnemu układowi sił w świecie arabskim, nic przeto dziwnego, że Arabowie domagają się rewizji tego przedawnionego układu i przywrócenia państwu marokańskiemu wolności. Mocarstwa kolonialne, współdziałając ze Stanami Zjednoczonymi, których

polityka imperialistyczna w stosunku do ludów zależnych w niczym nie różni się od polityki kolonialnej, nie dopuszczając do słusznego rozwiązania sprawy Maroka przez ONZ, odrzucając wszelkie sprawiedliwe propozycje, wnoszone już od pewnego czasu na sesje Zgromadzenia ONZ przez kraje arabskie i azjatyckie.

Organizacja Narodów Zjednoczonych, zaprzeczając postanowieniom swej własnej Karty i nie czyniąc pod naciskiem mocarstw kolonialnych i imperialistycznych zadość słusznym żądaniom uciskanego narodu marokańskiego, skompromitowała się raz jeszcze.

SPRAWA TRIESTU

Sprawa Triestu nabrzmiała ostatnio do rozmiarów konfliktu międzynarodowego, który może zagrozić pokojowi.

8 października rządy Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii ogłosiły, że postanowiły wycofać swoje siły zbrojne ze strefy „A” Wolnego Terytorium Triestu i przekazać ten obszar administracji włoskiej. Jak wiadomo, strefa „A” obejmuje miasto i port Triest wraz z przedmieściami. Decyzja mocarstw sprowadza się do podziału spornego obszaru pomiędzy Włochy a Jugosławię, albowiem strefa „B”, obejmująca wiejskie obszary Wolnego Terytorium Triestu okupowana jest od kilku lat przez wojska jugosłowiańskie.

Decyzja mocarstw imperialistycznych obliczona była na wzmocnienie obecnego rządu włoskiego premiera Pelli i ułatwienia mu przeprowadzenia ratyfikacji układu o „armii europejskiej” we włoskim parlamencie. Aczkolwiek Włochy roszczą sobie

pretensje do całego obszaru Wolnego Terytorium Triestu, to jednak zdają sobie sprawę z tego, że kwestia zwrotu Włochom strefy „B”, - okupowanej od szeregu lat przez Jugosławię, stała się nieaktualna. Decyzja mocarstw zachodnich przekazania Włochom strefy „A”, a więc zamieszkłego przeważnie przez Włochów miasta Triestu z przyległościami, wywołała przeto we Włoszech nieukrywaną satysfakcję. Jugosławia, odwrotnie, zareagowała w sposób bardzo ostry. Jugosławia zgłasza pretensje do strefy „A” ze względu na większość słoweńską, zamieszkującą przedmieścia Triestu. Jugosławia wysuwa również żądania umiędzynarodowienia co najmniej portu triesteńskiego. Tito oświadczył, że o ile po wycofaniu wojsk anglo - amerykańskich chociażby jeden żołnierz włoski stanie na terytorium Triestu to uzna on to za akt agresji i wkroczy ze swoimi siłami zbrojnymi do strefy „A” Triestu.

W społeczeństwie jugosłowiańskim decyzja mocarstw zachodnich wywołała wielkie podniecenie. Masy jugosłowiańskie dały upust swej sztucznie tłumionej przez Tito niechęci wobec mocarstw imperialistycznych: w Belgradzie, Zagrzebiu i w innych miastach Jugosławii zdemolowano brytyjskie, a zwłaszcza amerykańskie ośrodki informacyjne, odbyły manifestacje protestacyjne przed gmachami ambasad i konsulatów mocarstw zachodnich, a w Belgradzie nawet pobito dotkliwie Amerykanina Kinga, kierownika amerykańskiego ośrodka informacyjnego.

W samym Trieście zapanowało również wielkie podniecenie. Do

portu Triestu wpłynęły trzy kon-
torpedowce amerykańskie i zapowie-
dziano przybycie dwóch jednostek
floty brytyjskiej. Drogi prowadzące z
okupowanej przez Jugosławię strefy
„B“ do strefy „A“ patrolowane są
przez amerykańskie i brytyjskie czoł-
gi. Wszelki ruch oraz łączność tele-
foniczna między dwiema strefami
zostały wskutek decyzji władz jugo-
słowiańskich przerwane. Jugosławia
wzmocniła swoje wojska w strefie
„B“.

Decyzja rządów mocarstw zachod-
nich sprzeczna jest z postanowienia-
mi Paryskiej Konferencji Pokojowej,
która w lipcu 1946 r. zadecydowała
oddanie całego terytorium Triestu
pod kontrolę ONZ. Fakt ten podkreś-
liła nota rządu radzieckiego z 12
października, protestująca przeciw-
ko decyzji Stanów Zjednoczonych i
W. Brytanii. Nota radziecka określi-
ła decyzję mocarstw zachodnich jako
„jaskrawe pogwałcenie warunków
traktatu pokojowego z Włochami,
dotyczących utworzenia Wolnego
Terytorium Triestu“. Nota rządu ra-
dzieckiego przypomina, że „traktat
pokojowy z Włochami przewiduje
utworzenie Wolnego Terytorium Trie-
stu, który winien być neutralny i
zdemilitaryzowany oraz administro-
wany zgodnie z postanowieniami w
sprawie tymczasowego reżimu, jak
również zgodnie ze stałym statutem
Wolnego Terytorium Triestu, gwa-
rantującym ludności tego terytorium
prawa demokratyczne i podstawowe
swobody“.

Decyzja mocarstw imperialistycz-
nych nastąpiła najzupełniej arbitral-
nie, z całkowitym pominięciem Ra-
dy Bezpieczeństwa jako powołanego

do kontroli nad sprawą Triestu orga-
nu ONZ. W związku z tym faktem,
delegacja radziecka podjęła inicjaty-
wę rozpatrzenia tej sprawy z powro-
tem przez Radę Bezpieczeństwa, je-
dynie kompetentny w tej sprawie
organ. Rezolucja radziecka zapropono-
wała zrealizowanie przewidzianych
w traktacie pokojowym z Włochami
decyzji, zmierzających do umiędzy-
narodowienia Triestu przez miano-
wanie gubernatora Wolnego Tery-
torium Triestu, wprowadzenie w ży-
cie postanowień dotyczących tymcza-
sowego reżimu tego obszaru, powo-
łanie tymczasowej rady rządowej
Wolnego Terytorium Triestu oraz
wprowadzenie następnie w życie
przepisów, dotyczących stałego sta-
tutu Wolnego Terytorium Triestu, w
ciągu trzech miesięcy od chwili
mianowania gubernatora

Wobec wybitnie arbitralnego cha-
akteru decyzji Stanów Zjednoczo-
nych i W. Brytanii warto przypom-



nieć ogłoszony oficjalnie raport Se-
kretarza Stanu Byrnesea z 10 pa-
ździernika 1946 r. o postanowieniach
Paryskiej Konferencji Pokojowej, w
którym Byrnes oświadczył: „Konfe-
rencja zatwierdziła propozycję Rady
Ministrów Spraw Zagranicznych, aby
obszar ten przekształcony został na
Wolne Terytorium pod ochroną Na-

rodów Zjednoczonych. Konferencja uchwaliła również większością dwóch trzecich głosów zalecenia w sprawie międzynarodowego statutu, określającego odpowiedzialność Narodów Zjednoczonych w stosunku do Wolnego Terytorium. Zalecenia te — stwierdzał Byrnes — są wyrazem opinii światowej i nie mogą być arbitralnie pominięte“.

A w siedem lat później rząd Stanów Zjednoczonych właśnie dokonał arbitralnego pominięcia zaleceń, które były „wyrazem opinii światowej“.

Stany Zjednoczone nie tylko tego nie dopilnowały, ale przeciwnie postępowaniem swoim wspólnie z W. Brytanią uczyniły wszystko co mogły, aby Triest stał się właśnie źródłem tarć i sporów pomiędzy Włochami a Jugosławią. Stanowisko tych mocarstw w Radzie Bezpieczeństwa i powzięte pod ich naciskiem decyzje Rady, odrzucające słuszne i realne propozycje radzieckie, dowodzi, że mocarstwa zachodnie same depczą postanowienia, pod którymi się podpisały, uniemożliwiając wprowadzenie w życie umiędzynarodowienia obszaru Triestu.

JAK IMPERIALIŚCI RZĄDZA W KOLONIACH

Brutalność imperialistycznych rządów kolonialnych objawiła się znów w całej swej jaskrawości w postępowaniu władz brytyjskich w stosunku do małej kolonii, Brytyjskiej Gujany, położonej na północno-wschodnim wybrzeżu Ameryki Południowej. Ten mały, zaledwie pół miliona ludności liczący kraj, wci-

śnięty pomiędzy Wenezuelę, Brazylię i holenderską kolonię Surinam, posiadał od kilku miesięcy wybrany legalnie, na podstawie wprowadzonej pod naciskiej miejscowej ludności przez rząd brytyjski konstytucji — lokalny rząd postępowy. W odbytych przed paru miesiącami wyborach Ludowa Partia Postępowa zdobyła większość (18 na 27) mandatów i utworzyła rząd, popierający interesy tubylczej pracującej ludności. Ostatnio, w związku ze strajkiem robotników, pracujących na plantacjach cukru, postępowy rząd Gujany poparł żądania robotnicze.

To stanowisko legalnego rządu Gujany wywołało przeciwdziałanie brytyjskich władz kolonialnych, które pod absurdalnym zarzutem, że w Brytyjskiej Gujanie rządzą komuniści, wykonywający dyrektywy Moskwy, zawiesiły konstytucję, usunęły ministrów ludowego rządu i wyposażyły gubernatora angielskiego w nadzwyczajne pełnomocnictwa. Dla poparcia tych pełnomocnictw skierowano do Brytyjskiej Gujany wojska, które zajęły stolicę kraju Georgetown i inne punkty strategiczne.

Akcja brytyjska wywołała sprzeciw w państwach Ameryki Łacińskiej. W Wenezueli dziennik „El Nacional“ w artykule „Gujana występuje przeciwko niewolnictwu“ stwierdza, że „nadszedł już czas, aby położyć kres rządów kolonialnym w Ameryce“. Inny dziennik wychodzący w Wenezueli, „El Universals“ oświadczył, że argumenty brytyjskie o niebezpieczeństwie komunistycznym w Gujanie są „zwykłym pretekstem mającym na celu usprawiedliwienie represji“.

Brutalna akcja kolonizatorów brytyjskich w Brytyjskiej Gujanii nie jest aktem odosobnionym. Od pięciu lat władze brytyjskie prowadzą wojnę kolonialną na Malajach, a ostatnio przeniosły metody tej krwawej rozprawy z ludem malajskim również i do Kenii. W pierwszych dniach października brytyjskie oddziały wojskowe w pełnej gotowości bojowej utworzyły wokół centralnej dzielnicy stolicy Kenii, Nairobi, pierścień wojska i policji o promieniu półtora kilometra. Stosując tak dobrze nam znane metody gestapowskich łapanek, Anglicy przystąpili wewnątrz tego pierścienia do legitymowania wszystkich napotkanych Murzynów, zatrzymując każdego, który nie posiadał karty pracy. Następnie brytyjskie władze kolonialne przystąpiły do nowej operacji przeciwko ludności murzyńskiej: wojsko i policja okrążyły w Nairobi siedem osiedli murzyńskich, opasując je drutem kolczastym.

W stworzonych w ten sposób obozach koncentracyjnych rozpoczęto przeprowadzanie systematycznych rewizji i obław celem pochwycenia działaczy murzyńskich i zesłania ich do specjalnych rezerwatów. W ten sposób około 20 tysięcy Murzynów usunięto przemocą z Nairobi. Przyczyną tej akcji było dążenie do zapobieżenia wybuchowi strajku generalnego w Nairobi, do którego organizacje murzyńskie czyniły przygotowania.

W okolicach Nyeri oddziały brytyjskie dokonały bestialskiej obławy w czasie której 45 Murzynów zostało zabitych. Akcję tę komunikat władz kolonialnych określił cynicz-

nie, jako „najbardziej owocną” od chwili ogłoszenia przed rokiem stanu wyjątkowego w Kenii.

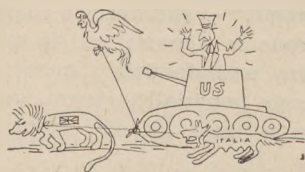
KRYZYS „JEDNOŚCI ATLANTYCKIEJ“

„Dla ewolucji sytuacji, w której decydującą rolę zaczynają odgrywać presja opinii publicznej i nieustanne wysiłki krajów Obozu Pokoju na rzecz uregulowania problemów międzynarodowych — pisała niedawno „Humanite“ — niezmiernie charakterystyczne są ujawniające się z coraz większą wyrazistością sprzeczności w obozie imperialistycznym, podważające sztuczną jedność atlantycką“.

Istotnie, z tą jednością sprawa przedstawia się coraz gorzej. Na przykład nota radziecka z 28 września, ponawiająca propozycje uregulowania najważniejszych problemów międzynarodowych przez zwołanie konferencji ministrów spraw zagranicznych pięciu mocarstw (Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji, Chin i ZSRR) w celu rozpatrzenia kroków zmierzających do złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych, oraz konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw (Stany Zjednoczone, W. Brytania, Francja i Związek Radziecki) w celu omówienia sprawy Niemiec, wywołała w łonie trzech mocarstw zachodnich głębokie rozbieżności. Stany Zjednoczone opierały się idei konferencji pięciu mocarstw łącznie z Chinami Ludowymi, których nie uznają. Francja, odwrotnie, skłonna była do wzięcia udziału w takiej konferencji, spodziewając się, że konferencja pięciu

mocarstw z udziałem Chin Ludo-
wych znaleźć może drogi do zakoń-
czenia ciężającej coraz bardziej na
budżecie francuskim „brudnej“ woj-
ny w Indochinach. Również w Anglii
propozycja radziecka odbiła się ży-
czliwym echem.

Sprawa konferencji mocarstw na
najwyższym szczeblu znalazła m. in.
zdecydowane poparcie odbytego w
Margate kongresu Labour Party.



Poczytny londyński „Daily Mirror“
pisał: „Przeminęły miesiące, które nie
przyniosły żadnych postępów w
sprawie najbardziej palącego zagad-
nienia naszych czasów, jakim jest
doprowadzenie do spotkania Rosji i
Zachodu w celu przedyskutowania
wspólnych problemów. Churchill
podniósł wszystkich na duchu, gdy
w dniu 11 maja wygłosił znane prze-
mówienie. Ale od tego czasu dopusz-
czno, by atmosfera międzynaro-
dowa znów przybrała swój dawny cha-
rakter“.

Podobnie we Francji odezwały się
głosy, nawołujące do konferencji na
najwyższym szczeblu. Nawet katolic-
ki „Aurore“ napisał: „Nie wolno za-
pominać między innymi, że naszym
celem winno być pokojowe współist-
nienie państw o różnych ustrojach.
Dlatego wydaje nam się, że mimo
wszystko nota radziecka wymaga ze
strony aliantów reakcji, która nie

byłaby wyłącznie negatywna. Postaw-
my kropkę na „i“. Czy naprawdę
można myśleć o tym, że możliwe
jest utrwalenie pokoju w Azji bez
udziału Chin?“

Pod wrażeniem noty radzieckiej, a
może jeszcze bardziej pod wrażeniem
radzieckiego komunikatu o pomyśl-
nych doświadczeniach z bombą wo-
dową ze wszystkich stron wzrasta
nacisk na Stany Zjednoczone, aby
porzuciły swoje nieustępliwe stano-
wisko w sprawie rozmów dla złago-
dzenia napięcia międzynarodowego.
Pragnąc uspokoić podnieconą opinię
publiczną zarówno u siebie jak i u
swoich brytyjskich i francuskich so-
juszników, rząd Stanów Zjednoczo-
nych wystąpił z pozornymi deklara-
cjami na rzecz pokoju międzyro-
dowego.

Charakterystyczna była pod tym
względem konferencja prasowa u
prezydenta Eisenhowera w dniu 30
września. Na zapytanie dziennikarzy
co do reakcji rządu amerykańskiego
na fakt posiadania przez Związek
Radziecki bomby wodorowej, Eisen-
hower oświadczył, że „Stany Zjedno-
czone muszą podjąć rozmowy mię-
dzynarodowe“.

W związku z paniką, wywołaną w
Stanach Zjednoczonych wobec ofi-
cjalnego stwierdzenia, że Związek
Radziecki posiada również tajemnicę
broni wodorowej, charakterystyczna
była deklaracja przewodniczącego
kongresowej komisji energii atomo-
wej, Sterlinga Cole'a, który oświad-
czył: „Informacje, jakie otrzymaliśmy
w ciągu ostatnich kilku miesięcy,
sprawiają, że dzisiaj nie jest rzeczą
zbyt trudną dokonać wyboru między

dwoma gorzkimi rozwiązaniami: ruina finansowa albo zagłada atomowa USA. Okazuje się bowiem, że Rosja posiada wysoko rozwinięte możliwości. Dysponuje ona kadrami uczonych. Może ona przetransportować bomby do USA. Nie docenialiśmy Rosji przez dłuższy czas. To, co wiemy o eksperymentach z bronią atomową i wodorową w ZSRR, budzi w nas głębokie zaniepokojenie“.

Panikę i histerię spotęgowało jeszcze drugie oświadczenie Eisenhowera złożone przez prezydenta na konferencji prasowej 8 października: „ZSRR — oświadczył prezydent — posiada zapasy broni atomowych zwykłego typu, a jednocześnie musimy stwierdzić, że potężna eksplozja, jaka miała miejsce w ZSRR w dniu 12 sierpnia, spowodowana była przez broń lub prototyp broni o sile znacznie przekraczającej siłę zwykłych typów broni atomowych... Dlatego też dochodzimy do wniosku, że ZSRR posiada obecnie możliwości przeprowadzenia atomowego ataku na USA, a możliwości te będą wzrastać z upływem czasu“.

O tym, że rząd amerykański szuka wyjścia z krytycznego impasu, który wywołał w Stanach Zjednoczonych takie zamieszanie, świadczył komentarz tuby Departamentu Stanu, dyplomatycznego redaktora „Associated Press“, Johna Hightowera, który — powołując się na waszyngtońskie koła oficjalne — stwierdził: „ZSRR, po opanowaniu produkcji bomby wodorowej i po osiągnięciu postępu w dziedzinie atomowej, bliski jest osiągnięcia stanu równowagi na tym odcinku z USA. Stwierdzenie powyż-

szego faktu musi wpłynąć na rozwój polityki zagranicznej USA“.

W prasie amerykańskiej coraz częściej i głośniej zaczęły się odzywać głosy, zwracające uwagę na krytyczny stosunek aliantów amerykańskich do uprawianej dotąd przez Amerykę polityki zagranicznej.

Również Walter Lippmann, omawiając na łamach „New York Herald Tribune“ wzrost histerii atomowej w Stanach Zjednoczonych, stwierdził, że Stany Zjednoczone „nie były w stanie zademonstrować dyplomację, która by zapobiegła wojnie, a ostatnio wygląda na to, że wręcz przeciwstawiają się takiej dyplomacji, co stanowi najgłębszą przyczynę wzrostu antyamerykanizmu na świecie“.

Zamieszanie, jakie objawiło się w Ameryce, należycie podkreślano w Londynie i w Paryżu. Na łamach „Sunday Pictorial“ deputowany labourzystowski Crossman, pisze: „Wydarzenie to zmusza Stany Zjednoczone do zmiany ich awanturniczych planów, a przede wszystkim do złagodzenia tonu, w jakim przemawiają politycy USA. Sam Eisenhower przyznał, że wskutek posiadania przez ZSRR bomby wodorowej strategia amerykańska pozbawiona została jednej ze swych podstaw i cała równowaga sił na świecie uległa zdecydowanej zmianie... Obecnie polityka USA otrzymała knock out“.

Jest rzeczą jasną, że na tym tle wszelkie chełpliwe twierdzenia o istnieniu jakoby jedności atlantyckiej są czczymi frazesami. Konferencja londyńska ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw zachodnich w październiku br. wynika więc jako narzucająca się konieczność w

obliczu tych trudności, jakie zaważyły na tak zwanej „jedności“ atlantyckiej.

Konferencja londyńska poświęcona więc była przede wszystkim sprawie znalezienia wspólnego języka pomiędzy rządami trzech mocarstw zachodnich. Jak to określił londyński korespondent paryskiego „Monde“: **„Była to pierwsza konferencja, w trakcie której dominowały nie stosunki między Zachodem a Moskwą, lecz wewnętrzne kryzysy świata zachodniego“**. Amerykańska „United Press“ stwierdziła zresztą, że **„przedstawicielom USA i W. Brytanii nie udało się usunąć dzielących ich różnic zdań w kwestii koreańskiej“**. Z komentarzy prasowych wynika również, że w odbytym przez trzech ministrów spraw zagranicznych spotkaniu z Churchilllem, premier brytyjski ponownie poruszyć miał swoją sugestię odbycia konferencji czterech na najwyższym szczeblu, czemu Dulles miał się znowu przeciwstawić, oświadczając — według „United Press“ — że prezydent Eisenhower nie może opuścić Stanów Zjednoczonych, aby wziąć udział w konferencji szefów rządów czterech mocarstw.

Prasa francuska oceniła wyniki konferencji londyńskiej bardzo ujemnie. „Franc Tireur“ podkreślił, że rozmowy londyńskie charakteryzowały **„zamieszanie, wyczekiwanie i bezsilność“**, a „Humanite“ stwierdziła że **„konferencja londyńska nie przyczyniła się do posunięcia naprzód rozwiązania problemów międzynarodowych, natomiast stworzyła dla trzech mocarstw okazję zmierzenia rozciągłości wewnętrznych sprzeczności, które wstrząsają ich koalicją“**.

TRZECI ŚWIATOWY KONGRES ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

W obliczu rozbicia i sprzeczności, ujawniających się coraz silniej w obozie kapitalistycznym, solidarna jedność działania ruchu robotniczego, wzrastająca pod kierownictwem Światowej Federacji Związków Zawodowych, stanowi imponujący obraz. Na odbytym w Wiedniu Trzecim Światowym Kongresie Związków Zawodowych reprezentowanych było blisko 90 milionów ludzi pracy z 79 krajów.

W czasie dyskusji na Kongresie stwierdzono, że ludność krajów kolonialnych i półkolonialnych — to przeszło miliard ludzi, czyli 70 proc. całej ludności świata kapitalistycznego. Mimo to, ich produkcja przemysłowa stanowi jedynie 5 proc. produkcji przemysłowej świata kapitalistycznego. Z nędzy mas pracujących krajów kolonialnych i zależnych monopolistów kapitalistyczni czerpią ogromne zyski. Ale walka mas pracujących tych krajów coraz bardziej nabiera charakteru zorganizowanych akcji masowych, ściśle łącząc się z walką o wyzwolenie narodowe i pokój.

Polityka ŚFZZ odpowiada woli i interesom wszystkich ludzi pracy. Trzeci Światowy Kongres Związków Zawodowych, odegrał w historii ruchu robotniczego doniosłą rolę. Wykazał on raz jeszcze, że jedynie jedność mas pracujących stanowi rękojmię zwycięstwa sprawy pokoju i demokracji.

STEFAN LITAUER

Czy królowie przyciągali bloki skalne?

— — — — —
Każda stronica — zwycięstwo
Kto smażył ucztę zwycięzcom?
Co dziesięć lat wielki mąż.
Kto płacił kosztą?
Tyle relacji.
Tyle pytań.

Zwzięłość i aluzyjność najlepszych wierszy Brechta nie ograniczała bynajmniej ich zrozumiałości. Spoza trafnie dobranej postaci przeziara zawsze w sposób jednoznaczny intencja autora, ideowe założenie utworu. Warto przypomnieć na długo wdrażające się w pamięć zakończenie wiersza o faszystowskiej wyprawie na zdobycie lebensraumu „Mój brat był lotnikiem“.

Tereny, które brat mój zdobył,
są, kędy Guadarrama zrab —
Wzdłuż liczą metr

osiemdziesiąt
I półtora metra w głąb.

Otwierające tom opowiadania „Kredowe Koło“ i „Eksperyment“ łączy podobne założenie ideowe.

„Eksperyment“ to rzecz o początkach nowożytnego przyrodoznawstwa, Francisie Baconie. Wiara w nieograniczoną moc nauki, przekonanie, że „zbyt wiele się wierzy, zbyt mało się wie“, cała ta tak bliska masom plebejskim filozofia zdrowego rozsądku głoszona przez Bacona, spotkała się z niezrozumieniem i lekceważeniem ze strony możnych. Lud jest jedynym spadkobiercą i kontynuatorem dzieła Bacona — myśl tę unaocnił Brecht opisując legendarny, niedokończony eksperyment uczonego z zamrożoną kurą. Morał opowiadania dany jest nie bezpośrednio, lecz w omówieniu. Historia kończy się salutem żalobnym „na cześć Franciszka Bacona, barona Verulam, wicehrabiego St Alban, byłego wielkiego kanclerza Anglii, człowieka, który w wielu swoich współczesnych wzbudzał wstręt, w innych atoli zamiłowanie do wiedzy praktycznej“.

„Eksperyment“ i „Kredowe Koło“ są w istocie pochwałą mas plebejskich, ich moralnego piękna, ich szlachetnej pasji poznawczej i dlatego przypisać im można współczesne założenie ideowe.

„Płaszcz kacerza“ opowiadanie o ostatnich chwilach Giordano Bruno, ukazuje w sposób jaskrawy pisarską metodę Brechta. Pisarz postanowił w tym kilkustronicowym drobiazgu ukazać historyczną wielkość Giordano. Uczynił to, opowiadając marginesowo, jakby się zdało, anegdotę o niezapłaconym płaszczu. Historyjka ta nie tylko zwiększa nasz szacunek do Giordano, ale daje nam wyobrażenie o jego moralnej wielkości, jak zwierciadło odbijające fragment przedmiotu dane pojęcie o jego rzeczywistych poręczach.

Małym arcydziełem pisarskiego kunsztu jest opowiadanie „Cezar i jego legionista“, traktujące o ostatnich dniach dyktatury Juliusza Cezara.

Jest to opowieść historyczna, wywołująca w świadomości czytelnika nader współczesne analogie o nieuchronnym końcu uzurpatorskiej dyktatury jednostki.

Przejmujące wspomnienie pozostawia króciutki obrazek zatytułowany „Żołnierz z La Ciotat“ ukazujący w perspektywie historii cierpienia jakie niesie ludzkości wojna. „Jest mięsem na przynętę dla ośczipów i straż...“, błotem rozgarnianym przez czołgi“ — pisze o żołnierzu w s y s t e m i c h wojen Brecht. „Przed sobą ma wroga, za sobą generała. Zagrzewał go niezmierzony wrzask we wszystkich językach świata. Nie było boga, który by go błogosławił. Jego, dotkniętego odradzającym trądem cierpliwości, wytrawionego nieuleczalną chorobą nieczułości“. Oczywiście obraz ten zawiera tylko częściową prawdę, pokazuje tylko jedną stronę historii, mówi o tragicznej bierności mas w okowach nieludzkiego ustroju, a

przemilcza narastający przez wielki bunt i walkę tych mas przeciw systemowi krzywdy, walkę, która w naszym stuleciu weszła w swą kulminacyjną fazę. Opowiadanie kończy się pytaniem, czy trawiąca masy choroba nieczułości i bierności jest naprawdę nieuleczalna. Jest to wszakże pytanie retoryczne. Historia gniewnym sprzeciwem udzieliła już nań odpowiedzi.

Zamieszczone w książce „**Historie o panu K.**” prezentują Brechta również jako satyryka. Na czoło tych dykteryjek wysuwa się znakomita w swej ostrości satyra na porządek kapitalistyczny, osnuta na kanwie odpowiedzi na pytania dziecka „gdyby rekiny stały się ludźmi, czy byłyby miłsze dla małych rybek?” oraz rzecz zatytułowana „**Miłość ojczyny, nienawiść do ojczyzny**” zawierająca rozumowanie apolitycznego racjonalisty, obrażonego nagle przez oficera wrogiej armii: „Dlaczego stałem się na tę jedną minutę nacjonalistą? Dlatego, że spotkałem

nacjonalistę. Ale właśnie dlatego trzeba głupotę tępić, ponieważ ogłupia tych, którzy się z nią stykają”.

„Opowiadania z kalendarza” nie są książką najłatwiejszą. Ale trud tej lektury opłaca się sowicie: w oszczędnym aż do surowości stylu, w celnych omówieniach i wielkich przenośniach, poznajemy rzadką doskonałość pisarskiego rzemiosła, w spojrzeniu na człowieka i jego dzieje głęboką mądrość humanisty, który w masach ludowych widzi właściwego bohatera historii. Jeżeli nie wszystkie sformułowania „Opowiadań” zadowolają nas dzisiaj, złóżmy to na karb czasu w jakim powstała książka i zauważmy, że dzieło to, aczkolwiek nie osiąga w pełni ideowej dojrzałości socjalistycznego realizmu, wyrażnie jednak zbliża się ku jego pozycjom. Na pozycje te zaprowadzi Brechta późniejszy rozwój jego twórczości, zwłaszcza w zakresie poezji.

Andrzej Wirth





PODAJEMY jedną z najładniejszych partii z tzw. „turnieju kandydatów” (Neuhasen - Zürich, wrzesień—październik 1953), którego zwycięzca, arcymistrz radziecki Smysłow, rozegra w przyszłym roku mecz o mistrzostwo świata z obecnym mistrzem Botwinnikiem.

Białe:

M. Euwe
(Holandia)

1. d2—d4
2. c2—c4
3. g2—g3
4. Gf1—g2
5. Sb1—c3
6. d4—d5

Czarne:

M. Najdorf
(Argentyna)

- Sg8—f6
- g7—g6
- Gf8—g7
- 0—0
- c7—c5
- e7—e5

Ostrożniejsze byłoby tu d7—d6. Białe wykorzystają teraz „dziurę” na d6.

7. Gc1—g5
- h7—h6?

W tym momencie d7—d6 było już konieczne.

8. Gg5:f6
- Hd8:f6
9. d5—d6!
- ...

Ruch ten wymagał dojrzałego namysłu ze względu na trudność utrzymania izolowanego piona na tak wysuniętej pozycji.

9. Sb8—c6
10. e2—e3
- ...

Euwe metodycznie przygotowuje atak. Dysponuje on bardzo mocnym polem d5, które wkrótce zostanie wykorzystane. Nie dałoby nic 10. Se4 He6, 11. S:c5, H:c4.

10. b7—b6
11. Gg2—d5!
- Kg8—h8

A nie 11. ... H:d6? 12. G:f7+ i czarne tracą hetmana. Ruch czarnych w tekście ma właśnie na celu uwolnienie się od tej groźby, teraz jednak biały skoczek może skutecznie wejść do akcji.

12. Sc3—e4
- Hf6—d8
13. h2—h4
- f7—f5

Otwarcie przekątnej d5—g8 jest dalszym osłabieniem pozycji czarnych i pozwala ono białym na rozpoczęcie efektownego ataku.

14. Se4—g5!
- Gc8—b7
15. g3—g4
- e5—e4
16. Sg1—e2
- ...

Po ofiarowaniu skoczka w 14. ruchu Euwe lekceważy atak na piona b2, aby wzmocnić swój atak.

16. Gg7:b2
17. Se2—f4!?
- Hd8—f6

Broni g6 i dodatkowo atakuje wieżę a1, której natychmiastowe bicie mogłoby spowodować komplikacje.

18. g4:f5!	Gb2:a1
19. Sf4:g6+	Kh8—g7
20. Sg5:e4	Ga1—c3+
21. Ke1—f1	Hf6:f5

Zapobiega S:c3 przez groźbę mata na f2.

22. Sg6—f4!	Kg7—h8
23. Se4:c3	

Najdorf zaczyna zwracać materiał, którego nie może na długo utrzymać.

23.	Wa8—e8
24. Sc3—e2	Wf8—g8

Czarne chcą oddać wieżę za silnego gońca d5, z którego Euwe słusznie nie zamierza rezygnować. Król czarnych jest zagrożony jednocześnie na linii g i na długiej diagonalu.

25. h4—h5	Wg6—g5
26. Se2—g3	Wg5:g3

Najdorf znalazł wreszcie okazję oddania jakości, licząc, że w ten sposób uzyska swobodniejszą grę.

27. f2:g3	We8:e3
28. Kf1—f2	We3—e8
29. Wh1—e1	We8:e1
30. Hd1:e1	

Białe chętnie zgodziły się na uproszczenie pozycji. Daje im to wygraną, ze względu na znaczną przewagę pozycyjną.

30.	Kh8—g7
31. He1—e8	Hf5—c2+
32. Kf2—g1	Hc2—d1+
33. Kg1—h2	Hd1—c2+
34. Sf4—g2	Hc2—f5

Nie ma już gdzie szachować. Białe zadają teraz ostatni cios.

35. He8—g8+	Kg7—f6
36. Hg8—h8+	Kf6—g5
37. Hh8—g7+	Czarne poddają się

UWAGA

Przypominamy, że ostateczny termin opłacania prenumeraty na następny okres upływa z dniem 10 grudnia 1953 r.

TREŚĆ NU RU:

	Str.
PROF. FRYDERYK JOLIOT-CURIE: Prawdziwy sens rokowań	2
GEORG BRANTING: Drogi które się rozchodzą	3
GORDON SCHAFFER: Zgrzyty między Londynem a Waszyngtonem	10
Naród amerykański między pokojem i wojną (I)	14
José Martí — rycerz z Hawany (W setną rocznicę uro- dzin)	24
JOSE MARTI: Czarna Lalka	29
DAWID OJSTRACH: Pamięci Jacques Thibaud	39
EWAN McCOLL: Pieśni ludu angielskiego	40
CLAUDE MORGAN: Adenauer kroczy śladami Hitlera	47
WŁADYSŁAW SZCZERBIC: Niebezpieczny konkurent Maroko	59
DR GUGLIERMO RIGHINI: Badania nad budową wszechświata	81
Chirurgia serca	85
GEORGES FERNEY: Podmorska podróż filmowca	90
LEON PASTERNAK: Rodowód	98
KRZYSZTOF ZAREWICZ: Kraj nad Bursztynowym Morzem	99
ADOLF RUDNICKI: Manfred (fragment sztuki)	104
STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze	113
Nowe książki:	123
Szacłuj:	126

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“, 33 rue Vivienne, Paris II-e.

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitn Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace“, Ressegna Internazionale del Mese“,
Piazza Montecitorio 115, ROMA.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Juarez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Mauerstrasse Berlin, W. 8.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart 0. —
Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28,
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii“. Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“ 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi, Teheran.

Uwaga abonenci!

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obronie Pokoju” są przyjmowane:

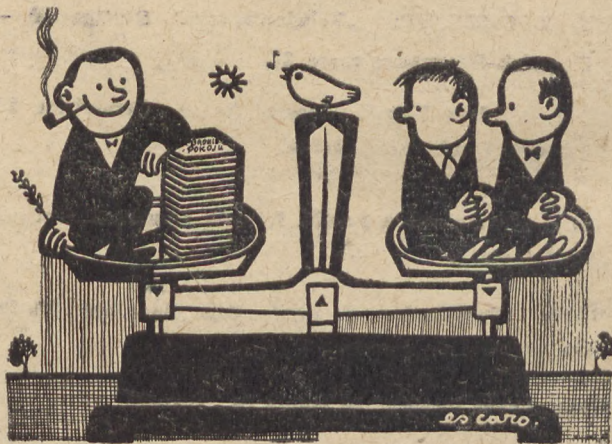
Na okresy kwartalne — do dnia 10-go grudnia	na I kwartał
„ „ 10-go marca	na II „
„ „ 10-go czerwca	na III „
„ „ 10-go września	na IV „

Na okresy półroczne — do dnia 10-go grudnia	na I półrocze
„ „ 10-go czerwca	na II „

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch” — Warszawa, ul. Srebrna 12.



Jeden abonent wart jest dwu czytelników

